

Rok z Marianem Banasiem w NIK

Czego szukają u Bońka

Czy wróci handel w niedzielę?

Szturm na urzędy pracy



KOŚCIÓŁ I ZWIERZĘTA

WRACAMY!

ROMA
TEATR MUZYCZNY.COM

Newy Sezon

MUSICAL
ELTONA JOHNA I TIMA RICE'A

AIDA

PONAD CZASOWA HISTORIA MIŁOŚNA

© Disney

Muzyka
Elton John

Teksty piosenek
Tim Rice

Libretto
Linda Woolverton
oraz

Robert Falls i David Henry Hwang

Produkcja oryginalnej inscenizacji
Disney Theatrical Productions

Reżyseria
Wojciech Kępczyński

Przekład
Michał Wojnarowski

„HIPNOTYZUJĄCY”
MACIEJ ŁUKOMSKI, STREFALIFESTYLE.PL

„MUSICIE ZOBACZYĆ!”
ELLE

„DZIEŁO DOSKONAŁE”
AGNIESZKA KLEDZIK, DZIENNIK TEATRALNY

CYTATY

LUDWIK DORN,
były marszałek Sejmu
*U Ziobry jest zimna,
zapekła nienawiść
do Kaczyńskiego
za poprzednie
upokorzenia.*
„Polska The Times”

**KRZYSZTOF
DAUKSZEWICZ,**
satyryk
*Masy niepracujące
obecną partię
władzy będą
popierać do końca.*
„Dziennik Gazeta Prawna”

GIUSEPPE CONTE,
premier Włoch
*To jest tak poważny
kryzys, że albo
wszyscy wygramy,
albo wszyscy
przegramy.*
„Forum”

**NATALIA
KUKULSKA,**
piosenkarka
*Sentymentalizm
nie odbiera ani
siły, ani mówiąc
kolokwialnie – jaj.*
„Wysokie Obcasy”

MÓJ PRZEGLĄD

Robert Walenciak



Państwo prawa kontra państwo PiS

Są jeszcze sądy w Warszawie! Tak możemy myśleć po orzeczeniu Sądu Najwyższego w sprawie tzw. ustawy represyjnej, nazywanej też dezubekizacyjną. Bo oto Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego, w składzie siedmioosobowym, orzekła, że niedopuszczalne jest automatyczne obniżenie rent i emerytur każdemu, kto choć dzień przepracował w służbach PRL. Że nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej i każdy przypadek musi być rozpatrywany oddzielnie.

„Ustawa dezubekizacyjna wprowadza odpowiedzialność zbiorową, której w państwie prawa być nie może”, przypomnieli sędziowie. Warto docenić ich odwagę i poczucie niezależności, bo PiS szykuje się do kolejnych „reform” w Sądzie Najwyższym i za chwilę ci sędziowie mogą stracić pracę, mogą zostać odwołani.

Warto też docenić logikę ich wywodu i poczucie sprawiedliwości. Pisowska ustawa represyjna, przyjęta w grudniu 2016 r., obejmuje 42 tys. byłych funkcjonariuszy. Czy raczej po prostu osób, bo na skutek nieprzemyślnych zapisów dotknęła ona także tych, którzy nigdy nie przekroczyli progu komendy. Na przykład byłych sportowców, którzy, trenując w klubie gwardyjskim, byli zaczepieni na etacie w SB, bo akurat takim etatem klub dysponował. A oni o tym nawet nie wiedzieli.

Pisowska ustawa uderzała na ślepo. W pracowników biura paszportów, w sekretarki, w informatyków, którzy komputeryzowali MSW. Przykładem niech będzie los funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. BOR powstało w 1954 r. jako komórka Służby Bezpieczeństwa. Potem raz było w MSW, innym razem w MON. Jeżeli ktoś przeszedł na emeryturę, gdy było w MON – pobiera emeryturę wojskową. Jeżeli wtedy, gdy było w strukturze MSW – został uznany za komunistycznego oprawcę i ma resztki.

Ustawa brutalnie potraktowała też tych funkcjonariuszy, którzy po 1989 r. pracowali dla III RP. Głód emerytury pobierają m.in. ostatni dwaj żyjący oficerowie, którzy prowadzili akcję „Samum”, Gromosław Czempiński i Andrzej Maronde, mimo że ich działania pozwoliły na umorzenie Polsce 16,5 mld dol. długu. Dla PiS zasługi wobec III RP są więc niczym, liczy się tylko czas Polski Ludowej. I dzika, niemająca nic wspólnego z cywilizowanym państwem zemsta.

Częstokroć udana. Udokumentowana jest śmierć ponad 60 oficerów, którzy po otrzymaniu informacji o obniżeniu emerytury albo dostali zawalu czy wylewu krwi do mózgu, albo popełnili samobójstwo. A ilu musi wegetować, bo po opłaceniu czynszu i lekarstw nie stać ich już na cokolwiek?

Czy orzeczenie Sądu Najwyższego zatrzyma zemstę PiS? To krok w dobrą stronę, choć pamiętajmy, że za chwilę swoje orzeczenie w sprawie ustawy represyjnej ogłosić powinien Trybunał Konstytucyjny. Dodajmy do tego, że dotychczasowe, nieliczne wyroki sądów, które nakazują przywrócić niesłusznie odebrane emerytury, ZUS ignoruje. Jak widać, bardziej boją się tam prezesa niż prawa.

PROGRAM „PAMIĘĆ”

Odchodzą twórcy i świadkowie historii. Politycy, naukowcy, społecznicy, literaci, artyści. Warto zachować ich wspomnienia.

BĘDZIEMY TO ROBIĆ!

JESZCZE W TYM ROKU FILMY I NAGRANIA BĘDĄ DOSTĘPNE NA NASZEJ STRONIE INTERNETOWEJ WWW.TYGODNIKPRZEGLAD.PL ORAZ NA KANAŁE YOUTUBE.

Bardzo liczymy na Wasze pomysły. Jakie rozmowy warto zarejestrować ku pamięci?



Piszcie na adres redakcyjny:
ul. Inżynierska 3 lok. 7,
03-410 Warszawa, lub mejlowo:
redakcja@tygodnikprzeklad.pl.



BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Zwierzęta na ołtarzu polityki**
To, jak traktujemy zwierzęta, o nich nic nie mówi, ale o człowieku mówi wszystko
- 12 „Pancerny Marian” nie boi się Kaczyńskiego**
Rok prezesury w NIK
- 16 Kram z posadami**
Szturm na urzędy pracy
- 20 Trefna kolekcja pani Aurelii**
Zaginione obrazy Wyczółkowskiego
- 24 Kto będzie zaciskał pasa**
– rozmowa z Łukaszem Komudą
- 28 Czy wróci handel w niedzielę?**
Kuszenie pracowników
- 32 Nadzieja w 20- i 30-latkach**
– rozmowa z Ireną Picholą

ZAGRANICA

- 34 Rydzyk persona non grata w zachodniej Kanadzie**
Korespondencja z Kanady
- 50 Domy za 1 euro**
Włoskie miasteczka walczą o przetrwanie
- 52 Zabór argentyński**
Korespondencja z Argentyny
- 56 Tylko dla fanów**
Rewolucja w branży porno
- 58 Erytrea jak obóz przetrwania**
Ucieczka przed służbą wojskową

HISTORIA

- 36 Krwawe rozprawy ze strajkującymi**
Prawdziwe oblicze sanacji

OPINIE

- 38 Witold Modzelewski**
Czy ekspert może być rusofobem?
- 41 Radosław S. Czarnecki**
Rocznica i mit

KULTURA

- 42 Szwedzi potrafią się dogadać**
– rozmowa ze Stellanem Skarsgårdem
- 45 Kulturalia**
- 66 Magdalena Łazarczyk**
Skrzydło poruszane palcami

SPORT

- 46 CBA w siedzibie PZPN**
Czy Boniek ma coś do ukrycia?

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Państwo prawa kontra państwo PiS
- 15 Jan Widacki**
Pandemia wymusza postęp
- 19 Andrzej Romanowski**
Upiorne lato
- 27 Roman Kurkiewicz**
Bezradność + odroczone
- 31 Tomasz Jastrun**
Spotkanie z czasem
- 49 Wojciech Kuczek**
Zjednoczone stany lekowe



24

WYWIAD

KTO BĘDZIE ZACISKAŁ PASA

– rozmowa z Łukaszem Komudą

28

KRAJ



CZY WRÓCI HANDEL W NIEDZIELĘ?

Kuszenie pracowników



56

ZAGRANICA

TYLKO DLA FANÓW

Rewolucja w branży porno

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

Hubertus – święto myśliwych w Bydgoszczy, 2009 r.
FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/FORUM



Prof. Andrzej Szahaj
Kłopoty z coachingiem

Rok lewicy w Sejmie.
Porażka czy klęska?
Analiza Michała Syski

Co zmienić na liście
lektur szkolnych

Koronawirus pół roku później

W Niemczech noszenie maseczek traktuje się poważnie. Ogólnie zasady są podobne jak w Polsce, ale gość przychodzący z zewnątrz do domu zawsze ma na twarzy maseczkę. Nikt z tego problemu się nie śmieje i go nie lekceważy. *Barbara Uhl*



Wczoraj w metrze w Berlinie wsiadł policjant. Za chwilę zobaczył gościa z opuszczoną maseczką. Pokazał mu gestem, że ma zaraz z powrotem założyć twarz. Podziało. Ludzie też – jak widzą kogoś takiego, to go omijają, pokazując, by założył maskę. Tu nikt się nie śmieje z noszenia maski. Takich opornych po prostu się wyklucza. Nie wejdiesz do sklepu czy urzędu.

Jerzy Stromski

Spotlight na Białoruś

„Wojna o Białoruś” Jarosława Dobrzańskiego (PRZEGLĄD nr 37) to rzucenie nowego światła na sytuację za wschodnią granicą. Przedstawione w arty-



kule fakty z różnych sfer życia Białorusi, uwarunkowania polityczne, próba analizy i porównania ze światem budzą chęć głębszego poznania problemów, z jakimi mierzy się współczesna Białoruś. A tak mało wiemy o naszych najbliższych sąsiadach. W mediach dużo szumu i frazesów, a konkretów brak.

Maria Warmus

Nauka religii, czyli czego?

Po lekturze artykułu „Nauka religii, czyli czego?” (PRZEGLĄD nr 37) chciałabym się odnieść do cytatu „spragnieni wartości zakazanych w okresie poprzednim” z wywiadu, którego udzielił prof. Samsonowicz. Otóż uczęszczanie na lekcje religii nie było zakazane – odbywały się one przy kościołach od roku szkolnego 1960/1961. Wcześniej, po wojnie, lekcje religii były w szkołach. Nie przypominam sobie, żeby ktoś z racji chodzenia do kościoła był szykanowany. Można było brać udział nie tylko w nabożeństwach, ale również w procesjach w Boże Ciało, które wychodziły na ulice poza teren kościelny. Niewątpliwie sytuacja wyglądała inaczej w wypadku działaczy partyjnych i służb mundurowych.

Agnieszka Stelmach



Jakie są niezbędne zmiany w prawie o ochronie zwierząt

Zakaz hodowli zwierząt na futra to za mało. Uważam, że korzystne byłoby wprowadzenie całkowitego zakazu obrotu futrami – jak słusznie zauważa wielu komentatorów, zakaz hodowli spowoduje przeniesienie jej w inne miejsca. Zakaz handlu futrami rozwiązałby ten problem.



FK

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wręczenie w MSWiA odznaczeń państwowych działaczom NSZZ Policjantów.



Na 48 tys. szkół w Polsce jeszcze 8 tys. nie ma odpowiedniego dostępu do internetu.

- Co robisz?
- Nic, a ty?
- Też nic.
- A w której spółce?



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Co warto zmienić na liście lektur szkolnych?

NATALIA BOSZCZYK,

*polonistka i psycholożka szkolna,
autorka bloga Szkoła Dobrej Relacji*

Potraktowałam obowiązujący kanon lektur jako wyzwanie i próbowałam czytać je z uczniami tak, żeby miało to dla nich wartość. Z czasem mój zapal mocno osłabł i mam poczucie pewnej schizofrenii. Przedstawiam na lekcjach walory omawianych dzieł, ale jednocześnie przyznaję, że w niewielkim stopniu przystają one do tego, czym żyje młodzież. Są również nieadekwatne do jej kompetencji, gdyż wielość bodźców oraz dominacja kultury wizualnej bardzo zmieniły sposób czytania. Dla dzisiejszego licealisty zrozumienie utworów średniowiecznych czy nawet „Pana Tadeusza” jest wyzwaniem ponad siły; w ten sposób nie da się rozwijać czytelnictwa ani kształtować postaw młodych ludzi. Problemem jest także przesłanie lektur obowiązkowych. Podkreślają one znaczenie patriotyzmu, a gdy mówią o solidarności, współpracy czy dialogu z drugim człowiekiem, to przeważnie w kontekście narodowym. W kanonie brakuje mi tekstów bardziej uniwersalnych, stanowiących dobry punkt wyjścia do dyskusji na tematy fundamentalne.

MARTA ZDANOWSKA,

Dom Literatury w Łodzi

Książki omawiane w szkołach powinny być intrygujące i osadzone we współczesności oraz powinny otwierać na inne kraje, strefy kulturowe, religie. Warto, by w szkole podstawowej dzieciaki zapoznawały się z „Wędrówką Nabu” Jarosława Miłkołajewskiego, która opowiada o tym, jak to jest stracić dom i ojczyznę i stać się uchodźcą. Wśród lektur dla licealistów bardzo chętnie widziałabym twórczość Olgi Tokarczuk, która świetnie pokazuje, że na tej planecie nie jesteśmy sami. „Prowadź swój pług przez kości umarłych” w ciekawej formie kryminału przybliża życie i cierpienie zwierząt, nieobecne w aktualnym kanonie lektur. Życzyłabym sobie także usunięcia z programu pozycji, które dla dzisiejszych uczniów są nieprzystawialne ze względu na język, tematykę i objętość, a więc choćby wielkości dzieł Sienkiewicza.

EWA MATCZAK,

*nauczyciel języka polskiego
w Szkole Międzynarodowej w Lyonie*

Pytanie powinno brzmieć, czy wprowadzać zmiany w programie nauczania

języka polskiego, a jeśli tak, to po co. Moja opinia: tak, należy proponować młodzieży nowości wydawnicze. Nie wystarczy po jednym opowiadaniu Tokarczuk i Stasiuka, by uczeń rozsmakował się w literaturze współczesnej. Dobrych książek przybywa, ale liczba lekcji w szkole, na szczęście zresztą, nie rośnie. To drugi powód, by uważnie przyglądać się treściom programowym. Wymieniać, redukować, przewietrzać... Tekstów jest za dużo! Proponuje się fragmenty. Jestem za mniejszą liczbą tytułów, ale w całości. „Zmieniła się skóra świata”, jak pisał sto lat temu Tadeusz Peiper. Oto moja odpowiedź, po co w ogóle przejmujemy się zestawem lektur dla szkół. Umiemy uczyć o przeszłości, budować bagaż kulturowy młodego człowieka; pora na teraźniejszość. Zmienia się świat, oświata też musi ewoluować.

WŁODZIMIERZ ZIELICZ,
czytelnik PRZEGLĄDU

Praktycznie nie ma w szkole Lema! A to najwybitniejszy polski pisarz wszech czasów, który na dodatek napisał utwory dla każdej grupy wiekowej i poziomu intelektualnego.



Not. Michał Sobczyk

Zwierzęta na ołtarzu polityki

To, jak traktujemy zwierzęta, o nich nic nie mówi,
ale o człowieku mówi wszystko

Jarosław Makowski

Powiedz mi, jak traktujesz zwierzęta, a powiem ci, kim jesteś. To swoisty test na człowieczeństwo. Do niego odwołał się prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, kiedy przedstawiał projekt ustawy zakazującej hodowli zwierząt na futra. Mówił: „Każdy dobry człowiek powinien poprzeć tę ustawę. Ja ją popieram z całego serca”. Był to efekt wstrząsającego reportażu zamieszczonego na portalu Onet – nie pierwszego zresztą w mediach – pokazującego okrucieństwo, jakiego dopuszczają się ci, którzy hodują zwierzęta do celów biznesowych. Czy zatem fakt, że sam prezes położył na szali swój autorytet w obronie zwierząt, zapowiada, że dojdzie w Polsce do jakościowej zmiany?

Zwierzęta a jedność prawicy

Szybko się okazało, że troska o zwierzaki, zdane na naszą łaskę i niełaskę, musi zejść na drugi plan. Bo choć tzw. piątka dla zwierząt została ostatecznie przegłosowana (a procedowanie tej ustawy woła o pomstę do nieba), to zarazem stała się czymś ważniejszym z politycznego punktu widzenia – testem na lojalność i jedność rodzimej prawicy. Jasne: ustawa przeszła, gdyż zagłosowała za jej przyjęciem opozycja. Kaczyński jednak zrozumiał, że ceną jego miłości do zwierzątek, która miała poprawić wizerunek PiS, jest jedność obozu władzy. Aż 75 posłów Zjednoczonej Prawicy wypowiedziało posłuszeństwo prezesowi – cała Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry, Porozumienie Jarosława Gowina, a nawet 20 posłów PiS z ministrem rolnictwa Janem Krzysztofem Ardanowskim na czele głosowało przeciw lub wstrzymywało się od głosu.



Kościół popiera myśliwych. Msza w dzień św. Huberta w Łęczycy, październik 2011 r.

Dodatkowo prezes musiał się zmierzyć z krytyką swojego kościelnego sojusznika, o. Tadeusza Rydzika, który nie był rad, widząc, że traci futerkowych sojuszników i hojnych darczyńców. Nie jest tajemnicą, że przez długie lata imperium medialne redemptorysty lobbowało na rzecz hodowców. O ile jednak Kaczyński był w stanie udobruchać Rydzika, zapewniając mu rekompensatę w postaci państwowych dotacji,

Piątka dla zwierząt stała się testem na lojalność i jedność rodzimej prawicy.

o tyle nie udało mu się zdyscyplinować wszystkich posłów Zjednoczonej Prawicy z ich liderami, ministrem Ziobrą i Gowinem, na czele.

Troska o dobro zwierząt znów ustąpiła miejsca walce politycznej i cynicznej grze. Nawet komentatorzy, którzy przecież lubią jawić się jako przyjaciele zwierząt, przestali się nimi zajmować, a zaczęli pytać: „Czy norki obalą rząd Kaczyńskiego?”. Rząd PiS

zapewne przetrwa owe turbulencje, które zostały wywołane przez samego prezesa, wszak utrzymanie władzy leży w interesie całej prawicy. A to mocny klej. Ale w tej politycznej zawierusze wokół zwierząt zastanawia inna sprawa – milczenie biskupów.

Biskupi milczą

Zacznę od osobistej historii. Urodziłem się i wychowałem na wsi.

Z jednej strony, dorastałem w poczuciu, że zwierzęta są przyjaciółmi człowieka w tym sensie, że pomagają mu mierzyć się z naturą. Koń dziadka był „święty” – on przecież zapewniał to, że zboże zostało wiosną zasiane, a jesienią ziemniaki zebrane podczas wykopków. Z drugiej jednak, zwierzę jest użyteczne, gdyż pomaga przetrwać, zapewnia pokarm. To sprawiało, że zwierzęta były środkiem do celu, jakim jest utrzymanie ludzkiego życia – o zwierzęta należy dbać, ale też, gdy przyjdzie taka potrzeba, zabić.

Rodziło to przekonanie, że zwierzęta nie cierpią albo cierpią mniej niż ludzie. Czy jednak rzeczywiście sądzimy, że jeśli zwierzęta nie potrafią nam o swoim cierpieniu opowiedzieć, to znaczy, że nie cierpią? Odwróćmy sytuację: czy zwierzęta rozumieją nasze, ludzkie cierpienie, skoro nie rozumieją naszej mowy? A przecież my doskonale wiemy, że cierpimy, kiedy – przykładowo – złamiemy nogę, kiedy poddawani jesteśmy torturom!

Dlatego dziś, kiedy myślę o losie zwierząt, przypomina mi się obraz, który oglądałem jako dziecko w gospodarstwie dziadka – „obrzęd” zarzynania cielaka. Tego samego, którego dzień wcześniej karmiłem mlekiem. I którego wesołe oczy zdradzały chęć istnienia. Można było w nich dostrzec radość z pełni życia. Jakby to zwierzę dziękowało Bogu za to, że mogło się narodzić. A potem, kiedy nóż wbił się w jego szyję gwałtownie, tak by – jak mówił dziadek – śmierć nastąpiła szybko, zwierzę mniej cierpiało – cielak wydał przerażający, otchłanny jęk. Kiedy już był martwy, zobaczyłem, że z jego oczu płynęły łzy. Czy płakać może stworzenie, które nie odczuwa cierpienia, które nie chciało żyć?

Już słyszę te kąśliwe uwagi: „banialuki naiwnego zwierzolubcy”. Albo, co gorsza, „chrześcijańskiego lewaka”. A więc gwoli sprawiedliwości kilka drastycznych scen, nagłośnionych przez media, w których za ofiary „robity” zwierzęta, a katem był człowiek. Dramat pierwszy: ile to już razy na oczach turystów i górali, właściciela koni ciągnących wóz do Morskiego Oka, konie umierały z wycieńczenia. Dopuszczalna liczba osób na wozie wynosi 14, a zdarza się, że zmęczony koń ciągnie ponad 20 osób! Dalej: małżeństwo przyjechało w upalny dzień do Nowego Targu na zakupy. Zaparkowało samochód, zostawiając w nim psa. Kiedy rodzina oddawała się przez kilka godzin konsumpcji, zwierzę konało w męczarniach w zamkniętym aucie. Można tak długo wyliczać. Czy w ten sposób postępują ludzie wierzący? Czy można

dobrze traktować człowieka, jeśli źle traktuje się zwierzęta?

Polscy biskupi na każdym kroku przypominają, że w istotnych kwestiach społecznych mają prawo zabierać głos. Co więcej, w demokratycznym porządku nikt im tego prawa nie zamierza odbierać. Dlatego, gdy tylko nadarzy się okazja, szybko reagują – dziś bodaj nie ma dnia, by nie przypominali, jak to dzielnie walczą z LGBT. Bo oczywiście już nie z pederfią we własnych szeregach. Niemal każdego dnia hierarchowie stawiają

Aż 75 postów Zjednoczonej Prawicy wypowiedziało posłuszeństwo prezesowi.

pod pręgierzem także relatywizm, nihilizm, ekologizm, singielizm... i jakie tam jeszcze -izmy są w stanie wymyślić. Jednak o złym traktowaniu zwierząt przez ludzi, o którym przez ostatnie dni rozmawialiśmy, biskupi milczą jak zakłęci.

Św. Franciszek rozmawia z osłem

Okrucieństwo ludzi wobec zwierząt jest faktem. To pokaz naszej siły. Władztwa. Panowania. I możliwości zrobienia ze zwierzętami tego, co nam się żywnie podoba. Czy jednak my, ludzie, nie dostrzegamy, że to, jak obchodzimy się ze zwierzętami, nic wprawdzie nie mówi o naszych „mniejszych braciach”, ale o nas mówi wszystko?

Zapytacie, co mają ze sobą wspólnego ludzkie okrucieństwo wobec zwierząt i chrześcijaństwo. Na pierwszy rzut oka nic. Jednak przy dokładnym przyjrzeniu się widać jak na dłoni, że ważne teksty biblijne, opacznie interpretowane, a przez tradycję i Ojców Kościoła „klepnięte”, wpłynęły na nasz sposób postrzegania i traktowania nieludzi. Mówię o „nas”, wierzących i niewierzących, gdyż – czy to nam się podoba, czy nie – Europa przesiąknięta jest chrześcijańskim duchem. Także tym złym. I w przypadku stosunku do zwierząt czerpie z niego pełnymi garściami.

Kluczowe dla naszej sprawy teksty odnajduję w Księdze Rodzaju. Oto tekst, który ma usprawiedliwiać brutalność człowieka wobec zwierząt. „A wreszcie rzekł Bóg: »Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam. Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem, nad ziemią i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi!«” (Rdz 1,26). Tu rzeczywiście, pierwszy i ostatni raz w Piśmie Świętym, pada słowo panowanie. I to zdanie jest wykorzystywane jako niezbyty dowód, że człowiek, który z kolei jest *imago Dei* (obrazem Boga), stoi najwyższej w hierarchii bytów. Widzimy, jak już sam ten język scholastycznej teologii trąci techniczno-mechanistycznym duchem.

Zwierzęta w takiej wykładni są niejako środkiem do osiągnięcia celu człowieka, którego przeznaczeniem jest szczęście. Jednak nowa teologia, nielekąjąca się koloru zielonego, zupełnie inaczej interpretuje ten fragment. Pokazuje to w klasycznym już dziele „Bóg w stworzeniu” protestancki teolog Jürgen Moltmann: „Panowanie odnosi się do związku człowieka – opisanego tu jako obraz Boży – z Bogiem, Stwórcą podtrzymującym świat w istnieniu. Ponieważ ludzie i zwierzęta mają życie z owoców ziemi, to władza człowieka nad zwierzętami może być tylko władzą pokoju, a nie żadną władzą nad życiem i śmiercią. Rola, jaka została w tym biblijnym ▶



Ileż to razy na oczach turystów konie ciągnące wozy do Morskiego Oka padały z wycieńczenia. 22 sierpnia 2019 r.

► przekazuje przypisana ludziom, to zachowanie sprawiedliwego pokoju". Przy odpowiedniej wrażliwości teologicznej i współczuciu dla wszystkiego, co żyje, nie da się uzasadnić zbędnej przemocy, jaką człowiek bez mrugnienia okiem zadaje wszystkiemu, co żywe, a co nie-ludzkie.

Ale na tym nie koniec rewolucyjnych racji, jakie wypracował w intelektualnym wysiłku, by następnie mógł bez najmniejszych wyrzutów sumienia pogardzać zwierzętami. Swoje jakże istotne trzy grosze dorzucił Arystoteles, który – jak zauważa anglikański teolog Andrew Linzey w książce „Teologia zwierząt” – reprezentuje ten wątek zachodniej tradycji intelektualnej, który możemy określić jako: „należać do i istnieć dla”. Ten typ myślenia, ze szkodą dla zwierząt, z dobrodziejstwem inwentarza przejęło chrześcijaństwo, stwierdzając: tym, co różni ludzi od zwierząt, jest rozum i nieśmiertelna dusza. Jak wiemy, filozofia Arystotelesa została potem „ochrzczona” przez św. Tomasza z Akwinu, bodaj największego i najważniejszego nauczyciela Kościoła. A jeśli tak, to powinno nas zdziwić następujące zdanie Akwinaty: „Nie jest rzecz złą, by człowiek je (zwierzęta) wykorzystywał, poprzez zabijanie lub w jakikolwiek inny sposób”. Jakie są konsekwencje przejścia koncepcji Arystotelesa przez chrześcijaństwo i ochrzzczenia jej?

O złym traktowaniu zwierząt biskupi milczą jak zakłęci.

James Serpell, wybitny zoolog i etyk, zauważa w swojej pracy „W towarzystwie zwierząt. Analiza związków ludzie-zwierzęta”: „Tomasz, tak jak Arystoteles, z którego prac obficie czerpał, wierzył, że jedynie rozumna część duszy przeżywa śmierć ciała. Skoro zwierzęta nie mają władzy rozumu, to wraz ze śmiercią ciała ich dusze także ulegają zniszczeniu. Ten pozornie prosty wniosek miał dalekosiężne konsekwencje. Odmawiając zwierzętom życia pozagrobowego, Tomasz z Akwinu ocalił chrześcijan przed zatrważającą skądinąd perspektywą napotkania

w zaświatach mściwych duchów ich nieszczęsnych zwierzęcych ofiar. Umocnił tym samym przekonanie, że nie ma powodów, by niepokojem moralnym napawał ludzi sposób, w jaki obchodzą się ze zwierzętami”.

Siła autorytetu św. Tomasza sprawiła z kolei, że nikt nie śmiał kwestionować jego rozstrzygnięć, choć przecież w Kościele znaleźli się i tacy jak choćby św. Franciszek z Asyżu, który z pewnością wierzył, że zwierzęta mają i duszę, i uczucia. Oto jedna z historii oddających istotę postawy



W drodze do skupu żywca w Świątkach, maj 2007 r.

świętego z Asyżu wobec zwierząt. Idąc raz z braćmi, św. Franciszek spotkał wieśniaka, który tak mocno bił opornego osła, że w końcu zwierzę kopnęło go i ugryzło w rękę. Być może jeszcze dotkliwiej poturbowałoby właściciela, gdyby św. Franciszek nie zawołał: „Powstrzymaj się,

bracie osie!”. Ostupały poganiacz zobaczył, jak zakonnik klęka przed uspokojonym zwierzęciem i przemawia do niego. Następnie św. Franciszek wytłumaczył wieśniakowi, że o wiele więcej można osiągnąć miłością niż kijem. Towarzyszący Franciszkowi bracia zdjęli osłu ciężki ładunek z grzbietu i sami ponieśli go na wzniesienie, na które przedtem objuczone ponad miarę stworzenie nie potrafiło się wspiąć.

Tyle że miłość i szacunek św. Franciszka do każdego żywego stworzenia są w nauczaniu kościelnym zdecydowanie zmarginalizowane. Ba,

Franciszek ze swoim „obsesyjnym” współczuciem dla każdego „osła” jest postrzegany w Kościele jako przyjemny, nieszkodliwy folklor. Czy może więc dziwić, że i chrześcijanie pogardzają zwierzętami oraz traktują je jak przedmioty, skoro wiara Jerolimy i rozum Aten, czyli dwa filary naszej cywilizacji, połączyły siły, by znaleźć duchowe i racjonalne przesłanki, aby okrucieństwa wobec zwierząt nie nazywać grzechem wołającym o pomstę do nieba? By zabijanie i torturowanie zwierząt nie spędzało nam snu z powiek ani nie budziło wyrzutów sumienia?

Nowy holokaust

Jednym z tych, którzy w twórczości obsesyjnie wręcz koncentrują się na losie zwierząt, nie bacząc na to, że wśród „humanistycznej kasty”, jak to określił polski etnograf Dariusz Czaja, ich poglądy mogą wywoływać uśmieszki i kąśliwe uwagi, jest John Maxwell Coetzee – pisarz i noblista pochodzący z RPA. Rdzeń swoich przemysłów na temat zwierząt przedstawił w książce „Elizabeth Costello”. Wcielając się w tytułową bohaterkę, poczytną pisarkę australijską, Coetzee wygłasza sądy radykalne, by nie rzecz skandaliczne. My, ludzie, otoczeni jesteśmy „miejscami zagłady”, powiada. Tak, dobrze słyszy: pisarz ma odwagę przeprowadzić, oczywiście ustami Costello, stąd ta intelektualna prowokacja, ryzykowną analogię między Holokaustem narodu żydowskiego a zagładą, jaka każdego dnia jest losem zwierząt.

O ile kiedyś zwierzęta zabijano dzidami, o tyle teraz buduje się rzeźnie fabryki. Oto, jak się zdaje, jedyny wkład ery nowoczesności i techniki w rozwój naszych relacji ze zwierzętami – umożliwiła nam doprowadzenie zbrodni do perfekcji i przeprowadzanie jej na masową skalę. Dzisiejsze farmy czy rzeźnie są dla Costello „miejscami rzezi, przed którymi, w wielkim zbiorowym wysiłku, zamykamy serca”. I dalej: „Codziennie odbywa się nowy holokaust, a jednak najwyraźniej nasze morale

pozostaje nieporuszone, nietknięte. Nie czujemy się splugawieni. Wydaje się, że możemy robić wszystko, co tylko chcemy, i wyjść z tego z czystym sumieniem”.

Zgoda, zabieg, do którego ucieka się noblista, by zwrócić naszą uwagę na okrutny los zwierząt, jest drastyczny. I tak ma być. Inaczej nikt nie zainteresowałby się jego przesłaniem. A już z pewnością nie „wrażliwy humanista”. Mnie jednak dużo bardziej zdumiewa to, że przyglądamy się codziennemu okrucieństwu człowieka wobec zwierząt, lecz nasze sumienie pozostaje niewzruszone. Jakby zostało impregnowane na widok krzywdy „mniejszych braci”. Czy to zamrożone sumienie nie usprawiedliwia właśnie brutalnej perwersji, jaką człowiek jest gotów ćwiczyć na zwierzętach? Jak bowiem inaczej wytłumaczyć film zamieszczony kiedyś na YouTube, pokazujący pewnego nastolatka spod Bydgoszczy, który uruchamia dmuchawę do zboża, ku uciechu filmującego kolegi wrzuca do niej kota i obserwuje zwierzę lecące niczym pocisk, a kiedy w końcu pokiereszowany kot spada na ziemię, dopada go jeszcze pies?

Powie ktoś, że cały ten wywód ocieka hipokryzją, gdyż stroję się w piórka moralizatora, a sam mam sporo brudu za paznokciami. Tak, to prawda. I uprzedzając dalsze, ociekające ironią zarzuty: noszę buty ze skóry (zapewne cielęcej), nie jestem nawet wegetarianinem. Tyle że nie o to kruszę tu kopię. Zasadniczo chcę zwrócić uwagę na to, że człowiek wobec zwierząt zdradza rodzaj czegoś, co nazwałbym zbędnym okrucieństwem, pustą przemocą, rozkoszą zadawania cierpienia. Zauważmy: nie wystarczyło kota przegonić, jeśli przeszkadzał w pracy przy żniwach, trzeba było go jeszcze wrzucić do dmuchawy. Nie wystarczyło, że pobiera się za hodowlę koni pieniądze z Unii, trzeba je jeszcze torturować, trzymając w skrajnie złych warunkach itd. Zaczyna to wyglądać tak, jakby zadawanie bólu i cierpienia zwierzętom sprawiało ludziom przyjemność, gdyż – a jakże – mamy nad nimi panować, a ziemia, po

której chodzimy, ma być nam poddana. Albo, parafrazując Coetzeego, najgorsze jest to, że człowiek kat nie chce się postawić w miejscu swoich ofiar, zwierząt, nie chce wejść myślą w ich przeżycia.

I Bóg stworzył zwierzęta

Czy wobec opisanej sytuacji Kościół jest bezradny? Nie. Tyle że – po pierwsze – ze świecą szukać w Polsce teologów i księży (nie wspominając o politykach prawicy), którzy nie turlaliby się ze śmiechu, gdy mówię, że zajmuję się teologią zwierząt i że potrzebujemy wypracowania nowej teologii stworzenia,

Kościół chrześcijański, w tym rzymskokatolicki, przyłożył rękę do złego traktowania zwierząt.

która na poważnie zmierzyłaby się z kryzysem ekologicznym. Taka reakcja nie jest jednak niewinna. Stara się pokryć nasze zakłopotanie bądź nieczyste sumienie. Jeśli jednak skutecznie mamy ograniczyć zbędne okrucieństwo wobec zwierząt, to nie można dalej bezkrytycznie powtarzać, że człowiek ma prawo czynić sobie ziemię poddaną i że ma panować nad zwierzętami.



Kury, zanim zostaną sprzedane i trafią pod nóż, muszą pomęczyć się w ciasnej klatce.

Kościół chrześcijański, w tym rzymskokatolicki, przyłożył rękę do złego traktowania zwierząt. Zarazem mogą dziś przyłożyć rękę do ukrócenia zbędnej przemocy człowieka wobec „mniejszych braci”. Zrobił to choćby Benedykt XVI, emerytowany papież nabożnie czczony przez polską prawicę religijną, który w czasie Światowego Dnia Pokoju w 2011 r.

wręcz krzyczał: „Czy możemy patrzeć obojętnie na problemy związane z takimi zjawiskami jak: zmiany klimatyczne, pustynnienie, degradacja i utrata produktywności rozległych obszarów rolnych, zanieczyszczenie rzek i warstw wodonośnych, zaniechanie różnorodności biologicznej, wzrost liczby katastrof naturalnych, deforestacja regionów równikowych i tropikalnych?”.

Po drugie, Kościołowi można postawić zarzut grzechu zaniechania, kiedy milczy, widząc, jak w tym kraju ludzie traktują zwierzęta. Czy nie mamy prawa oczekiwać od biskupów listu na temat szacunku wobec każdego żyjącego stworzenia, zamiast

– przykładowo – kolejnego listu na temat LGBT? Czy duszpasterze sprzeniewierzyliby się Ewangelii, gdyby w niedzielnych kazaniach zwracali uwagę wiernym na szacunek, jaki należy się zwierzętom, a nie tylko „koronie stworzenia”, czyli człowiekowi? Czyż i zwierząt nie stworzył Bóg?

I rzecz ostatnia: rację ma przywołany już Andrew Linzey, który sugeruje, że powinniśmy unicestwić w sobie to, co św. Paweł nazywa starym człowiekiem. Podejmując ten Pawłowy apel, chodziło o to, „abyśmy przestali patrzeć na piękny boży świat, jakby był on nam dany na pożarcie, do konsumpcji i do bezgranicznej manipulacji”. Tylko uśmiercając w sobie i w innych „starego człowieka, będziemy godni moralnego panowania nad wszystkim, co Bóg nam przyobiecał”, gdyż tylko wtedy – przekonuje anglikański teolog – zre-

zygujemy z bałwochwalczej władzy, która jest niczym innym jak tyranią nad dobrami i bożym stworzeniem.

A zatem: to, jak traktujemy zwierzęta, nic nie mówi o zwierzętach, ale o człowieku mówi wszystko. Szczególnie o tym, który los i cierpienie zwierząt składa na ołtarzu swoich politycznych gier.

Jarosław Makowski

Robert Walenciak

„Pancerny Marian” nie boi się Kaczyńskiego

Banaś prezesem NIK jest już rok. Jego nowa broń to Wydział Kontroli Doraźnych

30 sierpnia minął rok od powołania Mariana Banasia na prezesa Najwyższej Izby Kontroli. „Pancerny Marian” wybrany został głosami Prawa i Sprawiedliwości, jego wybór prawa strona nagrodziła brawami. Miesiąc później było już inaczej – stacja TVN opublikowała materiał, z którego wynikało, że Banaś jest właścicielem kamienicy w Krakowie i że mieści się w niej „hotel”, w którym wynajmowane są pokoje na godziny. Telewidzowie mogli usłyszeć, jak prowadzący ów „hotel” dzwoni do „Banasia” i krótko z nim rozmawia.

To był dopiero początek kompromitacji. Szybko się okazało, że Banaś utrzymuje kontakty z ludźmi z krakowskiego półświatka, karanymi za sutenerstwo, a kamienicę zdobył w nie do końca jasnych okolicznościach. Jego oświadczenia majątkowe wykazują zaś, że dorobił się pieniędzy i dóbr materialnych, których pochodzenia nie sposób wyjaśnić.

Nagle Marian Banaś przestał być tak kryształowy, jak zapewniali działacze PiS. Partia wezwała go do złożenia dymisji. Ale on, po pewnych wahaniach, odmówił.

Pierwszym działaniem Banasia w NIK było jej przejęcie. W ramach czystek kadrowych wymienił 13 spośród 16 dyrektorów.

I ten stan trwa. Jarosław Kaczyński i jego podwładni uważają, że prezes NIK kompromituje prawicę i że powinien oddać urząd. Banaś z kolei utrzymuje, że został przez PiS zdradzony, że partia porzuciła go w trudnej chwili.

Ten punkt widzenia przedstawia zresztą list trzech działaczy krakowskiej Solidarności, Edwarda Kuligi, Jacka Smagowicza i Krzysztofa Bzdyla, którzy rok temu bronili Banasia. Czytamy w nim m.in.: „Czy inni politycy wykazujący nieprawidłowości w oświadczeniach majątkowych byli tak samo brutalnie traktowani jak Marian Banaś? Gdzie jest partia mająca w swojej nazwie obronę prawa i sprawiedliwości? Czy takim Pan Banaś się wyróżnił, że zasłużył na tak »specjalne« traktowanie. Odpowiedź jest oczywista: naruszył zbyt potężne interesy, a na dodatek okazał się

niezlomny i to jest jego »najcięższa wina«. Kto chce, ten widzi, że skala napaści jest niewspółmierna do winy i nie o błędy tu chodzi, bo te można normalnie wyjaśnić i zastosować odpowiednie sankcje”.

Broni go konstytucja

Banaś więc nie zamierza ustępować, słusznie zakładając, że immunitet, który ma jako prezes NIK, jest dla niego najlepszym zabezpieczeniem. Na pewno umocniła go w tym przekonaniu historia jego syna, w którego również uderzyła wojna Banaś-PiS.

Bo w sprawie Mariana Banasia prokuratura w grudniu 2019 r. wszczęła śledztwo, agenci CBA przeszukali zaś mieszkania jego i rodziny,

zamierza podawać się do dymisji, trudno też straszyć go Trybunałem Stanu, bo nie ma za co, deliktu konstytucyjnego nie popełnił. A czy popełnił przestępstwo, za które mógłby być skazany? Prokuratura, zawiadomiona przez CBA, wszczęła postępowanie w sprawie jego majątku, który nie wiadomo skąd się wziął, ale trwa to już od grudnia 2019 r., a efektów tych działań nie widać. Cisza. Gdyby zresztą doszło do procesu, trwałby on dwa-trzy lata. A może i dłużej. Poza tym taki proces mógłby być kłopotliwy dla partii rządzącej – Banaś już zdążył zakomunikować światu, że potrafi kontratakować, i pewnie nie przypadkiem przypomniał, że w jego hotelu nocowali parlamentarzyści PiS, że odbywały się tam narady, układano plany, np. związane z Alior Bankiem. To jego siła – Kaczyńskiego się nie boi i potrafi z nim grać.

Z drugiej strony PiS mogłoby próbować odwołać Banasia w inny sposób – zawieszając go albo skracając jego kadencję. Ale takie działania wymagałyby zmiany konstytucji, a opozycja już zapowiedziała, że na to nie pójdzie. PiS zostało więc z Banasiem samo.

Fort Marian w budowie

Pierwszym działaniem Banasia w NIK było jej przejęcie. Uczynił to w prosty, pisowski sposób, poprzez kadrowe czystki. Zaczął zwalniać dotychczasowych dyrektorów, przyjmując na ich miejsce swoich ludzi. Tak rodzi się Fort Marian.

W NIK są (czy też były) bardzo precyzyjne procedury związane z zatrudnianiem i awansami, stanowiska dyrektorskie obsadzone były na podstawie wieloetapowych konkursów. Przez lata tych procedur przestrzegano, ale Banaś je obszedł – mianuje

w sumie 20 miejsc, w tym samochód syna, Jakuba Banasia. Zabezpieczyli też jego komputer i telefon. Niejako przy okazji Banaś junior stracił pracę – został zwolniony ze stanowiska doradcy zarządu Pekao SA. Politycy komentowali wówczas, że to forma presji na prezesa NIK, by nie zwlekał z dymisją. Okazała się ona jednak nieskuteczna.

Przypomnijmy, że powoływany na sześcioletnią kadencję prezes NIK jest praktycznie nieusuwalny – gwarantuje mu to konstytucja. Może odejść ze stanowiska, tylko gdy sam poda się do dymisji albo gdy zostanie skazany prawomocnym wyrokiem za popełnienie przestępstwa lub gdy Trybunał Stanu orzeknie w stosunku do niego zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych.

Sęk w tym, że żadna z tych przesłanek nie wchodzi w grę. Banaś nie



Banaś nie zamierza ustępować. Immunitet prezesa NIK jest dla niego najlepszym zabezpieczeniem.

p.o. dyrektora, już po uważaniu. W ten sposób, jak podała „Rzeczpospolita”, wymienił 13 spośród 16 dyrektorów. Jak informują media, jego ludzie przychodzą z dwóch miejsc. Po pierwsze, są to jego dawni współpracownicy z Ministerstwa Finansów, z administracji skarbowej. To m.in. Piotr Walczak – były szef Krajowej Administracji Skarbowej, którą Banaś stworzył. Walczak został radcą prezesa NIK. Z kolei były asystent Banasia Michał Jędrzejczyk został p.o. dyrektorem Departamentu Porządku i Bezpieczeństwa Wewnętrznego NIK.

Druga grupa, z której nowy prezes rekrutuje swoje kadry, to wysocy rangą policjanci. Choćby Janusz Pawelczyk, były komendant policji w Ostrołęce, który wygrał konkurs na radcę prezesa NIK. To także Piotr Byra, były zastępca komendanta stołecznej policji, który został dyrektorem Biura Gospodarczego. Z kolei Dariusz Błachnia, którego Banaś mianował p.o. dyrektorem Biura Organizacyjnego (już odszedł z NIK), to były zastępca dyrektora kadr w KG Policji. Za tą trójką przyszli kolejni. Ich historia jest zresztą

podobna – potracili stanowiska w policji w czasach PiS, z Banasiem zetknęli się w czasach pracy w policji skarbowej. A do partii rządzącej mają mało przychylny stosunek.

Wielką rolę w NIK odgrywa też syn prezesa Jakub Banaś. To on dobiera kadry, ułatwia mu to stanowisko asystenta społecznego prezesa NIK. Banaś junior najpierw nadzorował sprawy hotelu, ale gdy PiS przejęło władzę, trafił do spółek skarbu

Ludzie Banasia to dawni współpracownicy z Ministerstwa Finansów, z administracji skarbowej i wysocy rangą policjanci.

państwa. Był m.in. prezesem zarządu spółki Maskpol, podlegającej Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Ostatnią jego posadą było stanowisko doradcy zarządu Pekao SA. Stamtąd został w grudniu 2019 r. wyrzucony.

Mój wróg Dziuba

Mając opanowaną instytucję, Banaś może iść na wojnę z PiS. A ta wojna toczy się na dwóch frontach – wewnętrznym i zewnętrznym. Wewnątrz głównym przeciwnikiem Banasia

są jego dwaj zastępcy, Marek Opioła i Tadeusz Dziuba. Obaj są byłymi posłami PiS i zostali na te stanowiska mianowani w listopadzie 2019 r. przez marszałek Elżbietę Witek.

Więcej krwi psuje Banasiowi starszy z nich – Tadeusz Dziuba, rocznik 1948, więc formalnie emeryt. To był działacz PC, wieloletni wicedyrektor poznańskiej delegatury NIK i były wojewoda wielkopolski. Dziuba nie dostał się w roku 2019 do Sejmu, mimo że startował z drugiego miejsca, wynagrodzono go zatem posadą w NIK.

Gdy wybuchła afera z kamienicą na godziny, Dziuba został przez PiS wyznaczony na następcę Banasia. Prezes NIK, składając rezygnację, jego miał wskazać jako swojego następcę.

O tym, że panowie nie mogą razem pracować i że mają zupełnie inny pogląd na działalność Izby, dowiedzieliśmy się na początku lipca. Wtedy bowiem Banaś zażądał jego dymisji i skierował w tej sprawie pismo do marszałek Witek. Odsunął też Dziubę od nadzoru nad kontrolami, „aby zagwarantować niezależność kontrolerom Najwyższej Izby Kontroli”. Złożył również w jego sprawie zawiadomienie do prokuratury.

A poszło o kontrolę działań Beaty Kempy jako ministra ds. pomocy humanitarnej. Inspektorzy prowadzący tę kontrolę poskarżyli się, że Dziuba, który jako wiceprezes nadzorował ich pracę, próbuje wpływać na wyniki kontroli i na wnioski, tak by je łagodzić, rozmywać. Przy tym ich zastrasza.

Z dużej chmury spadł mały deszcz – prokuratura doniesieniem się nie przejęła, wszczęła jedynie postępowanie sprawdzające. Opozycja nie znalazła siły, by sprawę nagłośnić. A w liście do marszałek Elżbiety Witek Tadeusz Dziuba, który w NIK przepracował wiele lat, przekonująco bronił się przed zarzutami. W efekcie, zupełnie niespodziewanie, na początku września Banaś przywrócił go do pracy, powierzając wcześniejszy zakres obowiązków. Wszystko po cichu, nie informując mediów.

► To stało się natychmiast powodem spekulacji, że między PiS a prezesem NIK doszło do zawieszenia broni, może nawet do jakiejś nieformalnej umowy. Było to logiczne – ta wojna nie służyła Kaczyńskiemu, nie była też łatwa dla Banasia.

Zaczęto już się zastanawiać, kto poszedł na jakie ustępstwa. Ale trwało to dosłownie kilka dni. Oto bowiem w połowie września, jak ustalili dziennikarze RMF FM, do prokuratury wpłynęły kolejne zawiadomienia Banasia na wiceprezesa Tadeusza Dziubę. Dotyczą one podejrzeń bezprawnego wywierania nacisku na kontrolerów sporządzających raporty krytyczne wobec pisowskiego rządu, wpływania na wyniki kontroli i korygowania wystąpienia pokontrolnego. Tym razem zawiadomienia dotyczyły kontroli w Ministerstwie Edukacji Narodowej oraz w Ministerstwie Zdrowia. Inspektorzy wykryli tam nieprawidłowości, a Dziuba, jak wynika z działań Banasia, chciał je tuszować.

Taktyka nękania PiS

Po roku pracy Mariana Banasia już widać, jaki przyjął model postępowania – w działaniach wewnątrz NIK jest absolutnie pisowski, bez litości wyrzuca dotychczasowych dyrektorów i zastępuje ich ludźmi z zewnątrz, swoimi, nie zwracając uwagi na to, że nominacje są sprzeczne z przestrzeganiem dotychczas procedurami. Lojalność jest najważniejsza.

W stosunkach z PiS wybrał zaś taktykę nękania. Zna tę partię, zna jej ludzi, wie, gdzie i w jakiej sprawie wysłać kontrolerów. Poza tym doświadczenie podpowiada mu, że im skuteczniej wgryza się w państwo PiS, im mocniejsze okazują się wyniki kontroli, tym bardziej jest przez Kaczyńskiego i jego ludzi poważany.

Nie ma więc nic zaskakującego w tym, że parę dni temu na stronie NIK ukazał się taki komunikat: „Rusza Wydział Koordynacji Kontroli Doraźnych NIK. Zapowiedziany przez Prezesa Mariana Banasia Wydział umożliwi przeprowadzenie kontroli doraźnych tuż po uzyskaniu informacji o nieprawidłowościach, wymagających natychmiastowej reakcji NIK. Wkrótce pierwsze kontrole”.

Wydział Kontroli Doraźnych w zamysle Banasia to „NIKowski GROM”. Skierowano do niego najlepszych

pracowników. Mają oni przeprowadzać kontrole niezapowiedziane, po sygnałach od obywateli, dziennikarzy czy posłów. Ten wydział jest oczkiem w głowie Banasia.

Inny jego pomysł to cyklicznie przygotowywany raport o stanie państwa. NIK wykazywałaby w nim m.in. największe błędy czy zaniechania władzy. Prezentacja takiego raportu byłaby wielkim wydarzeniem politycznym i medialnym, na pewno wzmocniłaby pozycję NIK.



Zdaniem Banasia wiceprezes Tadeusz Dziuba chciał tuszować wyniki kontroli NIK w MEN i Ministerstwie Zdrowia.

Poza tym Izba zaplanowała i częściowo rozpoczęła kontrole w miejscach newralgicznych dla funkcjonowania państwa. Na przykład w TVP Jacka Kurskiego. Tam kontrola już się zaczęła. „Kontrolerzy sprawdzą przede wszystkim, czy TVP SA prawidłowo zarządza majątkiem i gospodaruje środkami finansowymi. Na tym etapie jednak, podobnie jak przy wszystkich innych naszych trwających kontrolach, nie możemy na razie pisać o szczegółach”, podało biuro prasowe NIK, cytowane przez „Presserwis”.

To jedna z 90 kontroli zaplanowanych na rok 2020. NIK sprawdza m.in., jak przygotowane jest państwo do działania w obliczu realnego zagrożenia epidemią. „Kontrola obejmie wszystkie kluczowe elementy systemu ochrony przed tego rodzaju zagrożeniami, a przeprowadzona

zostanie w wytypowanych szpitalach, na lotniskach, w portach morskich, w jednostkach ratownictwa medycznego i stacjach Sanepidu”, informował komunikat NIK. Czytamy w nim poza tym, że kontrola dotyczyć będzie również działań wojewodów i Ministerstwa Zdrowia.

NIK bada też system gospodarowania odpadami komunalnymi oraz patologie związane z przemieszczaniem się odpadów i zwożeniem ich z całego świata do Polski. Postawiła sobie jednocześnie ambitne plany dotyczące kontroli w armii. „NIK przyjrzy się, czy Siły Zbrojne RP są w stanie szybko osiągnąć pełną gotowość mobilizacyjną i bojową w wypadku zagrożeń zewnętrznych. Kontrolerzy zaplanowali również audyt stanu przygotowania Służby Ochrony Państwa do wypełniania ustawowych zadań”, głosi oficjalny komunikat.

Te szeroko zakrojone kontrole Banas chce przeprowadzać, uruchamiając dodatkowe zasoby. Po pierwsze, zwiększa liczbę kontrolerów, chce także przeznaczyć miliony na informatyzację Izby, by umożliwić przeprowadzanie kontroli online.

Po drugie, liczy na wsparcie... opozycji. Nie bez powodu na Twitterze NIK przekazano podziękowania postom opozycji Dariuszowi Jońskiemu i Michałowi Szczerbie za informacje, jakie zbierali w sprawie nieudanych zakupów Ministerstwa Zdrowia podczas pandemii, owych respiratorów, na które wydano miliony, a które do Polski nie dotarły. Posłowie, warto przypomnieć, dokumenty znalezione w Ministerstwie Zdrowia zaniesli do NIK. „To dowód na zaufanie, jakim cieszy się Izba i broniący jej niezależności Prezes Marian Banas”, komentowano w NIK. To również jest sygnał wskazujący, jaką drogę zamierza wybrać Banas.

Ale pytań nasuwa się więcej. Czy człowiek z tak zszarganą opinią może być gwarantem niezależności NIK? Czy może być autorytetem dla opinii publicznej? Czy sama NIK, targana czystkami, jest w stanie prowadzić skuteczne i wnikliwe kontrole? I czy gra na polityczne wzmocnienie Izby nie jest grą na wzmocnienie Banasia, by w zamian za zakopanie topora wojennego uzyskać od Kaczyńskiego więcej?

Robert Walenciak

Z Galicji



Jan Widacki

Pandemia wymusza postęp

Zbliża się nowy rok akademicki. Uczelnie mają problem nie lada. Jak zorganizować zajęcia, aby z jednej strony zapewnić bezpieczeństwo studentom i wykładowcom, a z drugiej, żeby proces dydaktyczny nie był tylko na niby. Niektóre uczelnie bądź wydziały już zadeklarowały, że od października zaczynają dydaktykę wyłącznie w systemie zdalnym. Być może na pewnych kierunkach jest to możliwe, ale na innych nie. Na kierunkach humanistycznych, na naukach społecznych czy na prawie tradycyjny wykład, jak sądzę, może bez szkody dla słuchaczy odbywać się zdalnie. Żywego profesora czytającego z pożółkłych ze starości notatek albo powtarzającego podręcznik (pół biedy jeszcze, jeśli swój!) może znakomicie zastąpić głowa profesora mówiąca z ekranu. Nawet może lepiej, bo pożółkłych notatek przy odpowiednim ustawieniu kamery nie będzie widać. Dla studenta na pewno wygodniej. Może sobie odtwarzać wykład, leżąc w łóżku i sącząc piwo. Może też, słuchając „gadającej głowy”, nie przestawać przytulać koleżanki. Może nawet w każdej chwili, gdy „gadająca głowa” przynudza, a przytulona koleżanka przeciwnie, jednym kliknięciem profesora wyłączyć.

Z ćwiczeniami gorzej. Na prawie chcielibyśmy przynajmniej część ćwiczeń odbywać w sądzie. Teraz to niemożliwe. W czasie pandemii nikt grupy studentów nie wpuści do sądu. A pokazanie sądu, zwłaszcza sądu w akcji, to nie to samo co opowiadanie o sądzie. A jak przeprowadzić ćwiczenia z kryminalistyki? No, można pokazywać przez internet obrazki, ale to przecież nie to samo co obejrzenie śladu na żywo, własnoręczne jego ujawnienie i zabezpieczenie. Na prawie zajęcia laboratoryjne stanowią niewielki margines. Ale jak zdalnie prowadzić ćwiczenia na chemii, na biologii, biotechnologii? A jak zdalnie prowadzić zajęcia dydaktyczne na medycynie? To wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić w systemie zdalnym, będzie zaledwie jakąś protezę. Oczywiście jeśli się nie ma ręki albo nogi, to lepiej mieć protezę, niż jej nie mieć. Jednak proteza, nawet najlepsza, nie przestaje być tylko protezą!

Ale wymuszenie przez pandemię zajęć prowadzonych zdalnie ma swoje dobre strony. Myślę, że gdy pandemia minie, niektóre zajęcia będziemy mogli nadal prowadzić w formie zdalnej bez uszczerbku dla procesu dydaktycznego. W formie zdalnej można też będzie prowadzić zebrania różnych gremiów, odbywając rozmaite seminaria i konferencje, oszczędzając czas i pieniądze.

Nie ulega wątpliwości, że pandemia przyspieszyła postęp w wielu dziedzinach. Także w dydaktyce na poziomie akademickim. Wymusiła na nas to, czego sami nie zrobilibyśmy przez najbliższych kilkanaście lat. Nigdy dotąd nie zastanawialiśmy się, które zajęcia akademickie można przeprowadzić bez potrzeby ściągania w jedno miejsce grupy studentów i wykładowcy. Nigdy nie rozpatrywaliśmy, mając takie same jak dziś możliwości, które zebrania rozmaitych ciał akademickich odbywać online, a które wymagają osobistego kontaktu. I, co gorsza, niewiele uwagi poświęciliśmy opracowaniu metod zdalnego nauczania. Kto umie nagrywać wykłady, tak by ich odtwarzanie nie było tylko słuchaniem „gadającej głowy”, którą ma się ochotę wyłączyć po 10 minutach? Wykład mówiony do kamery jest inny niż wykład mówiony na żywo, do żywego, lepiej czy gorzej reagującego audytorium. Wymaga od wykładowcy nieco innych umiejętności, obycia z kamerą.

Żywego profesora czytającego z pożółkłych ze starości notatek może znakomicie zastąpić głowa profesora mówiąca z ekranu.

Wymaga pewnej reżyserii. Tego nikt nas nie uczył, nikt od nas tego nie wymagał; nikt z nas nie sądził, że będzie to kiedyś potrzebne. Okazało się bardzo potrzebne.

Po pandemii, która kiedyś przecież się skończy, proces dydaktyczny będzie bogatszy, bardziej niż dotąd wykorzystywane będą metody audiowizualne. Nastąpi połączenie tradycyjnych metod i form nauczania z nowymi, opartymi na mediach elektronicznych.

To, co piszę o działalności akademickiej, odnosi się także do wielu innych dziedzin naszego życia – działalności administracyjnej, gospodarczej.

Przy wszystkich negatywnych konsekwencjach pandemii, o których doskonale wiemy, będą również pewne efekty pozytywne. Już dziś można powiedzieć, że pandemia kosztowała setki ludzi życie, wiele cierpienia, że zdeorganizowała nam życie społeczne, edukację, doprowadziła część branż do bankructwa, spowodowała kryzys gospodarczy... Ale też, niełatwo to przyznać, przyspieszyła postęp w wielu dziedzinach naszego życia.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Ewa Smolińska-Borecka

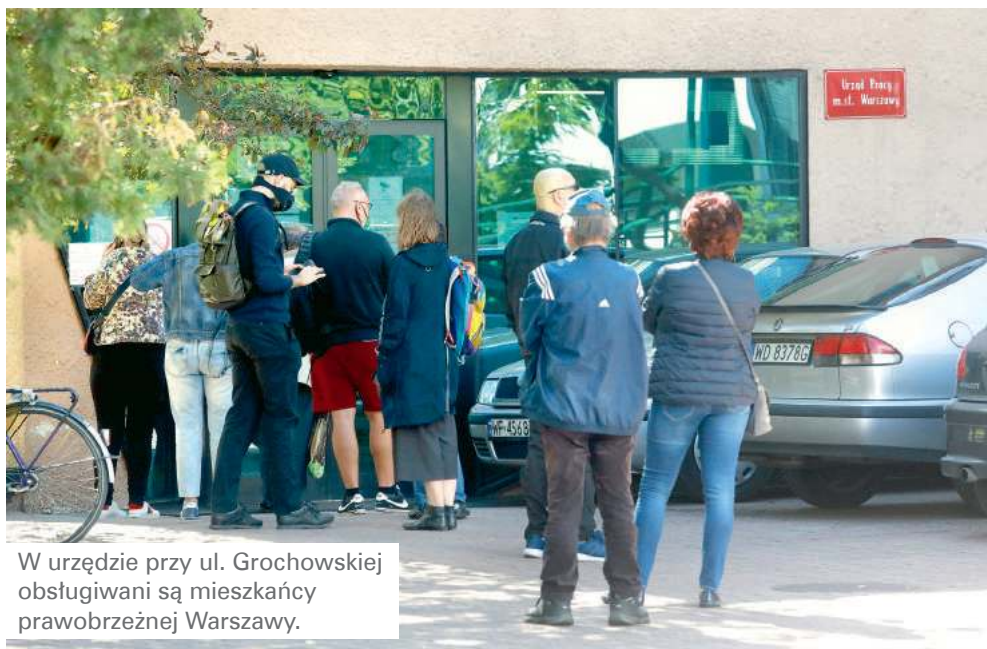
Na ten dzień czekała dwa tygodnie. Pod urzędem pracy przy ul. Ciołka w Warszawie Paulina była 1 września. Zdumiała się, kiedy się okazało, że powinna się wcześniej zapisać. Dopiero na dziś dostała termin wizyty.

Z urzędu wychodzi promienna, jakby otrzymała intratną posadę w spółce skarbu państwa. A dostała jedynie urzędowe poświadczenie, że od 15 września, czyli od teraz, ma status osoby bezrobotnej. A ponadto decyzję, że przez rok – jeśli nie znajdzie pracy – będzie otrzymywać od opiekuńczego państwa zasiłek: przez pierwsze 90 dni – 960,00 zł brutto, potem 753,90 zł brutto. Jest sama z trójką dzieci. Z przerażeniem myśli o tym, jak da sobie radę. – Mnie bardzo zależy na pracy, bo przecież z tego zasiłku nie utrzymam rodziny – mówi Paulina.

Mieszkanie socjalne też za drogie

O katastrofie na rynku pracy jeszcze się głośno nie mówi, ale chociażby obłożenie warszawskich pośredników świadczy o tym, że sytuacja robi się bardzo poważna. A ofert pracy jest niewiele.

Paulina ostatnio pracowała jako asystent księgowy. Mówi, że program księgowy ma w małym palcu. Stała się ofiarą koronawirusa. – Pracowałam w agencji aktorskiej – wyjaśnia. – Prace na planie zostały na kilka miesięcy zamrożone. Teraz, kiedy już można kręcić filmy czy seriale telewizyjne, co chwila trzeba produkcję zamykać, bo przyjdzie aktor, statysta albo ktoś z ekipy z koronawirusem i wszyscy idą na kwarantannę. Nie ma pracy na planie, nie ma pieniędzy dla aktorów i w rezultacie dla pracowników agencji. Ja przez kilka miesięcy byłam na zasiłku opiekuńczym płaconym przez ZUS, bo dzieci nie mogły chodzić do szkoły. Ale w lipcu zasiłek zniesiono i wróciłam do pracy. Okazało się, że sytuacja w firmie jest niedobra. Żeby utrzymać mój etat, inni pracownicy zrezygnowali częściowo ze swoich dodatków i prowizji. Ale wszystko wskazywało na to, że w kolejnym miesiącu sytuacja się nie polepszy, więc 31 lipca szefowa, ze łzami oczach, wręczyła mi wypowiedzenie z powodu likwidacji stanowiska. Miałam miesięczne wypowiedzenie.



W urzędzie przy ul. Grochowskiej obsługiwani są mieszkańcy prawobrzeżnej Warszawy.

Kram z posadami

W urzędach pracy jest zarejestrowanych ponad milion bezrobotnych. Za chwilę może być znacznie więcej

Zaczęłam szukać pracy. Wymówienie skończyło się 31 sierpnia, więc 1 września przyszedłam do pośredniaka. Od ponad miesiąca codziennie wysyłam CV do kilku albo nawet kilkunastu firm. Zazwyczaj nie odpowiadają.

Za wrzesień Paulina dostanie na rękę 350,00 zł. To będzie pierwszy głodowy miesiąc w jej rodzinie. Jest po rozwodzie. Córka ma 12 lat, synowie 10 i 7. Były mąż płaci alimenty, miesięcznie 1320 zł – na starsze dzieci po 500 zł, na młodszego syna 320 zł. Do tego dostają 1500 zł z programu 500+. Zasiłek dla bezrobotnych za pół miesiąca nie starczy nawet na czynsz. Od lipca Paulina szczęśliwie ma mieszkanie socjalne na warszawskiej Woli. Ten dach nad głową kosztuje jednak ponad 650 zł miesięcznie za 43 m kw.

– Mamy niewiele mebli i nie wiem, jak wyposażać mieszkanie, jeśli nie znajdę pracy – martwi się Paulina. – Przecież muszę płacić za mieszkanie, za media, za komórkę, za internet, żeby dzieci mogły się uczyć zdalnie. W rezultacie opłaty to w sumie 1200-1300 zł miesięcznie. Jak przeżyć?

Paulina wystąpiła do OPS o sfinansowanie obiadów trójki dzieci w szkołach, 100-130 zł miesięcznie. Każde jest w innej szkole: starszy syn w zwykłej podstawówce, młodszy w sportowej, a córka w specjalnej. Ale zdarzyło się akurat, że zasiłek opiekuńczy nie był wypłacany przez ZUS regularnie i w jednym miesiącu zbiegły się wypłaty z dwóch miesięcy. W rezultacie OPS uznał, że jest dobrze sytuowana, i odmówił sfinansowania wyżywienia dzieci. Ale powiedzieli, że gdy przyniesie z pośredniaka decyzję, że jest bezrobotna, ponownie nad tymi obiadami się zastanowią.

Mężczyźni są milczący

Pod pośredniakiem na Ciołka raz tłoczno, raz prawie pusto. Napływ klientów faluje jak sinusoida. A że czasami bezrobotny do rejestracji przychodzi z jedną lub dwiema osobami z rodziny, pod drzwiami urzędu pracy się zagęszcza. Do tego dochodzą ludzie czekający na wejście do kancelarii, głównie pracodawcy ubiegający się o dotacje lub pożyczki bądź osoby mające wyznaczone obowiązkowe wizyty.

Wydaje się, że kobiet oczekujących na rejestrację jest więcej niż mężczyzn. Ale może to tylko wrażenie, bo mężczyźni zwykle są zamknięci w sobie, nieskorzy do rozmowy, siedzą w milczeniu na murku okalającym schody. Jakby chcieli zniknąć ze wstydu lub smutku. Za to kobiety czasem przychodzą z dziećmi, w wózku albo w brzuchu.

Ireneusz jest inżynierem. Ma 35 lat. Pracował w zagranicznej korporacji. Nie chce mówić, w jakiej branży. Zwolniono go z powodu koronawirusa, ma to w papierach. Od zwolnienia minęły ponad trzy miesiące. Przyszedł, bo zależy mu na ubezpieczeniu. Dostęp do służby zdrowia jest głównym powodem rejestrowania się w pośredniku. Miał nadzieję, że szybko znajdzie pracę, ale tak się nie stało. Nie ma z czego żyć. – Firmy nie wiedzą, co się wydarzy za kilka miesięcy, dlatego nie chcą przyjmować nowych ludzi – tłumaczy. – Nie zatrudniają ludzi do działów, które przygotują nowe produkty.

Patryk ma 32 lata. Po raz pierwszy w życiu był dziś w pośredniku. Dostał zaświadczenie, że urząd pracy odmówił mu przyznania zasiłku dla bezrobotnych. Ale ma chociaż ubezpieczenie. – Przez ponad osiem lat pracowałem w jednym z banków, pod koniec ubiegłego roku nastąpiły tam zwolnienia grupowe – opowiada. – Mam średnie wykształcenie, maturę zdawałem w ogólniaku, ale przez te ponad osiem lat zdobyłem doświadczenie w branży finansowej. Dlatego miałem nadzieję, że właśnie taką pracę znajdę. A może chociaż jakąś pracę biurową. Jak zaczęła się pandemia, sytuacja na rynku pracy jeszcze się pogorszyła.

Pracował w kasie w jednym z sieciowych sklepów. Potem miał się prac dorywczych. Codziennie wysyłał co najmniej kilka CV do różnych firm. Żadna nie odpowiadała. Dziś w oknie pośrednika zobaczył oferty. Wybrał: kierownika kategorii B do rozwoju dostaw, magazynier, administrator budynków mieszkalnych, kierownik prac ogrodniczych.

Dwa tygodnie temu Patryk się ożenił. Żona nie przeraziła się tym, że narzeczony jest bez pracy. Ślubowali być ze sobą na dobre i na złe. To złe jednak trwa. – Na szczęście żona ma pracę, wierzę też, że pomoże

nam mój tata – mówi Patryk. – Poza tym mamy trochę pieniędzy odłożonych na wesele. Ja nawet nie dostałem zasiłku, bo okazało się, że przez 18 miesięcy wstecz musiałbym mieć umowę-zlecenie co najmniej na wysokość minimalnego wynagrodzenia, a miałem niższą.

Jak się postawisz

Ewa ma rękę na temblaku i 53 lata na karku. Przyjechała do rejestracji z partnerem, Zbyskiem. On siedzi na murku przed drzwiami, on nerwowo przemierza chodnik w sąsiedztwie pośrednika. Nerwowo, bo próbuje załatwić sobie nową pracę. Oboje są w niewesołej sytuacji. Ewa nazywa ją czarną dziurą. Ucieszyła się, kiedy w ubiegłym roku dostała etat w niewielkim warszawskim warzywniaku. – Kiedy weszły ograniczenia liczby klientów i wymagania dotyczące środków ochronnych dla personelu, to uznałam, że trzeba ich przestrzegać – opowiada. – Nasz warzywniak był tak mały, że właściwie tylko jeden klient mógł – zgodnie z przepisami –

mieli podpisać z nią umowę. Tyle że w domu potknęła się na odkurzaczu i złamała rękę. Umowę diabli wzięli. Ale pewnie ona i Zbigniew jakoś by sobie z tą sytuacją poradziła, gdyby nie fakt, że jego dochody jako taksówkarza spadły o jakieś 70%.

Zbyszek ma około sześćdziesiątki. Wynajmował samochód w jednej z warszawskich korporacji, ale kiedy w czasach pandemii przychody ledwie starczały na paliwo, rozwiązał umowę. Teraz szuka nowej korporacji, tańszej. Jedna z dwóch wybranych chce opłaty za wynajem za miesiąc z góry, druga tylko za tydzień. Skłaniają się ku tej drugiej, ale nawet na nią ich nie stać. Musieliby zapłacić na początek za tydzień 750 zł. 250 zł odłożyli. Brakuje im 500 zł. Gdy Ewa słyszy, że to tylko 500 zł, obrusza się. – Tylko 500 zł, a dla nas aż 500 zł. Nie mamy od kogo tej brakującej kwoty pożyczyć. A lombard? Byłam. Właściwie nie mamy prawie nic, co można by zastawić, tylko moją komórkę, którą dostałam od Zbyska w grudniu na imieniny. Zaproponowano mi jedynie 150 zł.

Oblężenie warszawskich pośredników świadczy o tym, że sytuacja na rynku pracy jest poważna. Ofert pracy za wiele nie ma.

wejść do środka. A ja i moja koleżanka, też sprzedawczyni, stałyśmy za ledwie kilkadziesiąt centymetrów od siebie. Właścicielka popędzała, żeby wpuszczać następnych klientów. Nie godziłam się na to, bo narażałyśmy zdrowie kupujących i nas samych. Ale jej to nie obchodziło. Przychodziła do sklepu nawet wtedy, kiedy miała objawy, które mogły świadczyć o zakażeniu koronawirusem. W kwietniu ja poczułam się gorzej. Z linii epidemiologicznej skierowano mnie do przychodni. Dostałam zwolnienie na dwa tygodnie. Szefowa się na mnie obraziła.

Kiedy po dwóch tygodniach Ewa wróciła do pracy w warzywniaku, stwierdziła, że nakazy dotyczące koronawirusa nie są przestrzegane. Powiedziała, że w trosce o własne życie prosi o bezpłatny urlop. Nie dostała. Szefowa wręczyła jej za to wymówienie z powodu porzucenia pracy. Wtedy myślała, że szybko znajdzie następne zajęcie. Znalazła dopiero w lipcu. Pracowała w sklepie na próbę dwa dni. Właściciele byli zadowoleni,

Co dalej? Ewa nie dostała zasiłku w pośredniku, bo według świadectwa pracy porzuciła pracę. Dobrze, że ma chociaż ubezpieczenie. Ale ani ona, ani jej partner nie wiedzą, jak wyrwać się z zakłętego kręgu nędzy.

Dobra pogoda nie dla wszystkich

W kraju pod koniec sierpnia zarejestrowanych było 1,029 mln bezrobotnych. Jak uważają specjaliści od rynku pracy, od września zacznie się gwałtowny wzrost bezrobocia. W końcu lipca stopa bezrobocia wynosiła 6,1% i była wyższa niż w tym samym okresie ubiegłego roku o 0,9%. W poszczególnych województwach wahała się od 3,7% w wielkopolskim do 10,1% w warmińsko-mazurskim i 9,0% w podkarpackim.

Jak wynika z analizy wykonanej przez Wojewódzki Urząd Pracy w Rzeszowie, od 1 stycznia do 31 sierpnia pracodawcy z Podkarpacia zgłosili do powiatowych urzędów pracy zamiar

► zwolnienia 4053 pracowników, a faktycznie zwolniono prawie połowę tej liczby. W sierpniu napłynęły zgłoszenia o zwolnieniu 405 osób z czterech zakładów. Najczęściej zwolnienia zgłaszały firmy z branży motoryzacyjnej i lotniczej oraz handlowe i usługowe. Stosunkowo niewiele było zwolnień w budownictwie, turystyce i gastronomii. Co wydaje się zaskakujące, bo turystyka i gastronomia najbardziej ucierpiały w innych województwach.

– Sytuacja związana z koronawirusem, konieczność chodzenia w maseczkach nie ułatwia funkcjonowania urzędów pracy – mówi Grzegorz Wolff, zastępca dyrektora Urzędu Pracy m.st. Warszawy. – Obostrzenia związane z pandemią powodują, że nasi klienci są trochę mniej otwarci i cierpliwi niż wcześniej, bo każdy chce jak najszybciej załatwić swoją sprawę. Podczas lockdownu zawiesiliśmy bezpośrednią obsługę interesantów – do 25 maja obsługiwaliśmy wszystkich mejlowo i telefonicznie.

W stolicy osoba samotna nawet za maksymalną kwotę zasiłku nie jest w stanie przeżyć.

Od 25 maja działamy w reżimie sanitarnym: każdy wejdzie, ale musi poczekać w kolejce, bo do stanowisk wpuszczamy interesantów pojedynczo. Dopiero kiedy jedna osoba odchodzi od okienka, kolejna wchodzi do środka. Ludziom to się nie podoba – nie chcą czekać na słońcu czy w deszczu. Receptą jest system zapisów telefonicznych do rejestracji na konkretną godzinę.

Urząd Pracy m.st. Warszawy ma trzy lokalizacje: przy ul. Grochowskiej obsługiwani są mieszkańcy prawobrzeżnej Warszawy, przy ul. Ciołka – lewobrzeżnej, a przy ul. Młynarskiej osoby niepełnosprawne i pracodawcy zatrudniający cudzoziemców.

– W Warszawie jeszcze nie widać gwałtownego wzrostu liczby bezrobotnych – twierdzi wicedyrektor Wolff. – Na początku roku mieliśmy 18-18,5 tys., teraz mamy 24 tys. Rok temu w sierpniu rejestrowaliśmy ok. 2,5 tys. osób, ale równocześnie taka sama liczba była wyrejestrowywana. Teraz rejestruje się tyle samo osób, ale mniej znajduje pracę – stąd przyrost liczby bezrobotnych. Przewidujemy, że liczba rejestrujących się może wzrosnąć. Różne firmy pytają, jaką

mamy ofertę, bo np. planują zwolnienia grupowe. Kolejni bezrobotni na pewno się pojawiają, część w ramach zwolnień grupowych, które już się rozpoczęły.

Obsługa bezrobotnych to tylko część zadań urzędów pracy. W czasach pandemii podpisywały one również umowy dotyczące wsparcia małych i średnich przedsiębiorstw, w tym najliczniejszej grupy mikroprzedsiębiorców. W Warszawie wpłynęło ponad 170 tys. wniosków o wsparcie z tzw. tarczy antykryzysowej, w tym samych pożyczek dla mikroprzedsiębiorców prawie 150 tys.

Dlaczego ludzie rejestrują się jako bezrobotni? Wydawałoby się, że po to, by otrzymać zasiłek. Ale przysługuje on ok. 20% rejestrujących się, a głównym motywem rejestracji jest chęć posiadania ubezpieczenia. Uprawnieni bezrobotni otrzymują zasiłek najczęściej po siedmiu dniach od zarejestrowania. Może być wypłacany przez sześć miesięcy albo nawet przez rok – to zależy

od stopy bezrobocia na danym terenie oraz wieku i stażu pracy bezrobotnego. Do końca maja zasiłek dla osób ze stażem pracy 5-20 lat wynosił 741,87 zł netto miesięcznie, od 1 czerwca – 763,98 zł netto, a od 1 września wzrósł do 1025,00 zł netto miesięcznie. Jednak taka kwota dotyczy jedynie pierwszych 90 dni od rejestracji. Potem najnowszy zasiłek wynosi jedynie 814,49 zł netto. Osoby, które mają mniej niż pięć lat stażu pracy, otrzymują 80% zasiłku podstawowego, za to osoby z co najmniej 20-letnim stażem otrzymują 120% kwoty podstawowej. Pracownicy o najdłuższym stażu przez pierwsze 90 dni otrzymują więc 1221,40 zł netto, a przez kolejne miesiące 968,03 zł netto. W stolicy osoba samotna nawet za tę kwotę nie jest w stanie przeżyć, skoro czynsz za mieszkanie wynosi kilkaset złotych, a sam wywóz śmieci kosztuje 65 zł miesięcznie.

Część przychodzących do stołecznego urzędu pracy jest sfrustrowana swoją sytuacją. Są przygnębieni, płaczą – albo odwrotnie, stają się agresywni, rzucają inwektywami, kopią wyposażenie, samochody parkujące

w pobliżu urzędu. Są to jednak wydarzenia incydentalne – jak twierdzi wicedyrektor – bo bezrobotni zgłaszający się do urzędu z reguły mają już na siebie jakiś pomysł, a oferta aktywizacyjna i doradcza urzędu jest dość szeroka.

– Wierzimy, że większość naszych klientów faktycznie szuka pracy – przekonuje wicedyrektor Wolff. – Jeśli jednak taka osoba nie przyjmie oferty zgodnej z jej wykształceniem, doświadczeniem i kompetencjami, traci status bezrobotnego i związane z nim ubezpieczenie. W ubiegłym roku wiele osób skorzystało z naszego pośrednictwa i doradztwa zawodowego oraz innych narzędzi aktywizujących, ale niektórzy sami znaleźli pracę, a część osób została wyrejestrowana, bo odmówiła przyjęcia oferty. Generalnie przed pandemią utrzymywaliśmy powolny, ale stały spadek liczby osób bezrobotnych. Teraz spodziewamy się, że nastąpi wzrost bezrobocia, bo koronawirus nie odpuszcza. Mamy jednak nadzieję, że niektóre branże się odbiją, np. transport, spedycja, logistyka. Po wakacjach ruszyliśmy z programem szkoleń i będziemy m.in. szkolić kierowców autobusów, samochodów ciężarowych oraz operatorów wózków widłowych. Już mamy wielu chętnych i wiemy, że czeka na nich praca.

Wicedyrektor Wolff zaznacza, że ludzie o bardzo wysokich kwalifikacjach raczej nie rejestrują się jako bezrobotni. On sam zetknął się z takimi rejestracjami zaledwie dwa razy. W obu przypadkach problem wynikał nie z braku kompetencji zawodowych, ale z powodu trudności interpersonalnych i komunikacyjnych. Dziś te umiejętności są jednymi z kluczowych, podobnie jak otwartość na wyzwania i zmiany, umiejętność dostosowania się do nowych sytuacji i chęć ciągłego uczenia się.

Przestrzega się społeczeństwo przed jesiennym wzrostem zachorowań na koronawirusa, które mogą się skumulować ze wzrostem zachorowań na gripę. Ale jakoś nikt nie przestrzega przed gospodarczymi skutkami ewentualnego wzrostu zachorowań i nie wszczyna alarmu. Ludzie wciąż wierzą, że będzie po staremu, że transfery społeczne będą płynąć, a praca na miarę wykształcenia, kompetencji i doświadczenia się znajdzie. Kiedy się obudzą?

Ewa Smolińska-Borecka

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Upiorne lato

Pierwszy dzień jesieni, za nami upiorne lato. Upiorne nie tylko dlatego, że wciąż trudno zapamiętać o 10 mln rodaków, uznających, że najlepszym prezydentem Rzeczypospolitej będzie Andrzej Duda. Oraz o innych 10 mln, które odwróciły się plecami do Polski i w dniu wyborów pozostały w domach. Frekwencja była wyjątkowo wysoka, lecz i tak myślę, czy nie warto by (wzorem np. Brazylii) wprowadzić w Polsce głosowania obowiązkowego. Ale ba! Ktokolwiek by coś takiego zaproponował, zafundowałby sobie wyborczą klęskę. A obowiązkowe wybory w Brazylii i tak nie uchroniły tego kraju przed Jairem Bolsonaro.

„Nie było lata. Jesień szła od wiosny / Jak ziab – od wody, jak od dzwonu kręgi”. Wiersz Stanisława Grochowiaka wraca do mnie, gdy przypominam sobie inne zjawisko minionych miesięcy: odchodzenie. Od wiosny bowiem odchodzili moi mistrzowie, mentorzy, znajomi, przyjaciele... Jeszcze 29 maja umarł Jerzy Pilch. Znacomity pisarz, obdarzony niepowtarzalną frazą. I mój rówieśnik, nawet o rok młodszy. Od lat mieszkał w Warszawie, jednak czas naszej młodości (ogółem prawie 20 lat) przepracowaliśmy razem w Krakowie – najpierw w „Gołębniku”, czyli na polonistyce Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ulicy Gołębiej, potem w redakcji „Tygodnika Powszechnego” przy sąsiedniej ulicy Wiślniej.

Niespełna dwa miesiące po Pilchu, 19 lipca, umarł inny członek „gołębnikowej” społeczności: były rektor UJ, prof. Franciszek Ziejka. W przeciwieństwie do Jurka całe życie spędził w murach uniwersy-

teckich. A staż mojej z nim znajomości był imponujący, bo to on, jako sekretarz komisji egzaminacyjnej, przyjmował mnie latem 1968 r. na studia. Pamiętam go jako długowłosego młodziana, typ łagodnego Słowianina... A gdy jesienią tamtego roku studia rozpocząłem, pierwsze ćwiczenia w mojej grupie prowadził doc. Julian Maślanka. Teraz on (od dawna już profesor) również zmarł – nieco ponad półtora miesiąca po Ziejce. Stale tego samego upiornego lata.

Rozmiary felietonu nie zmieszczą najkrótszej nawet charakterystyki tych ludzi: ani ich dorobku, ani ich sławy. Ale jednego nie sposób zapomnieć: Ziejka był jedną z ofiar nagonki lustracyjnej. Wiedziałem,

Od wiosny odchodzili moi mistrzowie, mentorzy, znajomi, przyjaciele...

jak to przeżywał – nieraz o tym rozmawialiśmy. Choć przecież mógł być ponad to: był – jak to się mówi – „czysty”, a jego zasługi dla Uniwersytetu Jagiellońskiego postawiły go w rzędzie największych rektorów. Czy mania lustracyjna skróciła mu życie? Byliśmy w zażyłości, mówiliśmy sobie po imieniu, lecz nie mam odwagi o tym wyrokować.

Żałoba dotknęła tego lata nie tylko Kraków. W Warszawie 20 sierpnia zmarł prof. Andrzej Walicki. Przez dziesięciolecie żył w izolacji od opiotwórczego mainstreamu: przemilczany, a jeśli nie dało się przemilczeć – atakowany, zwykle brutalnie. Zaszczycił mnie swą przyjaźnią – jeszcze w maju br. dał temu wyraz

na łamach PRZEGŁADU. Osobiście prawie się nie znaliśmy, wymienialiśmy tylko listy. Kiedyś, w Krakowie, z nim i z prof. Bronisławem Łagowskim, oboma myślicielami odległymi od mainstreamu, uczestniczyliśmy w panelu „Kuźnicy”. Potem prezes „Kuźnicy”, doc. Andrzej Kurz, zaprosił nas na kolację i wtedy miałem okazję porozmawiać z Walickim bezpośrednio. I dłużej.

A Henryk Wujec? Od roku 1990 zasiadaliśmy w gremiach kierowniczych najpierw Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej, potem Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Oczywiście Henryk (z nieodłączną żoną Ludką) odgrywał zawsze rolę istotną, podczas gdy ja – zapatrzony w Tadeusza Mazowieckiego i Jacka Kuronia – byłem wobec niego (i wobec nich) mało samodzielny, wtórny. Ale szybko nawiązaliśmy przyjaźń i raz, w roku 1997, w moim mieszkaniu w Krakowie,

spędziłem z Wujcami sylwestra. Później nasze drogi się rozeszły (przeistniając przeciw ustawie o IPN, wystąpiłem z partii), ale po latach Henryk podszedł do mnie i powiedział, że w sprawie IPN racja była po mojej stronie. Nie musiał tego mówić, tym bardziej więc było to wzruszające.

A Ewa Demarczyk, której niezwykle piosenki towarzyszyły mojemu późnemu dzieciństwu i młodości? A Wojciech Karpiński, którego książki pochłaniało się przez lata – w „drugim obiegu” i oficjalnym obiegu? Tych dwojga ofiar minionego lata nigdy nie poznałem osobiście, chcę więc na koniec wspomnieć dwie kobiety, ze śmiercią których odeszło na zawsze międzywojenne Wilno. ▶

► Prof. Maria Janion urodziła się wprawdzie (w roku 1926) w Mońkach na Podlasiu, ale potem, aż do tzw. repatriacji w roku 1945, mieszkała w Wilnie. Wielka uczona, mistrzyni kilku pokoleń polonistów, całym życiem świadczyła o tym, czego dziś nienawidzi PiS. W październiku 2016 r. pisała w liście do Kongresu Kultury: „Naród, który nie umie istnieć bez cierpienia, musi sam sobie je zadawać”.

Józefa z Golmontów Hennelowa, starsza od Janion o półtora roku, z Wilna pochodziła. I zawsze ten fakt podkreślała – nawet wywiad rzekę, który przeprowadził z nią Roman Graczyk, zatytułowała „Bo jestem z Wilna”. O Hennelowej, mojej wieloletniej szefowej z „Tygodnika Powszechnego”, pisałem wielokrotnie, uważałem ją bowiem za postać zjawiskową, na ogół niedocenianą. Katoliczka głęboka, a równocześnie zbuntowana, autorka książki „O Kościele, który może boleć”. Katoliczka tradycyjna, przywiązana do rytu trydenckiego, a równocześnie wielbicielka odnowy soborowej. Katoliczka ortodoksyjna, lecz jako postanka na Sejm i działaczka Unii Demokratycznej sympatyzująca (jak Jerzy Turowicz) raczej z lewym, społecznym skrzydłem tej partii. Katoliczka otwarta. Tej formacji dzisiaj już nie ma.

Na swe 70-lecie Hennelowa zaproponowała redaktorom „Tygodnika”, aby – bez względu na wiek – mówili jej po imieniu. Nie każdy się odważył, ja zaryzykowałem. I długo jeszcze potem, praktycznie do końca jej życia, miałem z nią kontakt, a jej radosny okrzyk „Andrzeju!” słyszany w słuchawce budził zawsze moje wyrzuty sumienia. Bo zbyt rzadko z nią rozmawiałem, zbyt rzadko ją odwiedzałem...

„Lato się tak jak skazaniec kładzie / pod jesienny topór krwawo bardzo” – także ta fraza powraca do mnie, gdy u progu jesieni myślę o minionym lecie. Pochodzi ona z wiersza Gałczyńskiego, którego bardziej znany początek brzmi: „Oto widzisz, znowu idzie jesień – / człowiek tylko leżałby i spał”. W istocie – to *die: to sleep*. Tak mi się dzisiaj pisze – cytatami z literatury pięknej.

Andrzej Romanowski

Trefna kolekcja pani Aurelii

W Bydgoszczy odnaleziono zaginione obrazy Leona Wyczółkowskiego. Czy wieloletni dyrektor muzeum okazał się złodziejem?

Małgorzata Szczepańska-Piszc

Pierwsze MMS-y ze zdjęciami obrazów, które prof. Dariusz Markowski, ministerialny rzeczoznawca malarstwa i kierownik Katedry Konserwacji-Restauracji Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, dostał w czerwcu ub.r. od znajomego, bydgoskiego kolekcjonera, nie zdziwiły go w ogóle. Przywykł, że znajomi, a także zupełnie nieznani ludzie pytają go, ile są warte zakupione, odziedziczone czy odnalezione gdzieś na strychu obrazy. Czy to kopie, oryginały, a może falsyfikaty? – Ale tych MMS-ów było coraz więcej i więcej – wspomina prof. Markowski. – Kilkanaście prac Leona Wyczółkowskiego i innych znanych malarzy bydgoskich, m.in. Franciszka Gajewskiego. I to mnie zastanowiło. Wyglądało, jakby ktoś wyzbywał się kolekcji. Kolekcjoner powiedział, że zaoferowane mu malarstwo pochodzi z jednego domu. I że ktoś chce pilnie je sprzedać. Zapytałem, czy to zbiór bydgoski. Gdy potwierdził, szybko powiązałem fakty.

W tutejszym świecie artystyczno-muzealnym wszyscy wiedzieli, że nieco wcześniej do podbydgoskiego domu pielęgnacyjno-opiekuńczego trafiła długoletnia pracownica, a w latach 1991-1995 dyrektorka Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Aurelia B.-N. Kobieta miała dużą kolekcję dzieł sztuki, w tym wiele prac jednego z najwybitniejszych twórców Młodej Polski – Leona Wyczółkowskiego. Państwo N. nie każdego zapraszali do siebie. Ale i tak wiele osób widziało rysunki, szkice i akwarele mistrza wiszące na ścianach dyrektorskiego

mieszkania w stylowej kamienicy w centrum Bydgoszczy. Nikt się nie dziwił, bo rodzina B. szczyliła się przyjaźnią z Wyczółkowskimi. Wszyscy wiedzieli, że Kazimierz B., ojciec Aurelii B.-N., wieloletni kustosz, a potem dyrektor bydgoskiego muzeum, cieszył się specjalnymi względami malarza i jego żony. I to on w imieniu muzeum przejmował obrazy i meble, które żona Wyczółkowskiego, Franciszka, po śmierci malarza wspinałomyślnie przekazała bydgoskiej placówce w 1937 r.

Czerwona lampka

Prof. Markowski: – Ponieważ w przesyłanych do mnie MMS-ach było sporo dzieł Wyczółkowskiego, założyłem, że to może być kolekcja rodziny B. Ale gdy jeden z MMS-ów, przedstawiający akwarelę z kwiatami, zidentyfikowałem jako „Piwonie” Wyczółkowskiego – zapaliła mi się czerwona lampka. Doskonale wiedziałem, bo pisałem na ten temat artykuł, że ta akwarela na papierze może być zaginioną w czasie II wojny światowej własnością bydgoskiego muzeum. Dlatego powiadomiłem o wszystkim policję.

Policja szybko ustaliła, że prace, które „ktoś chce pilnie sprzedać”, istotnie pochodzą z kolekcji byłej dyrektorki bydgoskiego muzeum. Sprzedawcami dzieł sztuki okazało się dwóch majstrów wynajętych do wyremontowania mieszkania po pani Aurelii. Rodzina B. przygotowywała bowiem lokal pod wynajem.

– Majstrowie nie tylko go remontowali, ale też po nim myszkowali. Nie znali się na sztuce, ale zorientowali się, że obrazy, akwarele i szkice, które znaleźli, mogą korzystnie sprzedać. Nawet starali się zama-



Na odzyskanej przez bydgoskie muzeum sofie siedzą: od prawej Leon Wyczółkowski, Franciszka Wyczółkowska i Władysław Marcinkowski.

skować kradzież. Obrazy wiszące na ścianach zastąpili kolorowymi fotokopiami. Jednak tak niedbale, że jedna wyleciała na podłogę, gdy tylko wzięliśmy ją do ręki – relacjonuje policjant z pionu śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. – Obydwaj majstrowie to bydgoszczanie – są od dawna doskonale nam znani.

– Pierwszy 37-letni, drugi 41-letni; karani, ale nie za kradzież dzieł sztuki – uzupełnia portret majstrów złodziei rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy prok. Agnieszka Adamska-Okońska. – Panowie

każdego z nich o 11 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem na trzy lata i grzywnę 1,5 tys. zł oraz dozór kuratorski. Wyrok najprawdopodobniej zapadnie na początku października.

Krępujące pytanie

Jednak ani dla policji, ani dla prokuratury ta sprawa długo się nie skończy. Pozostaje bowiem krępujące pytanie, skąd się wzięły dzieła Wyczółkowskiego, Gajewskiego i innych w prywatnych zbiorach dyrektora Aurelii B.-N., córki fetowanego

w większości XIX-wieczne, które można odnaleźć na zdjęciach i obrazach mistrza.

A gdy policja weszła do czterech kolejnych mieszkań osób rodzinie powiązanych z Aurelią B.-N. oraz do antykwiariatów i wszystkich tych miejsc, do których mogły trafić prace z kolekcji rodziny B., w sumie odnalazła ok. 400 dzieł sztuki, mebli i listów o znaczeniu historycznym, należących najprawdopodobniej do kolekcji pani Aurelii. Czy ona i jej bliscy mogli zgromadzić taką kolekcję legalnie? Może jej tata, wieloletni dyrektor bydgoskiego muzeum, odziedziczył kolekcję lub pieniądze po majątnych przodkach?

Wacław Kuczma, obecny dyrektor Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy, wątpi w majątnych przodków Kazimierza B.: – Pochodził z Kujaw. Rodzice mojej mamy też i znali jego rodzinę. Mama wspominała, że była to rodzina niemajątna. Mówiąc wprost – biedna. Zawsze się dziwiła, że niewykształcony chłopak z biednej, pozbawionej koneksji rodziny zaszedł tak wysoko.

Rzeczywiście Kazimierz B. już przed wojną kierował muzeum, choć maturę – i to eksternistycznie – zdobył dopiero w 1939 r. Bo już po szkole podstawowej poszedł się uczyć zawodu w pracowni konserwatorskiej prof. Jana Rutkowskiego. I to – jak się okazało – wystarczyło, żeby zrobić błyskawiczną muzealną karierę. W 1923 r. został zatrudniony w muzeum miejskim jako konserwator i pracownik administracyjny, trzy lata później był już sekretarzem, w 1934 r. – wicekustoszem, a w 1938 r. – kustoszem. Ale od 1926 r. administrował już całym muzeum.

Wątpliwa przyjaźń

A może Kazimierz B. dostał cenne prace od samego Wyczółkowskiego? Przecież z nim się przyjaźnił. – Wiele wskazuje, że tę przyjaźń Kazimierz B. sobie wymyślił – twierdzi prof. Markowski. – Rzeczywiście kontaktował się z nim i jego żoną jako przedstawiciel muzeum, ale w listach czy dziennikach pisanych przez Wyczółkowskiego, jego żonę bądź ich przyjaciół nie ma najmniejszego śladu przyjaźni czy jakiegś zażyłości. Zresztą zaprzeczał tej bliskości Kazimierz B. z mistrzem Leonem ▶

Policja odnalazła ok. 400 dzieł sztuki, mebli, listów należących najprawdopodobniej do kolekcji pani Aurelii.

przyznali się do kradzieży 12 prac malarskich z mieszkania Aurelii B.-N. W tym czterech autorstwa Leona Wyczółkowskiego. Dwie: akwarela „Piwonie” i autolitografia „Wiśnie kwitnące”, są szczególnie cenne i znajdują się w katalogu strat wojennych bydgoskiego muzeum. Obaj sprawcy współpracowali z organami ścigania. Dzięki temu udało się odzyskać 11 z 12 skradzionych prac. Postanowili też dobrowolnie poddać się karze. Prokurator wnioskuje dla

w Bydgoszczy, długoletniego dyrektora tego muzeum, Kazimierza B. Zwłaszcza że policja w jej mieszkaniu odnalazła dziesiątki innych prac z przełomu XIX i XX w. – Również trochę rzeźb, m.in. gotycką rzeźbę św. Barbary, moim zdaniem pochodzącą z holu dawnego poklasztorowego budynku muzeum – wylicza prof. Markowski, który towarzyszył policji przy oględzinach – oraz mające ogromną wartość historyczną meble Leona Wyczółkowskiego,

► wieloletni i sprawdzony przyjaciel Wyczółkowskich – inż. Kazimierz Szulisiński. W listopadzie 1965 r. – a więc po ustąpieniu ze stanowiska Kazimierza B. – tak pisał do nowego dyrektora bydgoskiego muzeum: „W 1945 r. powróciłem do Bydgoszczy i stwierdziłem, że część mebli i innych przedmiotów, będących wyposażeniem mieszkania Wyczółkowskiej, znajdowała się w mieszkaniu pp. B. i nadal się tam znajduje. Nie mam bynajmniej zamiaru dochodzić, jaką drogą meble te tam się dostały. Chodzi mi wyłącznie o to, ażeby meble i pamiątki po Wyczółkowskim znalazły się w Muzeum Jego imienia i żeby na wzór Muzeum Matejkowskiego w Krakowie odtworzyć Dom lub Pokój Wyczółkowskiego tak, jak zresztą za życia życzyła sobie Wyczółkowska. Uprzejmie proszę Pana

Najbardziej jednak dyrektorów B. obciąża katalog zaginionych w czasie II wojny światowej dzieł z bydgoskiego muzeum okręgowego, kontynuatora działalności muzeum miejskiego. Można w nim odnaleźć wiele z 400 obiektów, które policja odzyskała w domach rodziny B.

Skaza na wizerunku

Niewielu bydgoszczan miało taką pozycję w mieście jak Kazimierz B. W Fordonie, bydgoskiej dzielnicy sypialni, jest ulica jego imienia. Z okazji 60-lecia muzeum został wybity medal pamiątkowy na jego cześć, bo B. zapisał się jako ten, który ukrywał

wieźli dzieła sztuki po podbydgoskich dworach; trafiły m.in. do Trzcińca, Piotrkówka czy Dębowa. Wiele z nich zaginęło bezpowrotnie. Uważano, że zostały zniszczone przez radzieckich żołnierzy lub rozszabrowane przez miejscową ludność. Kazimierz B. jeździł po okolicy i odnajdował zaginione prace należące do muzeum. Okazuje się, że nie wszystko, co odnalazł, przekazał do placówki, którą kierował. Niektóre prace, rzekomo spalone w Dębowie i Trzcińcu, znalazły się w mieszkaniu Aurelii B.-N.

– To przecież byli muzealnicy, dyrektorzy tego muzeum! Nie mogli nie zdawać sobie sprawy, co mają w domu. I to jest najsmutniejsze w tej

W starych spisach muzealnych ciągle brakuje zdjęć eksponatów, są za to lakoniczne wpisy typu: „martwa natura”.



Leon Wyczółkowski „Martwa natura”.

Dyrektora o wszczęcie starań w sprawie rewindykacji mebli i pamiątek. Uważam, że sprawa odzyskania dla Muzeum tych przedmiotów nie powinna natrafić na jakieś specjalne trudności, gdyż dla pp. B. nie przedstawiają one wartości pamiątkowych, jako że Leon Wyczółkowski ani Jego żona nie utrzymywali z pp. B. żadnych osobistych kontaktów poza załatwianiem spraw służbowych i kilkakrotnym odwiedzeniem w bydgoskim Muzeum znajdującego się tam zbioru dzieł Maksymiliana Piotrowskiego”.

w różnych miejscach bydgoskie dzieła sztuki z obawy przed ich zniszczeniem. Dzwony z katedry kazał zasypać hałdą koksu w piwnicy, wiele zabytkowych przedmiotów z kościołów umieścić w specjalnie wydrążonych filarach i skrytkach. Uratował też najcenniejszy obraz z katedry, „Matkę Boską z różą”, wywożąc go do kościoła w Mąkowsku. Otaczała go także chwała powojennego twórcy bydgoskiego muzeum, którego zbiory trzeba było odbudować po stratach wojennych, gdyż Niemcy, obawiając się bombardowań, roz-

historii i kładzie się głębokim cieniem na naszym muzeum – ubolewa Wacław Kuczma, który w sierpniu został dyrektorem bydgoskiej placówki.

Trudno uwierzyć

Małgorzata Winter, dyrektorka Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy w latach 1995-2003, należy do szczupłego grona, które nie chce wierzyć, że Kazimierz B. okazał się złodziejem dzieł sztuki, a jego córka w najlepszym razie paserką. – Odkąd usłyszałam o pracach znalezionych w mieszkaniu pani Aurelii, jestem w szoku. Nawet się rozplakałam – nie kryje. – To wieści tak nieprawdopodobne. Zupełnie nie wiem, jak je komentować. Nie znamy intencji. Może dyrektor B. chował te prace przed okupantem, a potem nową władzą? A po latach nie wiedział, jak się wyplątać z tej sytuacji, nie ryzykując własnej posady czy pozycji? Może intencje były dobre, ale źle wyszło? No bo jak tłumaczyć przywłaszczenie tylu prac należących do muzeum? Obsesyjną chęcią posiadania? Pracowałam z panią Aurelią w muzeum okręgowym i może dlatego trudno mi uwierzyć w złe intencje jej i jej ojca, którego nie znamam, ale ona bardzo go hołubiła. Wyniosła na piedestał. Strzegła jego dobrego imienia. I może to jest klucz do zrozumienia całej tej sytuacji? Gdyby oddała to, co odziedziczyła po ojcu, musiałaby zniszczyć jego wizerunek.

– Muzealne zwyczaje i procedury, a zwłaszcza ich brak, bardzo sprzyjały złodziejstwu – przyznają w bydgoskim muzeum i podkreślają, że dotyczy to wielu polskich muzeów. I nie tylko. W starych spisach muzealnych ciągle brakuje zdjęć eksponatów, są za to lakoniczne wpisy typu: „martwa natura” albo „5 szkiców Leona Wyczółkowskiego” czy „3 figurki z XIX w.”. Przecież pod takie zapisy można podłożyć cokolwiek – tłumaczy kustosz Anna Pruss-Świątek, kierownik Działu Inwentaryzacji Zbiorów Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy. Razem z kustosz Anną Kaszubowską już kilka lat temu zorientowały się, że coś się nie zgadza w muzealnych rozliczeniach strat wojennych. Nie ma w muzeum niektórych zaginionych dzieł sztuki, które zostały odnalezione po wojnie, takich jak rysunek węglem Leona Wyczółkowskiego zatytułowany „Brat Albert”. Nie ma zdjęć wielu zaginionych prac. Nie ma dobrych opisów ani dokumentów, np. protokołów pokontrolnych w dworach, gdzie rzekomo miało spłonąć tyle wybitnych dzieł. Anna Pruss-Świątek: – Zaczęłyśmy podejrzewać, że te dzieła sztuki gdzieś jednak są. Ale wiedziałyśmy, że aby mieć szansę na ich odzyskanie, musimy je dobrze opisać. Dyrektor Kuczma: – Dlatego od lat – poza obowiązkami służbowymi – mozoliście tworząc listę strat wojennych bydgoskiego Muzeum Miejskiego, która teraz bardzo pomaga policji i prokuraturze.

Jedyny Manet w Polsce

Odzyskano ponad 400 obiektów. Czy mogło być ich więcej? – Na pewno – twierdzi prof. Markowski. – Widziałem zdjęcia z mieszkania przed remontem. Były na nich obrazy oraz inne dzieła sztuki, których zabrakło, gdy wszedłem tam rok temu z policją, i ciągle nie ma ich na liście dzieł już odzyskanych przez mundurowych w innych miejscach. Wiem z różnych źródeł, że do tego



Prof. Dariusz Markowski ma nadzieję, że z czasem odnajdą się sztandarowe pozycje z bydgoskiej kolekcji, m.in. „Epizod z wojny szwedzkiej” Józefa Brandta.

mieszkania przychodzili członkowie rodziny, a także osoby niespokrewnione, i zapewne wynosili stamtąd cenne przedmioty. Mówiono mi np. o koszach pełnych białej broni, które tam miały być, a po których ślad zaginął. Poza tym wiem, że za życia Aurelia B.-N. sprzedawała obrazy ze swojej kolekcji.

W kolekcji państwa B. znalazły się cenne obrazy, które nigdy nie należały do bydgoskiej placówki.

– Sprawa jest rozwojowa – powtarzają na policji i w prokuraturze w Bydgoszczy. Prof. Markowski też tak uważa: – Ledwo tydzień temu natrafiłem w prywatnych, bydgoskich zbiorach na obraz, co do którego jestem na 90% pewny, że to kolejny Wyczółkowski z rejestru zaginionych bydgoskiego muzeum. Być może został zakupiony pośrednio lub bezpośrednio od rodziny B. Pra-

ca została już zabezpieczona przez policję.

Profesor ma nadzieję, że z czasem odnajdą się sztandarowe pozycje z bydgoskiej kolekcji, m.in. „Epizod z wojny szwedzkiej” Józefa Brandta, „Portret siostry artysty” Jacka Malczewskiego, rysunek węglem Leona Wyczółkowskiego „Brat Albert” czy „Portret kobiety” Olgi Boznańskiej. – Zwłaszcza że np. zachowała się notatka o znalezieniu „Brata Alberta” po wojnie w dworze w Kawęczynie. Zostały też ramy od wielu obrazów rzekomo spalonych w Trzcińcu. – Nie wierzę, że radzieccy żołnierze spalili obrazy, uprzednio wyjmując je z ram – podkreśla prof. Markowski. – Jeśli przetrwały, trudno było i będzie wprowadzić je niepostrzeżenie na rynek sztuki, są po prostu zbyt znane. Wierzę, że tkwią do dziś gdzieś zrolowane i poukrywane.

– Jeszcze ciekawszym pytaniem jest, jak w kolekcji państwa B. znalazły się inne cenne obrazy, które nigdy nie należały do bydgoskiej placówki, m.in. portret najprawdopodobniej autorstwa Édouarda Maneta – uchyla

rąbka tajemnicy profesor. Jeśli ma rację, byłby to prawdopodobnie jedyny Manet w Polsce. A na pewno jeden z niewielu. – Sprawdzamy, skąd pochodzi praca. Ale to niełatwe. Bo ten olejny obraz ma zupełnie inne napisy z tyłu. To była metoda, którą dyrektor B. chętnie stosował w przypadku dzieł sztuki, których nie powinien

mieć w swoim mieszkaniu. Tak prawdopodobnie próbował zacierać ślady – tłumaczy prof. Markowski.

Już raczej nie dowiemy się, co na swoją obronę mieli Kazimierz B. i jego córka Aurelia. Obydwoje nie żyją. On zmarł w 1986 r., ona rok temu, dwa miesiące po wejściu policji do jej mieszkania.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Kto będzie zaciskał pasa?

Nie możemy budować państwa cywilizowanego, mając system podatkowy, który obciąża przede wszystkim uboższych

Rozmawia Jakub Dymek

Czy wraz z początkiem jesieni i widocznymi w budżecie państwa skutkami koronakryzysu premier Mateusz Morawiecki ogłosi, że przychodzi czas zaciskania pasa?

– Ciekawsze pytanie brzmi: komu trzeba będzie pasa zacisnąć. Budżet jaki jest, każdy widzi: wiadomo, że będzie deficyt i będą problemy ze sfinansowaniem obietnic z tych i poprzednich wyborów. Już widać też próby sięgania po dodatkowe środki, nierzadko uzasadniane dobrem społeczeństwa, jak przy podatku cukrowym i podatku od tzw. małych. Jednak np. cięcia w budżetówce, którymi nas nastraszyli, nie będą aż tak głębokie i poważne. Jeśli potwierdzi się wiadomość, że dotkną 2,5 tys. etatów w sektorze publicznym, to jest to naprawdę nic, najwyżej 250 mln zł oszczędności, suma zupełnie bez znaczenia w porównaniu z planowanym na 82 mld zł deficytem budżetowym.

To dlaczego słyszymy, że PiS będzie szukało oszczędności przede wszystkim przez zwolnienia w sektorze budżetowym?

– Bo cięcia w budżetówce i oszczędzanie na „państwowym” zawsze cieszą się poparciem Polaków...

Wiadomo, że będzie deficyt i będą problemy ze sfinansowaniem obietnic z tych i poprzednich wyborów.

...w przeciwieństwie do dokładania nowych podatków, co też się robi?

– Oczywiście. A to, że podatki będziemy podnosić, jest jasne. Pojawiła się już propozycja obłożenia składkami wszystkich umów-zleceń, na co patrzę dwojako. Z jednej strony, to próba dosypania środków do systemu ubezpieczeń społecznych – bo nie do budżetu pójdą te pieniądze. Z drugiej, to krok w stronę zrównywania obciążeń różnych rodzajów pracy – a 1,3 mln osób pracuje na umowach

ŁUKASZ KOMUDA

– ekonomista i ekspert rynku pracy Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, redaktor portalu RynekPracy.org.



cywilnoprawnych, z czego ok. trzech czwartych na zleceniu.

To dobrze?

– To według mnie jedyny sensowny kierunek, żeby obciążyć po równo różne formy zatrudnienia, bo dzięki temu pracownicy i pracodawcy będą wybierać typ umowy zgodnie z tym,

została zabudowana lub wybrukowana. Z kolejnymi podatkami będzie zaś trudniej, przynajmniej trudno będzie je przegłosować bez fali negatywnego odzewu ze wszystkich możliwych stron – szczególnie w przypadku VAT, który przecież rząd miał obniżyć.

Z tego wszystkiego jednak nie wynika obraz gospodarczej i finansowej katastrofy państwa.

– Bo po ogromnym strumieniu wydatków w kolejnych tarczach antykryzysowych, skierowanym do przedsiębiorców, a nakierowanym na utrzymywanie miejsc pracy i stymulowanie gospodarki, rzeczywiście katastrofy nie mamy. Stało się w Polsce coś zupełnie – przynajmniej w ciągu ostatnich 30 lat – bezprecedensowego.

Prawicowy rząd potwierdził słuszność recepty dziadka Keynesa?

– Można tak powiedzieć. Są rzeczy, które trzeba tarczom antykryzysowym wytknąć: ich antypracownicze elementy, fakt, że należało działać

jak faktycznie wygląda praca, a nie która forma opodatkowania i oskładkowania umowy jest dogodniejsza, czytaj tańsza.

Wracając zaś do cięć i podatków...

– Wróci temat podatku handlowego. A w 2022 r. zapewne znowu wzrośnie akcyza, ale do podwyżek akcyzy jesteśmy już tak przyzwyczajeni, że pewnie nawet ich nie zauważymy. Wzrosnąć ma także tzw. podatek od deszczu, czyli od działek, na których więcej niż połowa powierzchni

szybciej i z jeszcze mniejszym obłożeniem pomocy rygorami biurokracji. Ale jak na warunki polskie poszło sprawnie, a Polski Fundusz Rozwoju chroni dziś 3 mln miejsc pracy, prawie jedną czwartą etatów w ogóle.

Kiedy więc lewica krytykuje rząd za pomaganie pracodawcom, a nie prawnikom, to ma rację czy jej nie ma?

– Dosłownie rzecz biorąc, rację ma, bo pomoc poszła do firm – także tych, które ewidentnie poradziłyby sobie i przetrwały te tygodnie w zamknięciu bez dodatkowej poduszki finansowej od podatnika. Słowem, firmy w dobrej kondycji też sięgały po pożyczkę z PFR, bo to był tani pieniądz i szkoda było nie wyciągnąć po niego ręki. Ta krytyka rządu ma o tyle sens, że nie mieliśmy bezpośredniego wsparcia pracownikom, tej „popytowej nogi”, na której mogła się oprzeć polityka antykryzysowa. Rząd postawił wyłącznie na podejście podażowe. Ale biorąc pod uwagę, jak chaotycznym momentem był koniec marca i kwiecień, każda pomoc „podażowa” działała tonizująco na zachowania pracodawców. To znaczy, mówiąc wprost, że przedsiębiorcy zwolniliby

Dalej się obawiam tego, co będzie – ale już raczej w przyszłym roku, nie w bieżącym. Jednak 10-procentowej stopy bezrobocia w 2020 r. najpewniej nie będzie. Pod względem liczby wolnych i nowo tworzonych miejsc pracy, a także liczby bezrobotnych – to o wiele mocniejszy rynek

Spółdzielnie okazały się bardziej elastyczne i zdolne do adaptacji w sytuacji pandemii.

niż wtedy, gdy spadał na nas kryzys finansowy ponad dekadę temu. Oprócz tego więcej osób odchodzi na emeryturę, a mniej na rynek pracy wchodzi, co usuwa z kolei najgorszy problem demograficzny, jaki wcześniej trapił III RP. Polsce zaledwie 13 lat zajęło przejście od pozycji kraju o najwyższej stopie bezrobocia do pozycji kraju o drugiej najniższej w UE, po Czechach. Niższej nawet niż w Niemczech czy Holandii. To niezwykle dobrze świadczy o dynamice rozwoju – nawet przy patologich, jakie na polskim rynku pracy były i są. Jest jeszcze jeden element naszej odporności na gospodarcze zachwianie.

zmarnowana szansa. Dlatego posiadanie sensownych rezerw czy oszczędności na okresy, gdy nie ma przychodu, jest w sektorze prywatnym rzadkością. Spółdzielnie i podmioty ekonomii społecznej okazały się tutaj paradoksalnie bardziej elastyczne i zdolne do adaptacji – było tam więcej

przestrzeni na negocjacje z pracownikami, dogadanie się współników i kreatywne rozwiązania. Trzeba o tym pamiętać na przyszłość, bo to nie ostatni kryzys i nie ostatnia pandemia.

Wiele osób wyrażało nadzieję, że pandemia i kryzys podniosą wartość i szacunek społeczny dla, jak to się modnie teraz mówi, *essential workers*, czyli zawodów niezbędnych.

– Również miałem taką nadzieję.

Tak się jednak nie stało, dlaczego?

– Mówiąc brutalnie? Bo pandemia była za krótka, żeby uświadomić nam, jak niezbędni do funkcjonowania społeczeństwa są pielęgniarka i śmieciarz, a jak bardzo nie potrzebujemy coachów, specjalistów od ryzyka i menedżerów średniego szczebla z departamentów wspomagania zarządzania. Zwrot musiałby się zacząć w sektorze publicznym, bo tam osób, które wykonują prace niezbędne do dalszego funkcjonowania społeczeństwa, jest najwięcej – lekarze, nauczyciele, usługi komunalne. To, co niezbędne do życia, dziś jest przecież obsługiwane w ogromnej większości przez samorządy lub wprost przez państwo. Jednak państwo ma ograniczenia budżetowe – więc dowartościowanie tych niezbędnych zawodów wymagałoby całościowej reorganizacji finansów

Duża część społeczeństwa zadłuża się na konsumpcję, zamiast cokolwiek odłożyć.

setki tysięcy ludzi, gdyby nie pojawiła się możliwość sięgnięcia po tani pieniądz. Bo pomyśleli sobie: „O! To może zwolnienia za kilka miesięcy, a teraz wezmę, póki dają – o reszcie pomyślę później”.

Czyli sielanka?

– Są branże – turystyczna czy eventowa – gdzie konsekwencje pandemii naprawdę były straszne, a ich położenie wciąż jest tragiczne. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę całość gospodarki, panika i ogromna niepewność wygasły, biznes wraca do normy i firmy, które osiągnęły, powiedzmy, 90% normalnych obrotów, nie widzą powodów do zwolnień. Fakty są takie, że wchodzimy w ten kryzys z najlepszego możliwego położenia: przyzwoitej sytuacji budżetowej i najlepszego z punktu widzenia pracowników rynku pracy.

To zaskoczenie?

– Ja też w tym miejscu muszę się pokajać, bo wróżyłem na koniec tego roku dużo wyższy poziom bezrobocia, niż obecnie możemy się spodziewać.

Co to takiego?

– To margines, ale ważny i potrzebny margines, czyli ekonomia społeczna. Spółdzielnie okazały się tymi podmiotami na rynku pracy, które poradziły sobie zaskakująco dobrze. Bo rządziła tam logika mówiąca, że skoro jedziemy na jednym wózku jako spółdzielcy, to lepiej obniżyć wydatki o 20%, niż kogoś zwolnić – to po pierwsze. Po drugie, sam słyshałem relacje spółdzielców, którzy mówili, że przez ostatnie lata, jak była lepsza koniunktura, odkładali środki na trudniejsze czasy. I te trudniejsze czasy właśnie przyszły – a oni mają oszczędności, by je przetrwać. Moja teściowa pyta fryzjerkę, jak dała sobie radę w pandemii, a ona na to, że „są spółdzielnią fryzjerską” i się zabezpieczyli! A sektor prywatny ma tendencję do nieodkładania żadnych pieniędzy i...

...przejadania wszystkich?

– No, może bez przesady. Ale inwestowania i wpuszczania do obrotu na pewno. „Żeby się nie marnowały”, bo niewykorzystany kapitał to



► publicznych. Niestety lub – zależy jak patrzeć – na szczęście uderzenie pandemii w Polskę było zbyt krótkie, żeby docenić zawody i branże, które są nam do funkcjonowania zwyczajnie niezbędne.

A jak to zrobić?

– Nie możemy dalej budować państwa cywilizowanego, 20. gospodarki świata, mając faktycznie regresywny system podatkowy – czyli taki, który obciąża przede wszystkim uboższych

dochodach są tak wysoko opodatkowane – to nie tylko niemoralne, to jest błąd, który ogranicza nasze szanse rozwojowe. Jeśli chcemy sfinansować choćby podwyżkę nakładów na służbę zdrowia, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ma to sfinansować 10% najlepiej zarabiających, czy osoby z przeciwnego końca. Dzisiaj nasz system podatkowy wygląda tak, że podatki dociskają najmocniej tych, którzy zarabiają najmniej.

To, że osoby o niskich dochodach są tak wysoko opodatkowane, nie tylko jest niemoralne, to błąd, który ogranicza nasze szanse rozwojowe.

i konsumpcję, która pożera już nie 100, ale 103 czy 105% ich wydatków. A co to znaczy? Że duża część społeczeństwa zadłuża się na konsumpcję, zamiast cokolwiek odłożyć. Dla budżetu to dobrze, bo pieniądze właściwie natychmiast wracają w postaci podatków, ale ten system na dłuższą metę jest absurdalny i antyrozwojowy. To niedobrze, że osoby o niskich

Czy ukrytym kosztem epidemii i kryzysu nie było właśnie pogorszenie się warunków pracy tych, którzy wykonywali zawody niezbędne?

– Niestety tak. Właśnie dlatego, że ich praca była niezbędna, musieli się dostosować. Już sama praca w masę jest obciążeniem dla tych, którzy muszą ją w ten sposób wykonywać, a to przecież najmniejsza

z licznych komplikacji i niedogodności. Nauczyciele musieli z ogromnym trudem dostosować się do wymogów pracy zdalnej – nie słyszałem jeszcze żadnego głosu, na żywo ani online, że szkoła zdalna ułatwiła ich życie. Przeciwnie, utrudniła realizację podstawowych zadań szkoły, a i rodzice nie byli zadowoleni. A jednak nauczyciele wzięli na klatę tę konieczność. Takie przykłady można mnożyć.

Teraz, gdy dowiemy się, ile i jakie cięcia przewiduje pan premier, przekonamy się, gdzie będzie najgorzej. Bo edukację przecież w największym stopniu finansują samorządy, a administracja centralna chętnie przerzuca różnego rodzaju ciężary „na dół”. Gdy zaś dojdą do tego cięcia, to pewna umowa społeczna – którą, nie dając podwyżek, ale i nie zwalniając pracowników sektora publicznego, zawarł z nimi rząd – zostanie złamana. Zobaczmy, co wtedy się wydarzy. Ale na razie raczej konsumujemy zbiory z tłustszych lat, niż zaciskamy pasa.

Jakub Dymek





**Inauguracja
sezonu
artystycznego
2020/2021**

2/3.10

**Beethoven / Magin /
Brahms / Schubert**

2020 / 2021

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

**Filharmonia
Narodowa**

Organizator

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

3.10 – transmisja internetowa
→ filharmonia.pl

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenaz Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Bezkarność + odroczone

Prawo i Sprawiedliwość wycofało się z procedowania w Sejmie projektu ustawy wokółcovidowej, której myślą przewodnią miało być zapewnienie całkowitej i bezwarunkowej bezkarności urzędnikom (w tym najwyższymi w państwie, np. premierowi), którzy naruszyli, naruszają czy naruszaliby obowiązujące prawo i przepisy, ale robili(by) to w imię walki z koronawirusem. Oznaczałoby to zdjęcie wiszącego m.in. nad premierem Morawieckim miecza Damoklesa, którego to zapowiedzią i groźbą może być ostatni wyrok wojewódzkiego sądu administracyjnego, uznającego decyzje Morawieckiego o przygotowaniu i przeprowadzeniu prezydenckich wyborów

korespondencyjnych za całkowicie bezprawne. W tle oglądamy ataki tracącego wpływy ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, bezpardonowo zwalczającego premiera. To formacja Ziobry, Solidarna Polska, zapowiedziała brak poparcia dla projektu „bezkarność+”, a wszystko to w czasie rozmów i negocjacji koalicyjnych nad rekonstrukcją rządu. Negocjacje zawiesił czy zerwał Jarosław Kaczyński, kiedy nie udało mu się wymóc groźbą wcześniejszych wyborów uległości zióbrystów ani zdyscyplinowania gowinowców. Wszystkie te przepychanki pod dywanem władzy przestaniają najważniejszą wymowę takiego projektu ustawy. Powiedzieć, że rządzący chcieli w ten sposób zadekretować dla siebie regułę pozakonstytucyjnego wyjęcia spod prawa, czyli *de facto* uznać, że można być przestępcą (w tym urzędnikiem przestępcą), któremu nie grozi żadna odpowiedzialność, jeśli tylko jest się z PiS i zapewni, że działało się na rzecz walki z COVID-19, to nic nie powiedzieć albo jeszcze mniej.

Takiego podejścia do prawa nie znała Polska od odzyskania niepodległości. W rzeczy samej jest to wyrzucenie do kosza nie tylko polskiej konstytucji, ale też powszechnie uznawanych w całej Europie reguł formowania prawa. Trudno było sobie wyobrazić, że Sienkiewiczowska filozofia Kalego stanie się na naszych oczach realnie stosowaną doktryną prawną. Takiego prawa nie uchylał dotąd w Polsce nikt. Po gambicie Ziobry, obawiam się, znając chwilkową naturę zainteresowania mediów, projekt odejdzie w czasową niepamięć. A był czymś zupełnie niewyobrażalnym.

Czego nie jest w stanie naruszyć opozycja – na szczęście prawica rozbija w pył sama.

Kaczyński zdecydował się na forswanie „bezkarności+”, ponieważ doskonale wie, że przekreśli jego ekipy oparte na okolicznościach pandemicznych będą wracać jak bumerang przez kolejne lata. Równocześnie namaszczać Mateusza Morawieckiego na kogoś w rodzaju delfina następcy, musi go bronić za wszelką cenę. Tu intensyfikuje się też cały spór z odtrąconym, acz potężnym Ziobrą. I nie jest to odstępianie od przyjęcia ustawy, ostatnie słowo żadnej ze stron.

I pomyśleć, że wystarczyłoby, aby partia Kaczyńskiego zmieniła nazwę na adekwatną do swojego *modus operandi*, czyli na Bezprawie i Niesprawiedliwość, spacyfikowała Egotyczną Polskę Ziobry oraz Gowina – i wszystko byłoby dobrze. Ale dobrze już nie będzie. Polska prawica rządząca naszym krajem od lat ma na szczęście w sobie ów skorpion ryz z opowieści o żabie i skorpionie. Kiedy skorpion poprosił żabę o przewożenie go na jej grzbiecie na drugi brzeg rzeki, ta odmówiła, obawiając się śmiertelnego uktucia.

Skorpion przekonywał, że przecież płyną razem i gdyby ją zaatakował, sam również by utonął. Kiedy żaba dała się przekonać i dźwigając na plecach niepływającego skorpiona, była na środku wzburzonej rzeki, poczuła przeraźliwie bolesne, śmiertelne uktucie i tonąc, usłyszała szept pasażera zabójcy: „*Sorry, żaba, ale taką już mam naturę...*”. Jest więc analogicznie zdolnością i inklinacją polskiej prawicy doprowadzona do niezwykle biegłości sztuka autozagłady. Czego nie jest w stanie naruszyć opozycja – na szczęście prawica rozbija w pył sama.

Dla nas, którzy zostajemy z tym na pogruchoanym polu państwa, jest to jednak złudne pocieszenie, gdyż w miejsce rozwoju i lepszego, sprawiedliwego państwa mamy zgłiszczoną instytucji, a w ostatnich latach spustoszenia w samych regułach stanowienia prawa. Żadna to pociecha, że uprawiając politykę siekierą, w końcu taki drwal wali się w łeb. On pada, ale zostawia po sobie karczowisko. Mottem takiej formacji mogłoby być zdanie: „A bezprawie naszym prawem”. Z bólem serca musimy to jeszcze oglądać, bo niestety groźba wcześniejszych wyborów nie oznacza wcale wyboru lepszego ekipy, która zadbałaby o nasz wspólny los.



Czy wróci handel w niedzielę?

Praca za podwójną stawkę i gwarantowane dwie wolne niedziele – takie propozycje mają przekonać do otwarcia sklepów

Beata Igielska

Ograniczaniu handlu w niedzielę towarzyszyły hasła wzmocnienia więzi społecznych, szczególnie rodzinnych, bo w sklepach pracują głównie kobiety, matki. Wolna od pracy niedziela miała odzyskać pierwotny sens związany ze świętowaniem tego dnia – z Bogiem i rodziną. Czy istotnie odzyskała, skoro obowiązująca ustawa z 10 stycznia 2018 r. zawiera ponad 30 wyjątków? To sprawia, że uczestnicy rynku są nierówno traktowani. Patrz: sklepy Żabka pracujące jako punkty pocztowe czy np. sprzedaż biletów kolejowych w Galerii Metropola przy stacji Gdańsk-Wrzeszcz, dzięki czemu sklepy w niedzielę mogły tam zostać otwarte. Śmiesznie to brzmi w kontekście straszenia: za złamanie ustawy grozi kara w wysokości od 1 tys. zł do 100 tys. zł, a przy uporczywym łamaniu ustawy – kara ograniczenia wolności.

– Mówienie, że niedziela jest dniem odpoczynku, to mydlenie oczu. Co 300 m jest otwarty sklep, stacja benzynowa czy wręcz sieci handlowe. Ludzie pracują przez całe weekendy, i to za bardzo niskie stawki. Znacznie lepszym rozwiązaniem od selektywnego zakazu handlu w niedzielę jest podniesienie płac za pracę w tym dniu. Dlatego od wielu miesięcy postulujemy stawkę dwuipółkrotnie wyższą dla wszystkich, którzy pracują w niedzielę, nie tylko w handlu. To byłby silny bodziec ożywiający rynek pracy. Chętnych z pewnością nie zabrakłoby, bo taka wypłata stanowiłaby duży wkład do budżetu rodzinnego. Jeśli ludzie zarobiliby godne pieniądze w niedzielę, w tygodniu mogliby mieć czas dla rodziny, np. na naprzemienne zajmowanie się dziećmi i na załatwienie spraw urzędowych – mówi Piotr Szumlewicz, twórca i przewodniczący Związku Alternatywy, która w maju przedstawiła pomysł, by hipermarkety i galerie handlowe mogły być otwarte w niedzielę, ale

z wynagrodzeniem dla pracowników wyższym niż w dni powszednie. Propozycja dotyczy nie tylko handlu, ale także całej gospodarki, m.in. gastronomii, ochrony czy służby zdrowia. Związek zaproponował też, by pracodawcy, którzy nie będą chcieli więcej płacić, pozostawili swoje placówki zamknięte.

Zdanie związkowców, zdanie pracodawców

Szumlewicz zwraca uwagę, że już w opisie obecnie obowiązującej ustawy o ograniczeniu handlu w niedzielę czytamy, że część zatrudnionych w handlu dzięki temu ma możliwość weekendowej pracy w innych branżach, szczególnie w gastronomii.

– To ciężka i męcząca praca, czasami całonocna, za małe pieniądze. Trudno nam pojąć, czemu zdaniem rządu i Solidarności pracownicy hipermarketów powinni mieć niedziele dla Boga i rodziny, a pracownicy kawiarni i restauracji mają pracować za niskie stawki przez całe weekendy – podkreśla Szumlewicz. – Gdyby więc rząd zgodził się choćby na dwa razy wyższą płacę, byłby to dla nas dobry kompromis. Z pewnością zmieniałby się struktura handlu w niedzielę. Właśnie wtedy ruch w galeriach handlowych, hiper- i supermarketach jest największy. Rozmawiałem o naszym pomysle z wieloma pracodawcami, większość byłaby w stanie przełknąć płacę dwa razy wyższą. Również wśród pracowników i konsumentów jest duże poparcie dla naszej propozycji.

Z drugiej strony gotym okiem widać skutki pandemii: opustoszałe galerie handlowe, upadające osiedlowe sklepiki. To powoduje zwalnianie pracowników, a jeśli sytuacja nie zmieni się w najbliższej przyszłości, zwolnienia mogą się stać masowe. To jest z kolei sposób argumentacji organizacji handlowych i przedsiębiorców, którzy w lipcu przedstawili Radzie Dialogu Społecznego projekt ustawy o powrocie handlu w niedzielę. W ich

opinii umożliwienie handlu pozwoli na odrobienie części strat związanych ze skutkami pandemii koronawirusa. Obowiązujące ograniczenie handlu w niedzielę miałyby zostać zniesione na czas epidemii i obowiązywać 180 dni po jej odwołaniu. W te niedziele, w które jednocześnie przypada święto, sklepy pozostałyby zamknięte. Pracodawcy proponują, by mimo zawieszenia zakazu handlu pracownicy mieli zagwarantowane wolne dwie niedziele w miesiącu. Ma to dotyczyć zarówno osób zatrudnionych na umowę o pracę, jak i na podstawie umów cywilnoprawnych. W uzasadnieniu zmian czytamy: „Zawieszenie zakazu handlu w niedzielę przede wszystkim spowoduje ochronę miejsc pracy w handlu i branżach ściśle współpracujących z handlem, ale także zwiększy sprzedaż, przyczyniając się do zmniejszenia spadku PKB oraz poprawi bezpieczeństwo sanitarne w czasie zakupów, ponieważ zakupy rozłożą się na siedem dni w tygodniu”.

Grzegorz Baczewski, dyrektor generalny Konfederacji Lewiatan: – Nasze pomysły związane z przywróceniem dwóch niedziel handlowych w miesiącu są związane przede wszystkim z utrzymaniem zatrudnienia i rentowności handlu z powodu pandemii. Chodzi nam także o zwiększenie bezpieczeństwa w trakcie zakupów – gdy będzie mniej ludzi w sklepach, łatwiej będzie utrzymać dystans społeczny. Dziś w piątki i soboty w dużych sklepach jest ogromny tłok. Większość pracodawców popiera nasze pomysły. Niestety, strona rządowa nie daje jasnego komunikatu w tej sprawie. Pewnie ruszymy temat po rekonstrukcji rządu. Dobrze byłoby zacząć rozmawiać już od października, bo zmiany należałoby wprowadzić również w Kodeksie pracy. Chcielibyśmy, aby ten projekt mógł obowiązywać przynajmniej pilotażowo przez cały 2021 r., po czym trzeba by zrobić uczciwe podsumowanie. Ze względu na możliwość poświęcenia czasu rodzinie



w naszej propozycji jest zapis, że każdy pracownik miałby zagwarantowane wolne co najmniej dwie niedziele w miesiącu; w niedzielę pracowano by rotacyjnie.

Zdaniem Baczewskiego propozycja Związkowej Alternatywy, by płacić za pracę w niedzielę dwa i pół razy więcej, spowoduje, że sklepy nadal będą zamknięte, bo nie będzie się opłacało ich otwierać.

Andrzej Radzikowski, szef OPZZ, podkreśla, że jego organizacja od początku nie była stanowczo przeciwna ograniczeniu handlu w niedzielę: – Postulowaliśmy natomiast, by w Kodeksie pracy zagwarantowano co najmniej dwie wolne niedziele w miesiącu, więc tu jesteśmy zgodni z Lewiatanem. Ale my dodatkowo chcielibyśmy, żeby w niedzielę ludzie lepiej zarabiali. Wówczas pracodawca zastanowiłby się, czy na pewno otwieranie sklepu w ten dzień jest konieczne. Muszę przyznać, że nasi związkowcy pracujący w sklepach są zadowoleni z wolnych niedziel.

Solidarność na „nie”

Z propozycjami powrotu do handlu w niedzielę nie zgadza się NSZZ

Solidarność. Marek Lewandowski, rzecznik prasowy związku, argument o upadających galeriach handlowych podważa, mówiąc o problemach strukturalnych, które COVID-19 jedynie obnażył. Zawsze były wysokie ceny wynajmu lokali, a umowy były niekorzystne dla wynajmujących. Poza tym galerii jest za dużo i wszystkie oferują to samo. Wskaźniki makroekonomiczne zaś nie przekonują, że w handlu dzieje się źle. Wręcz przeciwnie, dane Sekretariatu Krajowego Banków, Handlu i Ubezpieczeń NSZZ Solidarność pokazują, że brakuje ponad 160 tys. osób do pracy w handlu. W niemieckich Lidlach pracuje dwa razy więcej osób niż w polskich. Ludzie są przeciążeni. Dlatego niedziela jest tym ważniejsza dla zdrowia społecznego.

– Uważamy, że obydwie projekty zmian pod płaszczykiem pandemii są próbą cofnięcia ustawy o ograniczeniu handlu w niedzielę. Proszę sobie przypomnieć te apokaliptyczne straszenia, co to złego stanie się bez handlu w niedzielę. Czy coś się stało? Przypominam też, że w naszym projekcie było tylko siedem wyjątków, a nie 30, jak to jest ostatecznie. I teraz mamy nie tylko kazus

51% Polaków chciałoby, aby sklepy były otwarte także w niedzielę.

Żabki, ale też np. sprzedaż biletów kolejowych w galeriach handlowych. To są rzeczy niedopuszczalne, ale nie widzimy woli politycznej, żeby to zmienić.

Już w maju Solidarność zwracała uwagę, że w czasie największych obostrzeń sanitarnych pracownicy handlu każdego dnia pracowali w ciągłym stresie i strachu o zdrowie swoje i swoich rodzin. Niedopuszczalne zatem jest, „aby w zamian za poświęcenie przetrwać na ich barki koszty kryzysu gospodarczego, bo właśnie tym byłaby liberalizacja przepisów w zakresie ograniczenia handlu w niedzielę. NSZZ Solidarność pod żadnym pozorem nie zamierza uczestniczyć w pracach nad liberalizacją ustawy (...) i nie poprze jakichkolwiek działań zmierzających do zmiany przepisów na niekorzyść pracowników. Nie zamierza, jak inne związki zawodowe, »przehandlować« wolnych niedziel za wyższe wynagrodzenie w tym dniu. Stoimy na stanowisku, że pracownik winien za swoją pracę w pozostałe dni otrzymywać godne wynagrodzenie i nie być zmuszony do pracy w niedzielę, by utrzymać siebie i swoją rodzinę”.

► Co o propozycjach zmian sądzą same pracownice handlu? Katarzyna, lat 50+, kasjerka w Rossmannie w centrum Warszawy: – Pewnie, że w niedzielę lepiej być w domu, z rodziną. Ale... propozycja dwa i pół razy wyższej płacy jest kusząca. Chętnie skorzystałabym z takiej możliwości. W dodatku jeśli miałabym zagwarantowane dwie niedziele w miesiącu wolne, byłoby super. Jestem za.

miejsowościach, powyżej 500 tys. mieszkańców, aż 57% osób uważa wprowadzenie ograniczenia handlu w niedzielę za błąd.

Eksperti oceniający omawiane badanie zwracali uwagę, że oprócz ludzi zapracowanych, którzy robią zakupy tylko w niedzielę, zyskałyby centra outletowe, najchętniej odwiedzane w weekendy, a także punkty gastronomiczne w centrach handlowych.

przygotowanej przez pracodawców są i entuzjazm, i wściekłość. „Super!!!”, cieszy się xxx. Inny komentujący, podpisujący się Gość, daje zaś upust wściekłości: „Pazerność firm zachodnich jest porażająca. Nie dosyć, że płacą grosze (prawie najniższe krajowe, a w razie choroby czy potrzeby wzięcia dnia wolnego nie ma żadnych premii!), warunki socjalne słabe, rotacja pracowników wysoka,

a mimo to ludzie pracują do późnych godzin wieczornych, gdy do sklepów przychodzi garstka klientów! Pracownicy marketów, nie wyrażajcie zgody na takie warunki pracy! (...) Ludzie

jak niewolnicy tyrają, by właściciele napełniali swoje konta w rajach podatkowych i pracownikom chudły portfele!”. Wtórzy mu pracownik handlu: „Sami sobie z własnymi żonami pracujcie w niedzielę, ludziom niedzieli nie kradnijcie”.

Pod koniec sierpnia, kiedy temat był ponownie wałkowany przez media, dyskutanci co rusz skakali sobie do gardeł: „Niedziela jest dla wszystkich wolna i koniec. Po co te dyskusje? Każdy ma prawo mieć wolne (...), kiedyś były soboty wolne i jakoś wszyscy zrobili zakupy wcześniej”. Inny głos: „W niedziele nikt nikogo nie zmuszał do pracy ani do chodzenia do galerii. Można było leżeć do góry brzuchem i marudzić. Okazuje się jednak, że ciągotki do dyktowania ludziom, jak mają żyć, ciągle żyją wśród tych, których to nie dotyczy, a zwłaszcza kiedy uzurpują sobie władzę. Chciano ludzi zmusić, by miast zostawiać pieniądze w galeriach, szli do kościołów i tam zostawiali kasę. Pazerność kleru nie zna granic”. I przeciwstawny: „Do kościoła iść i się modlić, a nie pałętać bez celu w galeriach. Sześć dni nie wystarczy, by zakupy zrobić, cholerni materialści!”. Ktoś jednak nie pozostawia złudzeń: „I tak PiS niczego nie zmienia, zbędna dyskusja”. Może coś w tym ostatnim stwierdzeniu jest, skoro Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pytane o stosunek do proponowanych zmian w handlu zapewnia, że postulaty są poddawane analizie. Cokolwiek to znaczy. Bo być może nie znaczy nic. Jednak „na obecnym etapie jest za wcześnie, by odnieść się do dalej idących propozycji, w tym zniesienia zakazu handlu w niedzielę i święta”.

Beata Igielska

Umożliwienie handlu w niedzielę ma pozwolić na odrobienie części strat związanych ze skutkami pandemii i zmniejszyć tłok w galeriach.

Anna, młoda kasjerka w Carrefourze: – Nie miałabym problemu z pracą w niedzielę za większą kasę. Dotychczas wyjeżdżałam w każdy weekend do rodziców, teraz odwiedzałabym ich rzadziej. Ani dla nich, ani dla mnie nie stanowiłoby to kłopotu. A budżet domowy byłby podreperowany.

Może więc zamiast sięgać po demagogiczne argumenty, należało przeprowadzić rzetelne badanie rynku? Bo zwykły Kowalski raczej chciałby robić zakupy w niedzielę. I to zarówno mieszkaniowiec miasta, jak i wsi. Tak wynika przynajmniej z badania zleconego przez CBRE, międzynarodową firmę świadczącą usługi doradcze na rynku nieruchomości komercyjnych: 51% Polaków chciałoby, aby sklepy były otwarte codziennie. Przeciwnego zdania jest co trzeci respondent. Dla wielu ludzi niedziela jest jedynym dniem, kiedy mogą wybrać się na zakupy. Dlatego badanie pokazuje, że w największych

No i studenci, którzy dorabiają głównie w niedzielę. Poza tym handel przez siedem dni w tygodniu zamiast przez sześć rozładowałby tłumy i pozwolił na zachowywanie odstępu między odwiedzającymi centra handlowe.

Na zmianie przepisów mogłyby stracić ulice handlowe, gdzie rozlokowały się kawiarnie i restauracje. Dlaczego? Bo klienci galerii jedliby niejako przy okazji robienia zakupów. Nieznacznie straciłby też handel internetowy, choć pandemia wymusiła tę formę zakupów, a trend się utrzymuje.

Kasa w kościołach czy w galeriach?

Podjęcie do ograniczenia handlu w niedzielę pokazuje po raz kolejny, jak bardzo nasze społeczeństwo jest podzielone. Widać to choćby w komentarzach internetowych. Pod artykułem o propozycji zmian



Społeczne Forum Wymiany Myśli we Wrocławiu
zaprasza na kolejne spotkanie dyskusyjne.

OJCZYŻNA NIENAWIŚCI
24 września 2020 r., godz. 18.00

Ze względu na małą liczbę miejsc
chętnych do udziału w spotkaniu prosimy
o zgłaszanie się na adres mejlowy: piolew361@gmail.com

Transmisja na żywo:
facebook.com/portaltstrajk

W trakcie spotkania zaproszonym gościom będziemy zadawać pytania nadesłane
przez widzów. Zachęcamy do tej formy aktywnego uczestnictwa.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Spotkanie z czasem

Kraków, słońce, białe dorożki jak wycięte z żurnala, z rzadka jednak stukają końskie kopyta, turystów niewielu, bo zaraza, jak przyjemnie, bo nietłoczno, kościół Mariacki nagle ożywiony grą trębacza. Piję kawę na rynku, Mickiewicz na pomniku patrzy na gołębie. To tędy szedłem przed laty z Miłoszem i bawiło mnie, że tak go porusza i cieszy, że wszyscy go rozpoznają. Potem w antykwariacie ABC, obok płytnie Wisła, do Wawelu pięć minut piechotą. Spotkanie poświęcone felietonowi. W dawnej starej aptece szafy przerobione na półki, tajemnicze szufladki. Książki, książki, mam mieszane uczucia, książki mnie zjadają w moim Międzyzlesiu, ale wzruszenie, bo znajduję tomik moich wierszy, wydany w podziemiu, w latach 80. Mam w domu tylko jeden egzemplarz. Kupuję za 12 zł. Mówię do niewielkiej grupki, bo pandemia, i nagle uświadamiam sobie, że piszę felietony od początku lat 80., pracując nad nimi niemal codziennie, nieprzerwanie. To już dziesiątki tysięcy stron, ileż tam mojego życia, wadzenia się z Polską. Właściwie żyję dla felietonu i poprzez niego, to jakaś forma publicznego dziennika.

Nocuję u znajomej malarki. Jest właścicielką okazałej kamienicy niedaleko rynku. Piękna, ale domagająca się odnowienia klatka schodowa, na zapleczu zdziczały ogród. Wielopoziomowe mieszkanie, przyciemnione przez czas, pełne zakamarków, kręte schodki prowadzące w dół, gdzie stoi maszyna do robienia akwafort.

Krzewią się antyczne rośliny, busz – stanowiły tło wielu obrazów naszego wspólnego przyjaciela, wybitnego malarza K. Był bardzo nieszczęśliwy, gdy kiedyś dokonano tu jakichś zmian. A cały dom przypomina człowieka już poważnie zużytego, rzecz można starego. Na parterze indyjska restauracja, kilka firm wynajmuje tu lokale. Znajoma jest więc kamienicznikiem, zdaje się, że to luksus, ale ta kamienica ją zjada, psują się jelita, wątroba do wymiany. Robimy sobie nocne pranie duszy.

Wzruszyłbym się, że prezes tak kocha zwierzęta futerkowe, że rzuca cały ciężar swojej władzy, by je bronić, i naraża się politycznie, zarzynając branżę futrzarską, ale jakoś nie mogę się wzruszyć, bo pamiętam, jakie okropne postacie kochały zwierzęta, jednocześnie nienawidząc ludzi. Ale to prawda, urządziliśmy tym stworzeniom obozy zagłady tylko po to, by je obdzierać ze skóry i je na sobie nosić (jakby pożeranie zwierząt było o wiele

lepsze). A jednak to mały heroizm prezesa – psuje swoją przyjaźń z ojcem dyrektorem. Inna sprawa, że wielbiony przez lud radiomaryjny duchowny, który nie ma w sobie nawet okruszka litości dla cierpień istot żywych, ma za to futrzarskie interesy, jest osobiście moralnie figurą. Tak jednak często bywało w Kościele. I to nie przypadek, że właśnie polski skostniały Kościół wydał takie monstrum jak ojciec dyrektor.

15 września były moje 70. urodziny. A 69 tak dobrze mi się kojarzyło. Teraz już nie ma żartów, sytuacja jest dramatyczna. I tego właśnie dnia w kinie Atlantic spotkanie wokół mojej książki „Dom pisarzy w czasach zarazy”. Są na sali ludzie ze wszystkich warstw geologicznych mojego życia, od wczesnego dzieciństwa, szkoły, przez studia, stan wojenny, po lata ostatnie. Wszyscy zdają się zanurzeni w czasie i z niego wyjęci, już w zmienionej postaci. I ta książka jest wielowarstwowa, losy budynku, mieszkalców – pisarzy, opowieść rodzinna, życie codzienne i obłęd stalinizmu. Dlaczego artyści dali się tak uwikłać? Ale są też kolory i smaki tamtego czasu. Była nas czwórka dzieci na podwórku, gdzie królowała trzepak. Z naszej

czwórki tylko ja jestem na spotkaniu. Monika podobno chora, Agnieszka na wsi. Adam zrobił mi karczemną awanturę kilka dni temu, bo napisałem, że jego ojciec,

znakomity krytyk, idąc z wizytą do sąsiada, Seweryna Pollaka, przyniósł im podwiedźte kwiaty ociekające wodą. I Adam zbojkotował spotkanie. Sandauer był dziwołagiem – to słowa samego Adama o ojcu. Ileż anegdot zrodziła jego niezwykła postać. Nie mogłem przecież ich nie zapisać. Herbert ładnie powiedział: „Pan Bóg miał wielkie poczucie humoru, że stworzył Sandauera”. To więc nie ja wymyśliłem Sandauera. Geniusz był, to jasne, a ludzie genialni bywają osobiści. W sumie piszę o nim serdecznie. A spotkanie było podobno bardzo udane, jak mozaika z różnej zrobiona materii. Na wejściu piosenki z lat 50., zdjęcia na ekranie, aktorzy czytali fragmenty książki, nawet pies prowadzącego zagrał ładną rolę. W puencie wjechał tort z lukrowaną okładką mojej książki. Zanurzam w nim nóż jak w swoim minionym życiu. Miękkie jest już i podatne na krojenie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Nadzieja w 20- i 30-latkach

Młodzi mówią: świat po pandemii będzie lepszy
i my tego dokonamy

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Z badań, które przeprowadziliście na wielotysięcznych grupach przedstawicieli pokolenia Y i Z, a więc osób mających 20-30 lat, wynika, że mimo kryzysu ekonomicznego, klimatycznego i zdrowotnego osoby te kreślą wizję lepszej przyszłości. Badaliście tylko optymistycznie nastawionych, zamożnych i pracujących czy też studentów, bezrobotnych, wycofanych?

– Badania były prowadzone na ponad 18 tys. młodych ludzi z 43 krajów, w tym 300 z Polski, jeszcze przed pandemią. Następnie, już w jej trakcie, uzupełniono je o badanie wśród ponad 9 tys. respondentów z 13 krajów. Dbaliśmy, by był to w miarę szeroki przekrój młodej populacji, więc znalazły się tu np. osoby, które jeszcze nie pracują i są na utrzymaniu rodziców, jak i takie, które deklarowały utratę pracy w ostatnim czasie – tych było nawet ok. 20%.

Czy młodzi boją się bardziej niż reszta dorosłej populacji?

– Milenials, a więc przedstawiciele pokolenia Y i Z, mają do czynienia ze stresem, ale charakteryzuje

Młodzi muszą się nauczyć wykorzystywać naturalny entuzjazm, a nie tylko być w opozycji wobec niekorzystnych zjawisk.

ich większa wrażliwość w stosunku do innych niż do siebie. Ponad połowa najbardziej troszczy się o dobro rodziny, tej, którą sami założyli, lub o dobro starszych, rodziców, rodzeństwa itd. Na drugim miejscu jest troska o własne zdrowie fizyczne, potem o karierę, a dopiero na czwartym miejscu stres spowodowany sytuacją finansową, brakiem pieniędzy. Niepokój powoduje także niejasna sytuacja w edukacji albo dotyczy on szans zdobycia pracy w przyszłości. Z biegiem czasu to napięcie u młodych zmalało, oswoiili

IRENA PICHOLA

– lider zespołu ds. zrównoważonego rozwoju w Polsce i Europie Środkowej w firmie doradczej Deloitte, członek zarządu Forum Odpowiedzialnego Biznesu i wykładowca w Akademii Leona Koźmińskiego.



się z sytuacją i przestali się przejmować błahostkami. Wykazali coraz większe zaangażowanie, a więc zainteresowanie tym, co się dzieje wokół nich. Jako czynniki łagodzące stres można wymienić bliższy i dłuższy kontakt z rodziną, ustanie typowych bólów cywilizacji, np. tłoku w środkach komunikacji, korków na drogach, jak również oswojenie się z pracą lub nauką zdalną.

Mniejszy ruch oznacza także zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza i dokuczliwości hałasu, co też zauważają badani.

– Świadomość młodych ludzi w kwestii ochrony klimatu jest większa niż w przypadku starszego pokolenia. Badania pokazały, że właśnie to ograniczenie wielu elementów niszczących nasze środowisko przekonało respondentów, że czynniki wpływające na pogorszenie klimatu można zatrzymać, a przynajmniej osłabić ich skutki. Wcześniej wydawało się wszystkim, że katastrofa

jest nieodwracalna i nic nie da się zrobić. A okazało się, że wystarczy miesiąc czy dwa obowiązkowego pobytu w miejscu zamieszkania i żyje się w czystszej atmosferze. Czyli nie jest za późno, by ratować klimat. Odsetek pesymistów w tej kwestii zmalał o 10 pkt proc. Zyskali uznanie ci, którzy apelują o ograniczenie podróży samolotami czy zmniejszenie szkodliwego oddziaływania różnych dziedzin produkcji. Pandemia stała się dla wielu pozytywną lekcją, impulsem do wzmożenia wysiłków w celu ochrony środowiska i klimatu. Młodzi zresztą uważają, że katastrofa klimatyczna jest nie mniej ważna niż koronawirus.

Czas po pandemii przyniesie renesans zrównoważonego rozwoju, ekologii i ochrony przyrody?

– Wygląda na to, że taki renesans nadchodzi. Do dobrego stylu należy przecież korzystanie z rowerów czy komunikacji publicznej. Zagrożenie koronawirusem nie jest jedyną obawą spędzającą młodym sen z powiek. Zwłaszcza degradacja środowiska skłania do coraz większej aktywności. Nawiasem mówiąc, jedną z możliwych przyczyn

rozprzestrzeniania się pandemii widzi się właśnie w braku właściwych relacji człowieka i środowiska. Coraz popularniejsze są hasła „zielonej odbudowy gospodarki”, sięgania po fundusze służące naprawie parametrów środowiskowych i wsparciu innych działań na rzecz ochrony przed skutkami suszy, huraganów, pożarów lasów itd.

Czy pokolenie Y i Z zajmie się aktywnie tymi sprawami?

– Badania pokazały, jakich liderów młodzi są skłonni popierać, jak zmienia się lista autorytetów. Młodzieżowe strajki klimatyczne są coraz wyżej w rankingu postulowanych aktywności. Ale pandemia uwrażliwiła młodych ludzi także na codzienne potrzeby społeczne. Deklarują oni chęć podjęcia działań dla społeczności lokalnych, szacunek dla organizacji pozarządowych i *non profit*. Uznają budzą te inicjatywy, czy to władz samorządowych, czy biznesu, które są nakierowane np. na pomoc pracownikom służby zdrowia. I odwrotnie, niektórzy deklarują nawet bojkot struktur biznesowych, które są pozbawione podstawowej wrażliwości i nastawiają się tylko na maksymalizację zysku. Pojawiło się wiele oddolnych inicjatyw, np. produkcja maseczek, przyłbic i innego sprzętu ochronnego, który aktywiści nieodpłatnie przekazywali lekarzom, pielęgniarkom. Taka postawa wcześniej należała do rzadkości. Renesans wrażliwości społecznej obejmuje wiele dziedzin, od akcji ulicznych lub inicjatyw osiedlowej samopomocy po apele o likwidację jednorazowych opakowań plastikowych, nakłanianie do recyklingu albo rezygnację z jazdy samochodem. Z badań wynika, że aż trzy czwarte młodej populacji deklaruje chęć podjęcia takiej aktywności, gdzie inspiracją była pandemia.

A czemu sprzeciwia się młode pokolenie?

– Przede wszystkim bezczynności. Młodzi oczekują większej odpowiedzialności od tych, którzy mają władzę i pieniądze. Żądają konkretnych prospołecznych czy prośrodowiskowych regulacji. Nauczyli się głośno wyrażać troski i obawy. Widać to po stosunku do pracodawców. Około 30% respondentów odpowiada, że zakończyłoby współpracę z tymi branżami lub przedsiębiorstwami,

których działania i produkty mają negatywny wpływ na środowisko i społeczność. Poszukują pracodawców, którzy podzielają ich troski.

Polska populacja Y i Z różni się od tych z innych krajów?

– U nas korporacje nie miały dobrej reputacji, nie ufano im i nie wierzone, ale kiedy poczyniły spore inwestycje, aby zatrzymać ludzi na pokładzie, wykorzystać ich kompetencje np. w pracy online, stosunki się ociepliły. Pracodawcy większości

odpowiedzialność, szacunek dla podstawowych wartości, jakiś czas pewnie się utrzymają. Wielu osobom kryzys dodaje sił. Prospołeczne i prośrodowiskowe decyzje młodych ludzi związane są z lepszą edukacją. Młode pokolenie jest nieźle wykształcone – gdy wejdzie na szczeble władzy, nie będzie tak łatwo podejmować złych decyzji. Można więc przewidywać, że nasz rozwój będzie bardziej zrównoważony. Jednak pokolenie Y i Z samo nie doprowadzi

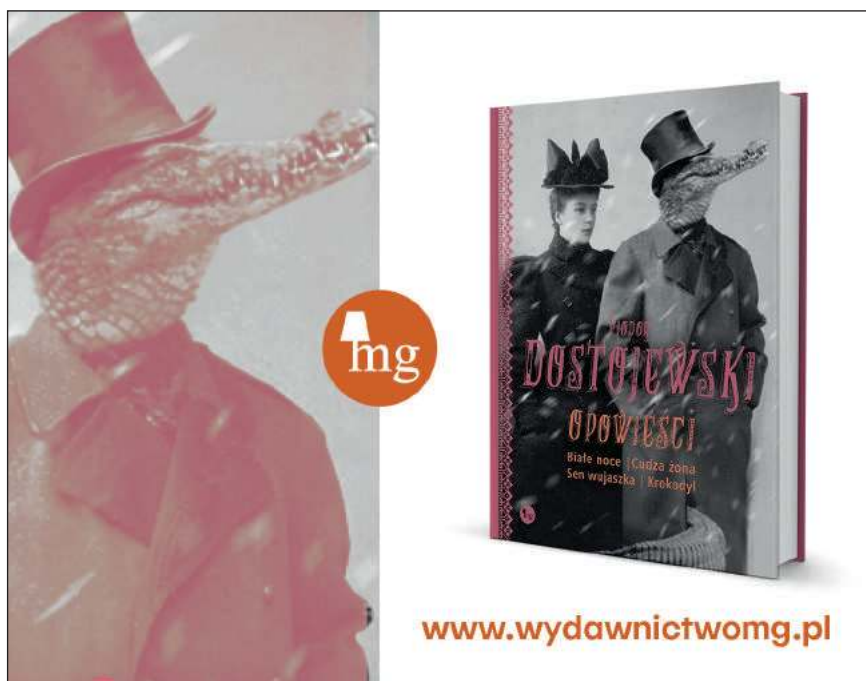
Pokolenie Y i Z uparcie stoi przy swoich racjach, nie jest chwiejne i nie da się łatwo zmanipulować.

branż starali się powstrzymać od zwolnień grupowych, utrzymać miejsca pracy, korzystając z systemów wsparcia, różnych ulg, zwolnienia od opłat i z tarcz pomocowych. Młodzi to docenili. Zauważyli też, że rynek pracy się zmienił, z rynku pracownika stał się rynkiem pracodawcy. Zmieniło się więc myślenie o pracy, wzrosła lojalność wobec takiego pracodawcy oraz szacunek dla dotychczasowego miejsca i stabilności zatrudnienia. Kryzys stał się dla wielu szansą na „zresetowanie” stylu życia, inspiracją do zmiany na lepsze.

Nie możemy więc narzekać na młode pokolenie?

– Pozytywy wynikające z lekcji, którą nam dała pandemia, większa

do takiej zmiany jakościowej. Liczyć się będą umiejętności budowania koalicji w realizacji słusznym celów. Samymi strajkami klimatycznymi niewiele się zdziała, trzeba tworzyć struktury organizacyjne, grupy robocze, zyskiwać zwolenników. Młodzi muszą się nauczyć wykorzystywać naturalny entuzjazm, a nie tylko być w opozycji wobec niekorzystnych decyzji i zjawisk. Potrzebny jest konsensus społeczny. Jedno, co wynika z badań nad pokoleniem Y i Z, to fakt, że młodzi uparcie stoją przy swoich racjach, nie są chwiejni i nie dadzą się łatwo zmanipulować w swoim dążeniu do celu i obronie wyznawanych wartości.



RYDZYK

persona non grata w zachodniej Kanadzie

Najskuteczniejszym sposobem
na ukrócenie szerzenia nienawiści
przez o. Rydzyka jest pozbawienie go
możliwości zbierania funduszy

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Tadeusz Rydzyk nie wygłosi już kazań, nie odprawi mszy ani nie spotka się z wiernymi w salach kościelnych w zachodniej kanadyjskiej prowincji Alberta, gdzie – głównie w Calgary i Edmonton – mieszka liczna Polonia, ani na Terytoriach Północno-Zachodnich. Tak zdecydował abp Richard Smith, a więcej o tym można było przeczytać w artykule „Antisemitic Priest Banned from Canadian Archdioceses” (Antysemicki kapłan z zakazem pobytu w kanadyjskich archidiecezjach), który 15 września ukazał się na stronie internetowej B’nai B’rith Canada, istniejącej od ponad 140 lat organizacji żydowskiej mającej na celu obronę praw człowieka w Kanadzie – kraju, gdzie nienawiść wobec innych ludzi i grup jest sprzeczna z prawem. B’nai B’rith głównie dba o ochronę praw Żydów, ale także innych osób, które padają ofiarą dyskryminacji i/lub nienawiści.

O. Rydzyk nie będzie już miał prawa odwiedzania parafii w zachodniej Kanadzie, Kościół katolicki w Albercie uznał bowiem to, czego tak wiele jednostek Kościoła katolickiego w Polsce (i nie tylko) nie przyznaje, mimo że wiara nakazuje to jednoznacznie: że nie można się zgadzać na propagowanie nienawiści i antysemityzmu, który papież Jan Paweł II uznał za grzech.

Na podjęcie tej szczególnej decyzji duży wpływ miały działania Thomasa Łukaszuksa, Kanadyjczyka polskiego pochodzenia, wieloletniego polityka w prowincji Alberta (ministra edukacji

i emigracji oraz wicepremiera). Dla 51-letniego Łukaszuksa, uznanego za jednego z najbardziej znanych w Kanadzie Polaków, prawa człowieka mają ogromne znaczenie.

Zaczęło się od Calgary

O. Tadeusz Rydzyk często odwiedza Toronto. We wrześniu 2018 r. zaplanował podróż do tego miasta, a także do Vancouver, Winnipeg i Calgary. Szeroko zapowiadano jego wizytę w parafii Matki Bożej Królowej Pokoju w Calgary. Właśnie przeciwko tej wizycie zaprotestował Thomas Łukaszuks, zwracając uwagę na to, że w wielokulturowej Kanadzie, gdzie w harmonii żyje prawie 200 grup etnicznych, nie ma miejsca na propagowanie poglądów wrogich wobec innych grup religijnych, etnicznych czy mniejszościowych. Jego list do biskupa Calgary Williama McGratana nie odniósł jednak zamierzonego skutku – biskup odpisał Łukaszuksowi, że o. Rydzyk wykazuje „oznaki poprawy” od czasu upomnienia go przez papieża Benedykta XVI w 2006 r. Wizyta toruńskiego redemptorysty doszła do skutku.

Łukaszuks próbował więc namówić Kongres Polonii Kanadyjskiej, rozmawiając z jego prezesem, aby jasno zadeklarował, że poglądy i opinie o. Rydzyka nie są podzielane przez ogół Polonii, ale Kongres nie chciał angażować się w tę sprawę.

Po wizycie o. Rydzyka w Calgary i protestach Łukaszuksa sprawą zainteresował się główny publiczny



W Kanadzie o. Rydzyk poprzez zarejestrowane tu organizacje zbiera ok. 300 tys. dol. rocznie.

nadawca radiowo-telewizyjny w Kanadzie, CBC, kanadyjski odpowiednik BBC. Opublikowany przez CBC artykuł został przedrukowany w Polsce i wtedy dwaj nasi rodacy – autorzy petycji „Apel o ukrócenie politycznej działalności Tadeusza Rydzyka”, którzy postanowili pozostać anonimowi, obawiając się problemów w kraju, nie otrzymawszy wsparcia od polskich polityków, poprosili o pomoc Thomasa Łukaszuksa. „Zwracamy się z prośbą o ukrócenie działalności politycznej redemptorysty Tadeusza Rydzyka i przywrócenie charakteru religijnego jego radiu oraz telewizji” – to początek petycji podpisanej przez ponad 200 tys. osób.

Łukaszuks dotrzymał słowa i doprowadził do tego, że petycja w czterech językach dotarła do papieża Franciszka. Najpierw przekazał ją arcybiskupowi Edmonton Richardowi Smithowi, a następnie wysłał zarówno do nuncjusza apostolskiego w Kanadzie,

jak i bezpośrednio do papieża. Na początku roku Łukaszuk dostał potwierdzenie, że przesyłki dotarły do adresatów i że zapoznają się oni dokładnie ze sprawą.

Po Albercie reszta Kanady?

Thomas Łukaszuk opowiada, że mało przedtem znany w Kanadzie poza kręgami polonijnymi o. Rydzyk stał się obiektem zainteresowania miejscowych władz kościelnych. Abp Richard Smith podjął decyzję po konsultacjach z pozostałymi biskupami w prowincji Alberta, w tym z biskupami ukraińskich parafii katolickich oraz proboszczami parafii polonijnych na tym terenie.

– Abp Smith jest bardzo szanowany nie tylko przez katolików z zachodniej części Kanady, ale i przez całe społeczeństwo. Pochodzi ze środowisk akademickich i żeby podjąć taką decyzję, z pewnością zapoznał się dokładnie z działalnością o. Rydzyka. Informacje na jego temat są powszechnie dostępne. Amerykański Departament Stanu uznał Radio Maryja za najbardziej nienawistną rozgłośnię w Europie, a Parlament Europejski wydał podobną opinię. Artykuły o nim były publikowane w ważnych czasopiśmie, np. w „The Economist” – mówi Łukaszuk. Dlatego rozstrzygnięcie tej kwestii trwało dosyć długo.

Thomas Łukaszuk deklaruje, że nie zatrzyma się na Albercie. – Będę w kontakcie z kard. Tomem Collinsem, który jest byłym arcybiskupem diecezji Edmonton, żeby rozszerzyć ten zakaz na teren całej Kanady, bo to, co jest prawe, racjonalne i moralne w Albercie, będzie również prawe, racjonalne i moralne w Toronto, Montrealu, Vancouver i w innych miejscach, gdzie o. Rydzyk spotyka się z Polonią i zbiera pieniądze.

Najczęściej bywa w Toronto, a Łukaszuk mówi, że wielką polonijną parafię w sąsiadującym z Toronto miastem Mississauga szef Radia Maryja traktuje jak swoją – czuje się tam proboszczem.

Szlaban na zbiórki

Kanada jest miejscem, gdzie o. Rydzyk zbiera duże pieniądze poprzez zarejestrowane tu organizacje. Thomas Łukaszuk zapowiada, że pracuje również nad pozbawieniem ich statusu

charytatywnego, co przeszkodzi Rydzykowi w zbieraniu funduszy (mowa o kwotach ok. 300 tys. dol. rocznie). Jego zdaniem zmniejszy to możliwości siania nienawiści wśród Polonii.

Łukaszuk tłumaczy, że jest to swoiste obejście kanadyjskiego prawa. O. Rydzyk i jego rozgłośnia Radio Maryja założyli tutaj organizacje charytatywne, w których redemptorysta figuruje jako prezes lub sekretarz. Zaangażowany w to jest również o. Jan Król,



Thomas Łukaszuk: – Działalność Radia Maryja i tematy, które są tam poruszane, nie spełniają wymogów organizacji charytatywnych.

prawa ręka Rydzyka, który występuje jako członek komisji nadzorczej. Organizację charytatywną w Kanadzie może zarejestrować tylko stały rezydent lub obywatel Kanady. I tak jest – są to osoby mieszkające tutaj na stałe, mające, jak wskazują ich nazwiska, polskie pochodzenie. Po prostu figurują w tych organizacjach, które, mając charakter charytatywny, są uprawnione do wydawania potwierdzeń przekazania im dotacji, na podstawie czego darczyńcy mogą te kwoty odpisywać od podatków. – Pośrednio Radio Maryja jest więc finansowane przez wszystkich podatników kanadyjskich – zwraca uwagę Łukaszuk. – To jest coś, co trzeba natychmiast zatrzymać, bo działalność Radia Maryja i tematy, które są tam poruszane, nie spełniają wymogów organizacji charytatywnych.

Zdaniem Łukaszuksa najsukuteczniejszym sposobem ukrócenia procederu szerzenia nienawiści przez o. Rydzyka jest pozbawienie go możliwości zbierania funduszy, zarówno przez jego przyjazdy do Kanady i wystąpienia, na które sprzedawane są bilety i gdzie zbierane są dotacje, jak też „poprzez używanie naszego systemu podatkowego”. – Jako były polityk kanadyjski i obywatel Kanady nie chcę ingerować w jego działalność

w Polsce – to pozostawiam mieszkającym tam rodakom, rządowi i hierarchii polskiego Kościoła, ale kiedy jego działalność rozszerza się na Kanadę, uważam za swój obowiązek ingerowanie – jako Polak i Kanadyjczyk. Gdybym płacił podatki w Polsce, uważałbym za swój obowiązek przeciwstawianie się temu w Polsce.

Łukaszuk przyznaje, że w Kanadzie przekaz o. Rydzyka i Radia Maryja jest jeszcze bardziej szokujący, ponieważ tutejszy Kościół nigdy nie ingeruje w sprawy polityczne i zajmuje się wyłącznie kwestiami religijnymi. Łukaszuka dziwi i martwi bierność i przyzwolenie ze strony władz i Kościoła w Polsce na działalność i idee o. Rydzyka. Nie tylko liderzy powinni na to reagować i wyrażać sprzeciw, ale także zwykli ludzie. – Jeżeli chcemy żyć w społeczeństwie, gdzie jest równouprawnienie wszystkich obywateli, każdy z nas powinien starać się podtrzymywać ten

system i zawsze gdy zauważamy, że to równouprawnienie jest podważane, naszym obowiązkiem jest przeciwstawić się. Dzisiaj nienawiść może być skierowana na grupę, do której my nie należymy – gejów, Żydów, imigrantów, ale jutro nasza grupa może się znaleźć na celowniku. Dzisiaj to „oni”, więc musimy „ich” bronić, bo jutro to możemy być my, jak uczy nas historia lat 30. w Europie. ■

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Gatunek nowy – Rydzyk futerkowy.



Krwawe rozprawy ze strajkującymi

Policja była używana do wszelkich czynności nic wspólnego niemających z bezpieczeństwem obywatela

Reakcja Polaków na klęskę Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r. zmusiła władze na emigracji do powołania specjalnej komisji, której zadaniem było ustalenie przyczyn tak szybkiego upadku Polski. Premier Władysław Sikorski powołał ją 10 października 1939 r. Poniżej publikujemy protokół z przesłuchania przed tą komisją gen. Kordiana Zamorskiego, komendanta głównego Policji Państwowej.

Prezentowany dokument jest niezwykle z wielu powodów. Oto bowiem członek najwyższych władz międzywojennej Polski ukazuje prawdziwe oblicze sanacji. I jeżeli nawet uwzględni się,

że to, co zeznaje, miało być jego obroną, jest to jednak przerażający obraz państwa polskiego, jego opresyjności i brutalności, ale przede wszystkim bezkarności sanacyjnych polityków. Dokument przedstawia ich reakcje na strajki robotników, bezrobotnych czy chłopów, które w zasadzie nie istnieją w podręcznikach. Jest obrazem zupełnie nieprzystającym do tego, co głoszą twórcy i realizatorzy polityki historycznej spod znaku IPN.

Poniższy dokument pochodzi z wydanej przez PRZEGLĄD książki „Kto odpowiada za klęskę wrześniową. Próby rozliczeń 1939-1954”.
Paweł Dybicz

**KORDIAN ZAMORSKI, gen. bryg.
Bukareszt, dn. 13 III 1940 r.
Do pana Delegata Komisji Rejestracji Faktów
w Bukareszcie**

Nigdy przed objęciem Komendy Głównej nie miałem do czynienia z administracją cywilną na jej najwyższym szczeblu. Od pierwszego dnia rozczarowałem się niezwykle. Dowiedziałem się przede wszystkim, że Komendant Główny Policji

naszym, bandytyzm hulał, włóczęgostwo stało się przeklętą plagą miasteczek i wsi, a policja „zestawiła ewidencję” służby kościelnej, prowadziła kartoteki członków legalnych stowarzyszeń i przeszło 200 innych czynności wykonywała nic wspólnego niemających ze służbą bezpieczeństwa.

Kiedy wszcząłem akcję, by policjanci przestali usługiwać do stołu u pp. wojewodów i przestali być

i wrzucano policję w teren objęty „rozruchami”.

Policja obca szła w teren obcy, niezorganizowana, nieznani sobie wzajemnie, źle zaprowiantowani, źli. To oczywiście dawało podłoże do wszelkich łajdactw w rodzaju nakazywanych przez administrację suchych pożarów (Kowel 1936, Zamojaszczyna i Tarnopolskie 1937),

ARCHIWALNE TAJEMNICE

NIEZNANE DOKUMENTY, KTÓRE OBNAŻAJĄ RZĄDY SANACYJNEJ ELITY

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

45 zł

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



właściwie nie ma żadnych kompetencji. Jest on człowiekiem „od guzików” i baczyć powinien, by orły na guzikach były głowami do góry. Tak była napisana ustawa i takie było nastawienie władz administracyjnych, ściśle mówiąc, różnych kreatur „bezpieczeństwowych” i macherów starościąńskich.

Policja była używana przez tych drani do wszelkich czynności nic wspólnego niemających z bezpieczeństwem obywatela w kraju

ich szoferami, miałem ich prawie wszystkich przeciw sobie.

W tych warunkach administracja I instancji nigdy na czas nie zgłaszała przygotowujących się akcji masowych. Każdy starosta zgłaszał, że u niego wszystko w porządku itp. Wojewoda meldował to dalej, tak że jak jaki rozruch wybuchał, nigdy nie wchodziło w jego przyczyny, tylko pierwszy odruch był ściągać na gwałt policję. Ogałano połacie kraju uznane za spokojne

bicia i wszelkich innych bezprawia, w których właściwi sprawcy w czasie już dochodzeń dyscyplinarnych chowali się za plecy prostych chłopów, jakimi są policjanci. Wyjątkowe wypadki były, gdzie działały się te rzeczy w obecności oficera.

Na skutek tego zażądałem, by nie wysyłano nigdy oddziałów policjantów niezorganizowanych, tj. z wyrażnie wyznaczonym komendantem, i by ich potem nie rozdzielano. Po długich molestacjach podpisał mi

nareszcie takie rozporządzenie minister Raczkiewicz.

Mimo tego Panowie Wojewodowie zawsze oddziały rezerwowe dzielili. Dopiero tragiczne wypadki lwowskie (sztrajk robotników ziemnych i zdemolowanie Lwowa (1936) pogrzeb Kozaka¹) zniewoliły ministra Składkowskiego do ponownego, bardzo ostrego zarządzenia w tej mierze. Widząc ponadto, że masa krwawych likwidacji dzieje się dlatego, że przy policji nigdy nie ma urzędnika administracji, zażądałem, aby tacy panowie byli i zarządzenia swoje wydawali nie bezimiennie. Żądania te były bez rezultatu.

Stwierdzam, że prawie wszystkie wypadki krwawe, jak Lwów i Kraków (wojewoda Świątalski), wynikły z powodu haniebnego tchórzostwa władz administracyjnych i lekkomyślności. Jeśli bowiem taki starosta [Władysław] Pałosz² zezwala na zgromadzenie 10 000 tłumu, musi się zastanowić, gdzie i jak ten tłum się rozjeździe. Jeśli potem daje rozkaz 24 policjantom zamknąć za wszelką cenę wylot z placu Matejki w Krakowie, to musi dojść do masakry. Starosta Pałosz w kryminale za to nie siedział, natomiast ja przeniosłem 6 oficerów policji.

Poza tym nie słyszałem nigdy, by ministerstwo moje miało kiedykolwiek jakąkolwiek inicjatywę w rozwiązywaniu kwestii ruchów ludowych. Nieznajomość psychiki chłopca, zwłaszcza małopolskiego, była karygodna. Chłopa tego nawiątko od 1876 r. do prac obywatelskich, biorącego żywy udział w samorządzie zrównano z ciemnym chłopem z Polesia. Chłopem właściwie według mojej oceny nie interesował się nikt poza policjantem i egzekutorem. Pobudowano wprawdzie tu i ówdzie piękne siedmioklasowe szkoły, ale chłop w ścisłym tego słowa znaczeniu pomocy w oświacie, zwłaszcza dorosłych, nie miał żadnej. Rząd nasz był dla niego czemś niezwykle obcym, na co nie pomagały żadne tłumne wycieczki wiejskie do stolicy czy na wszelakie święta.

Kiedy poruszałem wielokrotnie sprawę ułatwienia w nabyciu przez chłopów soli bydłowej³, na której zakup należało przedstawić w sklepach



Kordian Zamorski, komendant główny Policji Państwowej w latach 1935-1939.

zaświadczenie gminne, kiwano głowami i palcem w bucie (minister Kościatkowski, Raczkiewicz, Składkowski). Ministrowi Składkowskiemu specjalnie przedkładałem egzemplarz takiego oświadczenia i użyłem wyrażenia „Panie Ministrze, jak pan da chłopu polskiemu sól, to lud na Podhalu pomnik panu wystawi. Czy to nie skandal, żeby w kraju soli, jakim jest Polska, chłop solił ziemniaki wodą soloną”. Nic z tego nie wyszło, a właściwie wyszło. Chłopski strajk, krwawo stłumiony przy pomocy policji skoncentrowanej z całej Polski, a więc i ze Śląska.

O tym strajku meldowałem premierowi w marcu, ostrzegając, że trzeba chyba konferować z jakimiś przedstawicielami chłopów i dać jakieś swobody, bo jesienią będzie z tego czarny albo krwawy strajk. Tak się stało, bowiem Pan Żyboriski uspokoił premiera i dążył do krwawej łaźni. Istotnie ofiar byłoby więcej, dzięki tylko zachowaniu się kompanii rezerwy, którym mogłem dać osobiście instrukcję, wypadki nie przybrały rozmiarów wręcz potwornych.

Gorszą jeszcze stroną niż ta pacyfikacja prowadzona przez Żyborskiego były późniejsze tzw. represje. W tarnobrzeskim przybrały one formy tak ohydne, że napisałem o tym do wojewody Biłtyka, żądając, by nie demoralizowano policji, nakazując jej robić te suche pożary, o czym meldunki dostałem od komendantów moich kompanii rezerwy. Biłtyk odpisał, że on na to nie ma wpływu. Zrozumiałem, że nakazywał to Żyboriski. (...)

Już w roku 1939 rozruch chłopski w starostwie wołkowyskim na tle melioracji dał mi znów sposobność zrobienia doniesienia na bezmyślność i złą wolę urzędników starostwa, którzy zamiast chłopów danej gminy przed zarządzeniem melioracji uświadomić, posłali geometrę, którego chłopci przepędzili, potem naturalnie skonsygnowano policję, no i pacyfikowano. Wyrzuciłem wtedy zdanie, że skoro są pieniądze na wożenie całych gmin do Turka⁴, to przecie powinny się znaleźć pieniądze na przewiezienie kilku poważniejszych gospodarzy z danej wsi do miejscowości już zmeliowanej, by zobaczyli dobrodziejstwo melioracji. Na pewno miałyby to lepszy skutek niż walenie pałkami policyjnymi. Dochodzenie wykazało słuszność moich zarzutów, ale konsekwencji nie wyciągnięto żadnych. Wydaje mi się, że zarówno starosta, jak i minister dali się nieść na fali, czekając, co będzie. Nie było nic, to chwata Bogu, była (?) na to policja.

(-) Kordian Zamorski⁵

Stwierdza się zgodność odpisu z oryginałem.
Londyn, 27 V 1941 r.

¹ Dopisane odręcznie. Antoni Kozak – bezrobotny zastrzelony przez policję w czasie demonstracji.

² Starosta w Krakowie w 1936 r.

³ Państwo przyznało sobie na niektóre produkty, w tym sól wszelkiego rodzaju – jadalną, bydłową itp. – monopol skarbowy. Stąd utrudnienia (w postaci zaświadczeń) dla chłopów, którym sól była niezbędna w większej ilości dla krów bądź owiec (skażenie soli, jej kolorowanie itp.). To z kolei było jedną z przyczyn ich wystąpień przeciw władzy.

⁴ Nie udało się ustalić, o co chodzi.

⁵ Tak w dokumencie.

Czy ekspert może być rusofobem?

Ludzi, których wiedza na temat Rosji jest dostatecznie głęboka, próżno szukać w gremiach służących klasie politycznej

Witold Modzelewski

Chcąc zobiektywizować przychyny jednoznacznej i wyjątkowo konsekwentnej wrogości naszej klasy politycznej w stosunku do Rosji, podaje się dwie główne okoliczności: emocjonalną i intelektualną. Ta pierwsza wynika (jakoby) z konieczności „odreagowania”. Przez długie bowiem dziesięciolecia strach nakazywał skrywać zapiekłe niechęci, które eksplodowały, gdy odwaga przyszła wraz z parasolem

rządzający, chyba nie mają sztabu, który działając w interesie publicznym, dostarczałby na bieżąco niezbędnych analiz oraz informacji. Co wcale nie oznacza, że nie ma w Polsce ludzi, których wiedza na temat Rosji jest dostatecznie głęboka i którzy potrafią się nią posłużyć w interesie publicznym. Odwrotnie, jest ich wielu, sądzę, że nawet więcej niż w państwach ościennych. Próżno za to ich szukać w gremiach służących klasie politycznej, pomijając już fakt, że takich gremiów prawie nie ma.

szwach narodowych”. Przypomnę, że takie oto brednie pletli wyznawcy tzw. prometeizmu, co spotkało się z zabójczą dla nas odpowiedzią w dniu 17 września 1939 r. To nie my zlikwidowaliśmy wtedy Związek Radziecki – to on zlikwidował nasze państwo, właśnie „prując je po szwach narodowych”.

Czy ktoś, kto, przyjmując rolę eksperta do spraw stosunków polsko-rosyjskich, nie wie, że nasz historyczny spór z Rosją o ziemie zaborów rosyjskich z lat 1772-1796 ostatecznie i definitywnie przegraliśmy właśnie dlatego, że chcieliśmy zniszczyć przeciwnika, a niewiele brakowało, że on zniszczyłby nas? Koszt naszej polityki wschodniej prowadzonej w ostatnim stuleciu, którą realizowały tzw. siły niepodległościowe (czyli antyrosyjskie), był wręcz niewyobrażalny: przegraliśmy wszystko, co można było przegrać, wyhodowaliśmy nowych, mniejszych wrogów, którzy przejęli od Związku Radzieckiego resztki naszego dziedzictwa, a my „przy okazji” byliśmy grabieni przez tych, którzy zawsze umacniali nas w antyrosyjskich fobiach.

Czy ktoś, kto się mieni ekspertem, powinien się przyczyniać do katastrofy tego, komu w ten czy inny sposób doradza? Rozumiem, że

Nowi znawcy problematyki rosyjskiej nie ukrywali wrogości do wszystkiego, co rosyjskie.

rozpiętym nad nami przez naszego „strategicznego sojusznika”, ponoć równie opętanego rusofobią. Druga okoliczność, nazywana intelektualną, to brak zaplecza eksperckiego, które mogłoby podsunąć całej klasie politycznej nie tylko jak najbardziej obiektywne analizy polskiego interesu w relacjach z Rosją, ale nawet porcję niezbędnej wiedzy – również tej o podstawowym znaczeniu. Inaczej mówiąc, przyczyną nieprzejednanej wrogości są: niedojrzałość emocjonalna i brak wiedzy.

Jeśli powyższe diagnozy są choć trochę prawdziwe, trudno sobie wyobrazić gorszą recenzję naszej kondycji. Można by rzec, że ciąży na naszym narodzie jakieś przekleństwo, czyli Bóg pokarał nas w sposób wyjątkowo perfidny, dając nam takie oto elity polityczne. Odrzucam jednak tezę o ciężącym nad nami fatum, mamy tu natomiast pewną przypadłość i postaramy się znaleźć jej rzeczywiste przyczyny.

Sądzę, że jest coś z prawdy w drugiej z powyższych diagnoz. Nasza klasa polityczna, a nawet

Natomiast daje się czasami usłyszeć wypowiedzi ekspertów medialnych, którzy pieczętowali się afiliacją w biznesie zajmującym się ucieczką od opodatkowania.

Ci nowi znawcy problematyki rosyjskiej są nawet zewnątrznie podobni do ludzi z tzw. międzynarodowego biznesu podatkowego: są krótko ostrzyżeni, noszą przyciasne, ale raczej drogie garnitury i biegle posługują się językiem angielskim (czy znają rosyjski – nie wiadomo). Najważniejszy jest jednak ich

Koszt naszej polityki wschodniej w ostatnim stuleciu był niewyobrażalny: przegraliśmy wszystko, co można było przegrać.

przekaz na temat Rosji: również nie ukrywają wrogości do wszystkiego, co rosyjskie, a ich diagnozy podporządkowane są strategicznej misji szkodzenia Rosji, bo to nasz „odwieczny wróg”. Niedawno nawet usłyszeliśmy w medialnej dyskusji powtórzoną na poważnie starą i wyjątkowo głupią tezę, że polskim zadaniem jest zniszczenie tego państwa i należy je „pruć po

tak można postępować w międzynarodowym biznesie podatkowym lub gdy ekspert wywodzi się z innych państw, bo wtedy nie trzeba zwracać sobie głowy naszym interesem publicznym i dobrem obywateli naszego kraju, zwłaszcza że stoją one w sprzeczności z interesem naszych bliższych lub dalszych sąsiadów – aby ktoś wygrał, musi ktoś przegrać. Ekspert doradzający

komukolwiek, a zwłaszcza państwu, którego jest obywatelem, powinien zgodnie z zasadami sztuki kierować się dobrem tego, komu doradza. A kiedy ów ekspert źle doradza? Gdy, po pierwsze, nie zna się, czyli popełnia często zasadnicze błędy merytoryczne, oraz, po drugie, gdy działa w złej wierze, czyli jego porady mają zaszkodzić temu, komu doradza.

Mam wątpliwości, czy rusofobiczna narracja „środowisk opiniotwórczych” jest prowadzona w dobrej wierze.

Nie podejrzewam większości medialnych ekspertów wypowiadających się publicznie o stosunkach polsko-rosyjskich o posiadanie pozainternetowej wiedzy na temat tego państwa; może się mylę, ale ich język i sposób argumentacji każą przypuszczać, że „nie wiedzą, ale również nie wiedzą, że nie wiedzą”. Bardzo chciałbym być w błędzie, bo być może pozory mylą.

Mam natomiast zasadnicze wątpliwości, czy wszechobecna rusofobiczna narracja „środowisk opiniotwórczych” jest prowadzona w dobrej wierze. Jeśli nasza klasa polityczna wciąż w większości nosi krótkie spodnie i nie może się pozbyć chłopięcych fobii („nie lubię ruskich”), które zastępują jej racjonalne myślenie, to nie należy jej w tym umacniać. Odwrotnie

– trzeba przemawiać do powagi, a nie do emocji, za pomocą obiektywnej i powściągliwej argumentacji. W interesie Polski i wszystkich (bez wyjątku) obywateli polskich oraz cudzoziemców mieszkających w naszym kraju jest pokój, demokracja, rozwój ekonomiczny oraz stabilizacja polityczna i społeczna naszej ojczyzny, która nadal jest i długo będzie „na dorobku”,

wychodząc z biedy i degradacji zafundowanej nam nie tylko na początku tej epoki. Aby to osiągnąć, nie możemy z nikim prowadzić ani gorącej, ani nawet zimnej wojny, nie możemy prowadzić wrogiej polityki w stosunku do kogokolwiek, zwłaszcza wobec tych, którzy nie zgłaszają jakichkolwiek roszczeń do majątku naszego państwa czy jego obywateli. Rosja nie ma wobec nas roszczeń ekonomicznych ani majątkowych, nie posiada w Polsce mniejszości narodowej, nie istnieje nawet partia polityczna, którą można być nazwać prorosyjską – wszystkie są proniemieckie lub proamerykańskie. Nie mamy również sprzecznych interesów ekonomicznych i nic nam nie wiadomo, aby istniał w Moskwie jakiś wrogi plan wobec Polski. Dlaczego więc szkodzimy sobie, hodując kolejnego wroga?

Witold Modzelewski jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego – Instytutu Studiów Podatkowych

DAJEMY DZIECIOM SIĘ

ZADBAJ O DZIECIĘCY MÓZG

Wprowadź Domowe Zasady Ekranowe

domowezasadyekranowe.fdds.pl

saferinternet.pl

Współfinansowane przez Unię Europejską, Instrument „Łącząc Europę”

Prawdziwych przyjaciół poznajesz, gdy świat leży u twoich stóp.

Bérénice Bejo

François Damiens

małe
szczęścia...

film Daniela Cohena

Scenariusz adaptacja dialogi **Daniel Cohen** we współpracy z **Olivierem Dazatem**
na podstawie sztuki **Daniela Cohena** „L'île flottante”

#CHODŹ
DOKINA

w kinach od 18 września

www.catalapopsfilms.pl

Dystrybucja w Polsce



TwijSTYL

PANI

Przełąd

eprasa.pl 79dd6fbc0a



WP

Radostaw S. Czarnecki

Rocznica i mit

Jeśli po 1945 r. w naszym kraju dokonana się rewolucja, to po roku 1989 mamy do czynienia z kontrrewolucją

40-lecie porozumień sierpniowych dało asumpt do wielu analiz, wspomnień i podgrzewania mitologii z tym wydarzeniem związanej. Wydana tuż przed tą okrągłą rocznicą książka „Zagrabiona historia Solidarności” prof. Brunona Drwęskiego oraz wywiad z nim przeprowadzony przez Pawła Dybiczę (PRZEGLĄD nr 35) stanowią chlubne wyjątki w tym chórze mitomanii i zwyczajnej manipulacji. Na naszych oczach stworzono kolejny mit zaciemniający rzeczywistość. Żyje jeszcze sporo ludzi, którzy pamiętają tamte czasy i rozumieją, co do tamtych wydarzeń doprowadziło. Warto zwrócić uwagę na mitologię, w jaką obrosły te wydarzenia, mające wpływ na nasze dzieje najnowsze.

Mit to – jak pisał prof. Ludwik Stomma – specyficzna wykładnia dziejów czy układów społecznych, oparta najczęściej na chwytliwej formie, podawana za oczywistą i jedynie prawdziwą. Mit określa świadomość społeczną we wszystkich wspólnotach. Ale narracja nad Wisłą przybiera karykaturalne formy, prowadząc tym samym na manowce. Tak jest też z 40. rocznicą Sierpnia i powstaniem oraz działalnością Solidarności.

Jednym z elementów tej mitologii jest przekaz, że strajki i wymuszone na władzach zmiany miały korzenie w powszechnym antykomunizmie. Nie będę przywoływał skrzętnie dziś pomijanego hasła strajków „Socjalizm tak, wypaczenia nie”. Chcę tylko poruszyć ten element przekazu elit i mainstreamowych mediów, jakoby głoszący gremialnie na PiS ludzie mieli predylekcję do komunizmu i byli niejako porażeni syndromem *homo sovieticus*. Bo tak jest to łączone.

Ten błąd antykomunistycznego i prymitywnego myślenia, podparty pogardą dla wszystkiego, co wydarzyło się w Polsce między 1945 a 1989 r. (także dla ludzi, którzy tamten okres spędzili w sposób twórczy i efektywny, nie konspirując i nie kontestując wszystkiego), prowadzi na polityczne bezdroża. Według tej narracji epoka 1945-1989 to kompletny armagedon.

W rzeczywistości piętno pańszczyzny i folwarku trwa – choć w zmienionej figurze i nowym wymiarze – w głowach zarówno „ludu”, jak i elit. I ludzie Solidarności ten paradygmat

powielili. To syndrom uległości, pokornego „niesienia swojego krzyża”, jak naucza Kościół. Poczucie wspólnoty – tak, ale na zasadzie parafii (czyli hierarchia „zadekretowana” przez Boga). Kościół i kontreformacja mają kolosalny udział w trwającym przez wieki megakonserwatywnym systemie, niechętnym nowoczesności *de facto* do 1945 r. To także sposób organizacji społeczeństwa oraz kulturowania określonych wartości. Ten syndrom dotyczy też elit. To owa pańskość, paternalizm, wyniosłość oraz konserwatywny – wbrew zapewnieniom postsolidarnościowych elit – antymodernizm życia ziemiańskiego. To efekt swoistej „gnuśności” intelektualnej związanej z tzw. kulturą dworku – patrz „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego czy twórczość Witkacego bądź Gombrowicza.

PiS jest takim samym dzieckiem panny S jak inne twory polityczne.

Nie mówi się o tym, że bunt i strajki w Polsce Ludowej miały zawsze charakter socjalny, a nie uniwersalistyczny. Indywidualizm wszczepiony w nas przez historię i kulturę tak samo charakteryzuje „lud”, jak i „oświecone, postsolidarnościowe elity”. Folwarczny parobek myślał tak samo indywidualistycznie jak jego pan sarmata. Jeden – by przeżyć, drugi – aby pomnożyć swoją własność i brylować wśród innych sarmatów. Z tego nie mogła się urodzić kultura mieszczańska z całą swoją tkanką stylu życia i myślenia, a co za tym idzie – efektów w historii. Ona to bowiem stworzyła w XIX w. podstawę demokracji i parlamentaryzmu. Z samoograniczającą się wolnością i z szacunkiem dla prawa stanowionego. Dla zbalansowania indywidualizmu i dobra wspólnego. Dlatego wyłoniła się tzw. klasa średnia będąca nośnikiem tych idei i zasad. Zrzucanie

wszystkich wad i przyczyn polskich współczesnych klęsk na tzw. komunizm jest kontrproduktywne i nieco śmieszne, bo ahistoryczne.

Czy możemy więc traktować Solidarność i wszystko, co wydarzyło się w związku z jej powstaniem, działalnością i zwycięstwem, nie jako rewolucję, ale jako kontrrewolucję? Kontrrewolucja to zapobieżenie rewolucji lub jej stłumienie, a po jej zwycięstwie to walka o przywrócenie dawnego porządku. Jeśli po 1945 r. w naszym kraju dokonana się rewolucja – i to nie tylko w wymiarze politycznym, ale przede wszystkim cywilizacyjnym, kulturowym, mentalnym i społecznym – to po 1980 r., a na pewno po roku 1989 mamy do czynienia z kontrrewolucją. Bo jej nieodłącznym towarzyszem jest restauracja dawnych, przedrewolucyjnych porządków, przede wszystkim własnościowych. Nawet nie konserwatyzm, ale tradycjonalizm jest esencją tych trendów.

Widać to dziś w naszym kraju przede wszystkim po stanie świadomości, retoryce, mentalności, a także w systemie wartości, jakim hołduje się w III RP. Dlatego uważam, że PiS jest tych trendów efektem, nie źródłem. I dlatego jest on takim samym dzieckiem panny S jak inne urodzone z jej łona i myśli twory polityczne.



Szwedzi potrafią się dogadać

Cały dobrobyt Skandynawii zbudowany jest na kompromisie

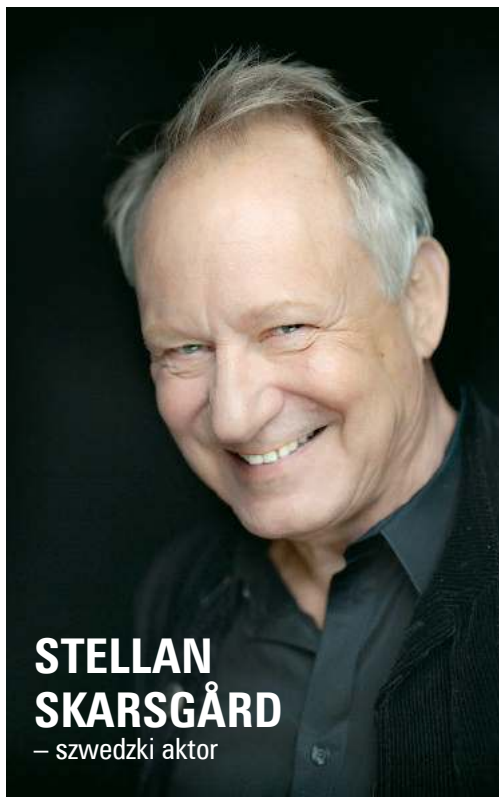
Rozmawia Kuba Armata

Powiedział pan kiedyś, że fundamentem szwedzkiej kultury jest kompromis, jako naród nie lubicie się konfrontować. Z czego to wynika?

– Brak konfrontacyjnej postawy w pewnych kwestiach nie jest zbyt dobry, w innych z kolei sprawdza się znakomicie. Cały dobrobyt Skandynawii zbudowany jest właśnie na kompromisie. To zaczęło się jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku, kiedy na skutek protestów robotników cały przemysł znajdował się w ogromnym kryzysie. Udało się wtedy dojść do porozumienia i ustalono, że nie będzie więcej strajków. I tak nie było ich przez kolejne 40 lat, dzięki czemu zbudowano odpowiednie fundamenty. Inne kultury, z amerykańską na czele, są szalenie konfrontacyjne. Liczy się tylko to, żeby wygrać, dopiąć swego. Tam chyba w ogóle nie zna się słowa kompromis.

Pytam, bo film „Nadzieja”, w którym wcielił się pan w jedną z głównych ról, bazuje na konfrontacji – z bezlitosną diagnozą, partnerem, rodziną, otoczeniem. Trudniej też kryć się za materią filmową, bo to historia pana przyjaciół, reżyzerskiej pary Marii Sødahl i Hansa Pettera Molanda. U Marii stwierdzono raka.

– Wiele o tym rozmawialiśmy, jeszcze zanim rozpoczęliśmy prace nad filmem. To nie był dla mnie obcy temat, bo moja żona również miała diagnozę nowotworową. Choroba Marii z pewnością nie napawała optymizmem. To było trudne doświadczenie, zwłaszcza że nasze rodziny od lat są ze sobą bardzo blisko. Przyszła chwila, w którym pogodziliśmy się z tym, że nie skończy się to dobrze, bo szanse Marii, biorąc pod uwagę zwykłą statystykę związaną z rakiem mózgu w stadium nieoperacyjnym, były niewielkie. Wydarzył się jednak cud. Kiedy Maria powiedziała mi, że



STELLAN SKARSGÅRD
– szwedzki aktor

chce o tym zrobić film, poczułem się dziwnie. Początkowo byłem sceptyczny, bo trudno opowiadać się o sytuacji, w którą samemu jest się tak zaangażowanym. Coś, co dla nas dużo znaczy, niekoniecznie będzie ważne dla publiczności. Wymaga to nabrania dystansu.

Jak zatem udało jej się pana przekonać?

– Wystała mi dostownie dwie strony scenopisu. Doskonale zrozumiała, o czym mówiłem. Paradoksalnie ta cała dramatyczna sytuacja – cierpienie kobiety, która dodatkowo przyjmuje sterydy, by móc jakoś funkcjonować, była... w absurdalny sposób

zabawna. To stanowiło dowód, że Maria ma właściwe podejście. Nie mogło to być łatwe, gdyż ekranowe sytuacje były bliskie temu, co wtedy faktycznie się z nią działo.

Wierzy pan, że tytułowa nadzieja rzeczywiście umiera ostatnia?

– To też zależy, co pod tym pojęciem rozumiesz. Nie możemy np. jej mieć, myśląc, że będziemy żyli wiecznie. W stu procentach jestem pogodzony z tym, że kiedyś umrę. Nie śpieszy mi się do tego, ale wiem, że tak będzie. Trzeba nauczyć się z tym żyć. Kiedy obserwuję dyskusje o dzisiejszym świecie, mam wrażenie, że często brak w tym wszystkim właśnie nadziei. Problemy klimatyczne, skrajna prawica rosnąca w siłę, populisci wyrastający jak grzyby po deszczu, Trump. To dość przerażająca rzeczywistość. Z drugiej strony wszystko zależy od przyjętej perspektywy. Bo jeśli nawet nie mamy nadziei związanej z dniem jutrzejszym, może pojawi się ona w przypadku jeszcze kolejnego.

Bywaliśmy już w gorszych sytuacjach. Rozmawiamy w Berlinie, mieście, które kilkadziesiąt lat temu było całkowicie zniszczone po jednym z najstraszniejszych ludzkich doświadczeń w historii. A dzisiaj jest pełne życia. Wbrew pesymistycznym wizjom nie sądzę, żeby groziło nam wyginięcie. Jakoś zawsze sobie poradzimy.

Słuchać echa „Diuny” Denisa Villeneuve’a, jednego z najbardziej oczekiwanych filmów roku, w którym pan się pojawi. Hollywood to dobre miejsce, by opowiadać nie tylko o katastrofach, ale też o powodach, dla których do nich zmierzamy?

Stellan Skarsgård – najbardziej rozpoznawalny i ceniony współczesny szwedzki aktor. Zdobywca Złotego Globu, Europejskiej Nagrody Filmowej oraz wielu wyróżnień na festiwalach na całym świecie. Uznawany jest za jedną z twarzy filmów Larsa von Triera. Współpracował z takimi reżyserami jak Steven Spielberg, István Szabó, Miloš Forman, David Fincher czy Gus Van Sant. Głośno było o nim także po świetnej roli w serialu HBO „Czarnobyl”.

– Wydaje mi się, że dawne Hollywood przykładało do tego dużo większą wagę. Dzisiaj chodzi głównie o pieniądze, a wszystko, także w branży filmowej, jest skoncentrowane w rękach niewielkiego procentu ludzi. Przeczytałem niedawno, że 26 najbogatszych ludzi na świecie ma w swoich rękach prawie 60% dóbr. To nie jest *fair*, ale pokazuje też, jak zmienia się kapitalizm. Kiedyś ludzie, którzy robili samochody czy prowadzili kina, byli w tym dobrzy, bo to kochali. Dzisiaj to nie ma znaczenia. Dopóki liczby się zgadzają, decydecji mają gdzieś, skąd pochodzą pieniądze. Wszystko staje się coraz bardziej

sobą użalać. Mimo że w tamtym czasie życie jej nie oszczędzało. Nie będę jednak ukrywał, że na początku pomyślałem: „K... kolejny film o raku. Ile można?!”. W tym wypadku udało się, bo to w dużej mierze opowieść o istocie życia – związku, rodzinie, tym, jak najbliżsi odbierają tę sytuację.

Relacja między parą bohaterów przepełniona jest problemami, wzajemnymi frustracjami. Zdawał pan sobie sprawę, że pana przyjaciele przechodzili wtedy tak trudny czas?

– Teraz wiem znacznie więcej. Czułem, że jest coś na rzeczy, ale też nie mieliśmy w zwyczaju o tym rozmawiać. Trudno było oprzeć się

w przerwach rozmawiamy, śmiejemy się. Mamy z tyłu głowy, że niezależnie od skali trudności to wciąż wykreowana sytuacja. Powiedzieć o czymś takim swoim pociechom w prawdziwym życiu musi być czymś trudnym, wymagającym odwagi. Mówię to jako ojciec ośmiorga dzieci.

Jak pan by to zrobił?

– Myślę, że nie bawiłbym się w żadne gierki, nie owijał niczego w bawełnę, tylko starał się powiedzieć wprost, jak wygląda sytuacja. Jedną z kluczowych zasad, jakimi kieruję się w życiu, jest to, że nie okłamuję swoich dzieci. Nigdy do tej pory mi się to nie zdarzyło. Jeśli zatem kiedykolwiek któreś zapyta: „Tato, a próbowałeś kiedyś w życiu narkotyków?”, będę musiał odpowiedzieć: „A żebyś wiedział!” (śmiech).

Wbrew pesymistycznym wizjom nie sądzę, żeby groziło nam wyginięcie. Jakoś sobie poradzimy.

zmonopolizowane. Nawet jeżeli widzimy różne firmy, często jest tak, że na samej górze jest ten sam właściciel. Brakuje różnorodności w strukturze właścicielskiej, a w efekcie nie ma jej także w produkcji. Chodzi o maksymalizację zysku, sprzedanie tak dużej ilości popcornu, jak to tylko możliwe. Dlatego dominują blockbustery, a mniejsze filmy mają przed sobą dużo trudniejszą ścieżkę.

Czy to również powód, dla którego chętnie angażuje się pan w projekty telewizyjne? Łatwiej tam znaleźć rzeczy, których brakować może w kinie?

– Średniobudżetowe filmy nie mają już w zasadzie racji bytu. A właśnie przy nich pracowali najlepsi reżyserzy, scenarzyści czy aktorzy. Dzisiaj oni wszyscy są w telewizji, która stwarza dużo możliwości i pozwala adaptować format do materiału. Chociażby kilkuodcinkowe seriale, kojarzące się z jednym, długim filmem. Fantastyczny format. Jesteśmy dzisiaj na takim etapie, że w telewizji można zrobić praktycznie wszystko. Także dlatego, że to tańsze i ma większy zasięg.

Nie ma pan wrażenia, że filmy podejmujące temat raka wpadają w pułapkę sentymentalizmu? Wam w „Nadziei” udało się tego uniknąć.

– Rzeczywiście ten film nie jest zbyt sentymentalny, co wiąże się z podejściem Marii do życia. Nie jest typem osoby, która siadłaby w kącie ze zwieszoną głową i zaczęła się nad



wrażeniu, że do pewnego stopnia każde z nich żyje własnym życiem. Hans Petter jako wzięty reżyser bardzo dużo pracował, kręcąc w różnych miejscach na świecie. Z drugiej strony która para nie ma problemów? To nieodłączna część naszego życia. W pracy nad tym filmem spodobało mi się jednak to, że wszystkie postacie traktowane były z miłością i szacunkiem, a jednocześnie żadna nie była idealna. To bardzo ludzki pierwiastek tej historii.

Chyba jednym z najtrudniejszych momentów w takiej dramatycznej sytuacji jest ten, w którym o chorobie trzeba powiedzieć dzieciom.

– Film to zawsze pewnego rodzaju wentyl bezpieczeństwa. Niby powtarzamy tę scenę cały czas, ale

Czy pana dzieci były zaskokowane jakąś odpowiedzią?

– Chyba nie, one od wczesnego wieku zadają bardzo konkretne pytania. Wydaje mi się, że nic nie może ich zaskoczyć.

A czy coś w tej materii sprawiło panu szczególnie problem?

– Nie sądzę, żebym miał jakiś problem z tym, żeby o czymkolwiek im powiedzieć. Wielkim plusem takiej szczerości i otwartości jest poczucie, że mogą mi w pełni zaufać. Nie nadwyrażałem tego i nigdy im nie powiedziałem, że Święty Mikołaj istnieje (śmiech). Z tym wiąże się zabawna anegdota. Jakiś czas temu mój najmłodszy syn wrócił z przedszkola i opowiedział, że przez długi czas musiał dyskutować z innymi dziećmi, ▶

Wiesław A. Zdaniewski

W pogoni za błękitnym złotem

Książka i Prasa, Warszawa 2020



Kolejna relacja autora z podróży po krajach Ameryki Łacińskiej – stąd podtytuł „Na rubieżach Paragwaju, Argentyny i Chile”. Kraje te są ciekawe turystycznie, ale jednocześnie zmagają się z trudnym dziedzictwem wieloletnich dyktatur wojskowych. Wiesław A. Zdaniewski, naukowiec, fotograf i obieżyświat, swój przewodnik polityczno-turystyczny pisał z perspektywy mieszkańców, z wielką empatią dla ich problemów.

Wiesław Piechota

Podróż. Wiersze

Wydawnictwo Poznanie, Elbląg 2020

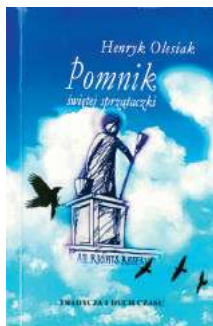


Trzeci tomik wierszy, których część to właściwie krótkie opowiadania. Zawierają elementy realistyczne, często humorystyczne, niekiedy abstrakcyjne. Jak zaznacza autor, w wierszach tych odzwierciedla swoje życie, nie goni za współczesnymi trendami poetyckimi. I w prostocie tkwi ich siła.

Henryk Olesiak

Pomnik świętej sprzątaczk

Tradycja i Duch Czasu, Świeradów-Zdrój 2020



„Utwór jest produktem emigracyjnego doświadczenia; mojej pracy jako psychologa w poradni psychologicznej dla emigrantów oraz w dwóch klinikach psychiatrycznych, gdzie byłem terapeutą”, pisze autor, psycholog, badacz emigracji i pisarz, autor tytułowej scenicznej groteski.

► które twierdziły, że Mikołaj jednak istnieje. Nagle się obruszył: „Co to za rodzice, którzy okłamują własne dzieci?!”. Bardzo mnie to ubawiło.

Co pan pomyślał, kiedy się okazało, że czterech synów chce pójść w ślady ojca? Biorąc pod uwagę pana dokonania i status, pewnie nie było to dla nich łatwe.

– Z pewnością jest to dla nich znacznie trudniejsze niż dla osoby pozbawionej ciężaru nazwiska. Chcę jednak jasno powiedzieć, że nigdy im w tym nie pomagałem. Nie przedstawiałem moich synów żadnym filmowym agentom, nie załatwiałem im pracy na planie u znanych reżyserów. Co może być trochę zaskakujące, nie przypominam sobie nawet, żebym dawał im jakieś rady odnośnie do zawodu aktora. Dzięki czemu doskonale zdają sobie sprawę, że do wszystkiego doszli sami, bez niczyjej pomocy. Wyłącznie dzięki własnej ciężkiej pracy.

Mieliście okazję spotkać się na planie. To było dla pana ważne, życiowe doświadczenie?

– Dosłownie kilka dni przed naszą rozmową pracowaliśmy z synami nad pewnym filmem krótkometrażowym. Za reżyserię odpowiadał Bill, a grałem w nim wraz z Gustawem. Mieliśmy z tego ogromną frajdę. Kiedy znasz kogoś od tak intymnej strony, a potem masz szansę pracować z nim i dzielić miłość do wspianego zawodu, jakim jest aktorstwo, towarzyszą temu same pozytywne uczucia. Czego chcieć więcej?

„Nadzieja” mierzy się ze stereotypem mężczyzn podążających za karierą i kobiet, które poświęcają się, zostają w domu i wychowują dzieci. Jak wyglądało to w pana przypadku, przy ósemce dzieci?

– Kiedy pracowałem w teatrze, rzeczywiście było to bardzo trudne, bo w trakcie dnia miałem próby, a wieczorami spektakle. W 1989 r. zdecydowałem się odejść z Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Wróciłem wtedy na dobre do domu. Przez osiem miesięcy w roku zajmowałem się dziećmi, a pozostałe cztery spędzałem na planie. Często było też tak, że kiedy kręciłem, brałem dzieciaki ze sobą. Moje żony zawsze były aktywne zawodowo. Pierwsza była lekarką, druga jest pisarką. Wydaje mi się, że miały na to sporo czasu, bo to ja głównie gotowałem,

robiłem zakupy czy zmieniałem pieluchy (śmiech). Poza tym zawsze starałem się, żeby rodzina była blisko. Czasem wynajmowałem dla niej dom w okolicy miejsca, gdzie aktualnie pracowałem. Pamiętam, że kręciłem kiedyś film w Rzymie. Miałem wynegocjowaną bardzo dobrą gażę, ale niemal wszystkie pieniądze wydałem na wynajęcie dużej willi czy bilety lotnicze dla bliskich. Kończyło się tak, że przychodziłem tam po 15 godzinach pracy na planie i zawsze trafiałem na jakąś imprezę. Oni mieli wtedy wspinały czas, ale i ja bardzo dobrze to wspominam.

Początkowo jednak zamiast o aktorstwie myślał pan ponoć o karierze w dyplomacji.

– W istocie tak było. To był czas, kiedy moim idolem był Szwed Dag Hammarskjöld, który w latach 50. pełnił funkcję sekretarza generalnego ONZ. Zginął w katastrofie lotniczej podczas misji pokojowej w Kongu, choć były podejrzenia, że samolot z nim na pokładzie został zestrzelony przez rebeliantów Katangi. Był on dla mnie utożsamieniem tego, kim powinien być dyplomata. Człowiekiem, który dużo podróżuje po świecie, stara się łagodzić konflikty i ratować go, na ile to możliwe. Niektórzy rzeczywiście tak robią, ale jest ich ledwie garstka, a cała reszta to tuby propagandowe konkretnych rządów. Dyplomata zatem nie zostałem, ale, co ciekawe, nigdy też *de facto* nie zdecydowałem, że będę aktorem. To po prostu wydarzyło się samo. Zaczynałem od amatorskich przedstawień w szkole, kiedy byłem 13-, 14-letnim dzieckiem, dostawałem pierwsze niewielkie role w teatrze, a w wieku 16 lat wystąpiłem w serialu telewizyjnym dla młodzieży „Bombi Bitt och jag”. A że wtedy był tylko jeden kanał telewizyjny, mogłem się poczuć jak gwiazda rocka!

Z dyplomaty ma pan z pewnością to, że jest pan świetnym mówcą. Nie kusiło, żeby zaangażować się w działalność polityczną?

– Co prawda, interesuję się na bieżąco polityką, ale nie. Prawdopodobnie byłbym w tym lepszy niż Donald Trump, choć pewnie przejąłbym niektóre jego wady. Na przykład przedstawianie jakichś pomysłów i przekonanie, że na pewno ma się rację (śmiech).

Kuba Armata

NA EKRANACH

PRZESŁUCHANIE

reż. Ina Weisse, prod. Niemcy,
już w kinach i na www.mojeekino.pl

Jak daleko można się posunąć, żeby wydobyć z kogoś geniusz? Filmowcy coraz chętniej zadają sobie to pytanie, czego efektem są znakomite „Whiplash” i „Pianistka”. Teraz dołącza do nich „Przesłuchanie”, stojący o poziom niżej, ale wciąż interesujący film z Niemiec, którego reżyserka Ina Weisse sama ma doświadczenie muzyczne. I widać, że wie, o czym opowiada. Bohaterką jest Anna, wsob-



na, pozamykana na świat nauczycielka ze szkoły muzycznej, która jako jedyna bierze w obronę przed komisją niedoskonałego kandydata. I stawia sobie za cel, by w pół roku przekonać do siebie

resztę gremium. Fabularnie niewiele się tu dzieje, bo na większość filmu składają się spotkania mistrz-uczeń. Ale już gama emocji jest szeroka, bo Anny nie da się tak po prostu polubić i w ciemno jej kibicować. To postać, która drażni, irytuje, wkurza, a mimo to przyciąga. Do tej pory tak niejednoznaczni główni bohaterowie zarezerwowani byli dla mężczyzn. Warto więc odnotować niedoskonałe „Przesłuchanie”, które wprowadza zmianę.

Artur Zaborski

BYLIŚMY

MISTRZOWIE PRZYSZŁYM MISTRZOM

W Lublinie odbył się tygodniowy kurs mistrzowski dla śpiewaków w ramach Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Antoniny Campi, wybitnej polskiej divy, którą wspierał sam król Stanisław August Poniatowski. Udało się zapewnić znakomite grono mistrzów, z Mariuszem Kwietniem, gwiaz-



dorem Metropolitan Opera, na czele. Z ponad 70 zgłoszeń wybrano 20 rokujących największe nadzieje. Wybitni pedagodzy wsparli swoimi uwagami śpiewaczą młodzież, zarówno uczniów lubelskiej Szkoły Muzycznej im. Tadeusza Szelińskiego, jak też studentów akademii krajowych i zagranicznych oraz absolwentów wyższych uczelni. Na koncercie galowym uczestników Masterclass można było podziwiać spory wachlarz możliwości wokalnych. Warto wymienić troje najlepszych, którzy już osiągnęli poziom mistrzowski. Są to mezzosopran Maria Polańska, tenor Piotr Kalina (nz.) oraz sopran z Chin Huijuan Zheng. Niektórzy młodzi artyści przystępują już do lubelskiego kursu po raz kolejny, bo współpraca z mistrzami przynosi znakomite rezultaty.

Bronisław Tumitowicz

ZAJRZYJ TU

NAD WISŁĄ, NA URZECZU

Urzecze to zanikający mikroregion etnograficzny, o którym mało kto słyszał. A to 40-kilometrowy pas ziemi nad Wisłą, w Warszawie, który kompletnie zmienia oblicze. „Dawne części mikroregionu etnograficznego zwane Urzeczem – Saska Kępa, Zawady, Siekierki, okolice mostu Południowego – ulegają urbanizacji, procesom migracyjnym, nowoczesności. Postanowiłem sięgnąć do pamięci mieszkańców współczesnego Urzecza, by zachować resztki jego tożsamości”, wyjaśnia pomysłodawca i kurator wystawy Mariusz Raniszewski. Wystawa koncentruje się na historii mówionej współczesnych Łuzycoków pamiętających dawne zwyczaje, obrzędy i kulturę materialną. Oglądamy na niej ubiory, przedmioty codziennego użytku i narzędzia, a także np. charakterystyczne motywy na kobiecym stroju wilanowskim czy menu oryginalnej, lokalnej kuchni.

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 11 KWIETNIA (ag)



MIĘDZY OKŁADKAMI

Tove Alsterdal

Ślepy tunel

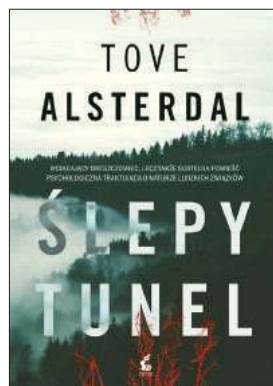
tłum. Patrycja Włóczyk
Sonia Draga, Katowice 2020

Para Szwedów postanawia zacząć wszystko od nowa. On stracił pracę, dzieci dorosły, małżeństwo przechodzi kryzys. Lekarstwo? Inne życie w innym kraju – przemiana starego gospodarstwa w pensjonat z winnicą. Odnajdują nawet zamurowaną piwniczkę. Niestety, wino, z roku 1937, smak ma podły. Można

to wręcz potraktować jako ostrzeżenie, by przeszłości nie tykać. Ta jednak przypomina sieć tuneli ciągnącą się pod zapyziałym czeskim miasteczkiem. Niemal jej nie widać, mieszkańcy wypierają ją ze świadomości, ale jest. Pod ich stopami, w niezatartym napisie Gasthaus na fasadzie gospody, w ruinach browaru. To ślady po Kraju Sudetów, po sąsiadach, którzy zamienili się we wrogów. Autorka z jednej strony pisze

o ponurym aspekcie tużpóźwojennej historii, o odwróceniu ról, gdy ofiary, czując się uprawnione do zemsty, same stały się katami, mściły się na ślepo, stosując odpowiedzialność zbiorową. Z tym wiąże wątek kryminalny. Z drugiej pokazuje relację dwojga ludzi budowaną na udawaniu, przemilczeniu. Bohaterka poszukuje prawdy historycznej, ale swoje nowe życie próbuje oprzeć na kłamstwach.

Aleksandra Pańko



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

CBA w siedzibie PZPN

Czy Boniek i spółki mają coś do ukrycia?

**Adam Godlewski,
Maciej Polkowski**

Przypadający 10 września Dzień Piłkarza ustanowiono w Polsce w 1972 r. W dowód uznania dla Orłów Górskiego po wywalczeniu tytułu mistrzów olimpijskich na igrzyskach w Monachium. W roku 2020 w święcie futbolistów niespodziewanie udział wzięło... Centralne Biuro Antykorupcyjne. W centrali PZPN w Warszawie, w siedzibach związków wojewódzkich, a nawet w prywatnych domach działaczy pojawiło się 200 agentów tej służby.

Szukano wszystkiego

Przeszukania były związane z jednym z wątków tzw. afery melioracyjnej, w której oskarżonym jest senator PO Stanisław G. Sprawa dotyczy nieprawidłowości finansowych w Fundacji All Sports Promotion, działającej w imieniu AZS Koszalin. Wśród zatrzymanych w lipcu 2019 r. siedmiu osób, które usłyszały zarzuty prania pieniędzy i oszustwa, był prezes fundacji Łukasz B. – sędzia piłkarski, syn wiceprezesa PZPN, który zarządza także zachodniopomorskim futbolem. Choć zdefraudowano ok. 2 mln zł, wątek afery melioracyjnej nie był wcale głównym punktem w piśmie, które agencji przekazali przedstawicielom PZPN. CBA w pierwszej kolejności zainteresowało się firmą Mikrotel, zajmującą się rozstawianiem różnych instalacji na imprezach sportowych (m.in. banerów reklamowych). Spółka należy do brata oraz bratanka prezesa PZPN, Romualda oraz Marcina Bońków.

Młodszy z wymienionych jest ekstraklasowym sędzią asystentem. Podczas prezesowskiej kadencji stryja dostał awans na arbitra klasy międzynarodowej. To istotne o tyle, że śledczy działający na zlecenie Prokuratury Regionalnej w Szczecinie analizują również procedury

wyboru sędziów na poszczególne mecze o mistrzostwo Ekstraklasy w sezonie 2018/2019, w tym sędziów asystentów VAR. W sferze zainteresowań agentów znalazły się czynniki wpływające na przypisanie poszczególnych arbitrów do konkretnych spotkań. Co prawdopodobnie ma związek z obsadami Łukasza B. oraz Marcina Bońka na mecze ligowe w tamtym okresie.

Kolejnym wątkiem, któremu agenci zamierzają się przyjrzeć, jest dystrybucja biletów na Euro 2016. W tym celu zaplombowana została serwerownia PZPN, zabezpieczono też dostęp do danych ze wszystkich dysków związku. Funkcjonariusze zażądali wydania pełnej dokumentacji – w formie papierowej i elektronicznej – dotyczącej Fundacji All Sports Promotion, a więc wszelkich umów zawieranych przez PZPN z tym podmiotem, dokumentów księgowych, raportów z wykonywania kontraktów oraz ofert. Domagali się także

obecnej władzy, że postanowiła zbadać porządku panujące w największym związku sportowym?

Czym Zibi podpadł rządzącym?

Jeszcze niedawno Zbigniew Boniek miał otwarte drzwi do gabinetu Mateusza Morawieckiego. Występował z premierem na konferencjach prasowych, a z ministrem zdrowia negocjował warunki powrotu rozgrywek PKO Ekstraklasy podczas pandemii oraz widzów na trybuny. Nieco wcześniej gościł na meczach rozgrywanych na Stadionie Narodowym prezydenta Andrzeja Dudę. Tymczasem to właśnie Zibi podpadł rządzącym. I to wpisałem na Twitterze! Przed drugą turą wyborów prezydenckich prezes PZPN pozwolił sobie na komentarz o silnym zabarwieniu politycznym: „Prezydent Polski dzisiaj może być wybrany głosami ludzi środowiska wiejskiego, głosami emerytów i ludzi z podstawowym

Gdyby nie pandemia, Boniek 26 października kończyłby drugą i ostatnią kadencję prezesa PZPN.

udostępnienia skrzynek mejlowych wszystkich pracowników kontaktujących się z firmą Mikrotel oraz pracowników PZPN odpowiedzialnych za rozdysponowanie biletów na mecze reprezentacji Polski.

Ponadto agenci CBA zażądali wydania telefonów komórkowych i służbowych komputerów używanych przez wiceprezesa PZPN Jana Bednarka, który równocześnie jest zachodniopomorskim baronem futbolem, sekretarza generalnego związku Macieja Sawickiego, jak również dyrektora biura Zachodniopomorskiego ZPN. W siedzibie federacji przy ulicy Bitwy Warszawskiej można było usłyszeć, że funkcjonariusze wkroczyli co prawda pod pretekstem afery melioracyjnej, ale tak naprawdę szukali wszystkiego. Kto zatem i czym tak mocno naraził się

wykształceniem. To chyba trochę dziwne w tak pięknym i rozwijającym się kraju jak nasza Polska”. Elektorat Dudy poczuł się mocno dotknięty etykietą obywateli drugiej kategorii. I dał temu wyraz w mediach społecznościowych. W ślad za tą zmasowaną krytyką, ale już po wyborczym zwycięstwie kandydata Zjednoczonej Prawicy, „Gazeta Polska” zainteresowała się funkcjonowaniem PZPN. A w zasadzie całego środowiska piłkarskiego, w którym szarą eminencją – zdaniem tygodnika – ma pozostać kapitan SB Andrzej Placzyński, który w latach 80. odpowiadał za inwigilację Jana Pawła II.

Reporter „GP” Piotr Nisztor chciał zadać prezesowi Bońkowi kilka pytań dotyczących współpracy ze wspomnianym biznesmenem, obecnym w polskim futbolu od



Jeszcze niedawno Zbigniew Boniek ściskał dłoń Mateusza Morawieckiego. Nz. prezentacja certyfikacji szkółek piłkarskich, stadion PGE Narodowy, 23 marca 2019 r.

sportowych, z czego szef piłkarskiej federacji skwapliwie skorzystał. Nie można jednak wykluczyć, że będzie tego żałował. Już zresztą na antenie Canal+ wyraził obawę, że do wiadomości publicznej trafią tajemnice finansowe PZPN – z wysokością kontraktu selekcjonera reprezentacji, Jerzego Brzęczka, na czele. Obawy oczywiście nie są bezpodstawne, tyle że gdyby nie COVID-19, Boniek musiałby się liczyć z audytem, który miałby obowiązek zarządzić jego następca. I zapewne – zwłaszcza gdyby zwycięzca wyborów został kandydat niewskazany przez Zibiego – szeroka publiczność poznałaby pilnie dotąd strzeżone sekrety jego ekipy.

W sumie więc federacja zaoszczędzi sporo grosza na kontroli, która po ośmiu latach rządów silnej ręki jest niewątpliwie wskazana. Nawet jeśli niedawno prezes PZPN publicznie oświadczył: „Nie mamy nic do ukrycia. Jesteśmy transparentni. Jeśli CBA bada jakąś sprawę i chce coś sprawdzić, to jesteśmy pierwsi do współpracy. Jesteśmy do dyspozycji służb. Przygotowaliśmy wszystkie dokumenty, o które nas poproszono, żeby pomóc tę sprawę wyjaśnić. Z tego, co mi przekazano, chodzi m.in. o organizację przez jeden z wojewódzkich związków jakiegoś turnieju plażowego”.

Po takiej deklaracji szefa futbolowej centrali nie pozostaje nic innego, jak przypomnieć, że na łamach PRZEGLĄDU już w maju 2014 r. (!) zadaliśmy mu 12 przedjazdowych pytań, na które prezes nie raczył odpowiedzieć. Niektóre są zaskakująco aktualne do dzisiaj.

- Czy nie uważa pan, że w imię jawności i przejrzystości prezes, jak również wszyscy członkowie Zarządu PZPN powinni być zobowiązani do składania oświadczeń majątkowych?

- Ile wynosi fundusz reprezentacyjny prezesa i jakie były wydatki z tego tytułu od 26 października 2012 r.?

ćwierćwiecza, dziś działającym pod szyldem Lagardère Sports Poland. A także odsłonić finansowe kulisy działania PZPN. Zamiast wywiadu – po przestaniu zagadnień mejlem – otrzymał od Bońka prześmiewcze odpowiedzi na Twitterze. I właśnie to zachowanie prezesa związku uruchomiło lawinę. Nisztor opublikował cykl artykułów opisujących interesy piłkarskiej federacji z Placzyńskim, jak również powiązania biznesowe na linii Lagardère-Mikrotel. Przypomniał przy tym zeznania wysoko postawionego oficera SB, który od lat upiera się, że stał za transferem Bońka do Juventusu w 1982 r.

W odpowiedzi prezes PZPN wynajął dwie kancelarie adwokackie, które doprowadziły do nałożenia przez sąd na Nisztor, a później na „Gazetę Polską”, rocznego zakazu publikacji na wybrane tematy dotyczące Bońka i związku, co powszechnie uznano za skandal i atak na wolność słowa. Pęten oburzenia głos w sprawie zabrał sam prezes PiS. A później – co trudno uznać za zdarzenie bez związku – do siedziby PZPN i związków regionalnych wkroczyli agenci.

W piśmie uzasadniającym wejście CBA do związkowych biur znalazła się informacja, że prokuratura uzyskała dodatkowy materiał dowodowy, powodujący konieczność przeprowadzenia czynności procesowych polegających na zabezpieczeniu kolejnej dokumentacji. „W szczególności uzyskano pismo dotyczące nieprawidłowości w PZPN, a następnie w dniach 22.06.2020 r., 02.07.2020 r. oraz 10.08.2020 r. przesłuchano świadka opisującego szereg nieprawidłowości w działalności PZPN. Między innymi nieprawidłowości w zakresie rozdysponowania biletów pozostających w gestii PZPN i roli w tym zdarzeniu Stanisława G. oraz w innych zdarzeniach (w tym działalności Mikrotel sp. z o.o.)”, czytamy w dokumencie.

Pytania nadal bez odpowiedzi

Gdyby nie pandemia, Boniek 26 października kończyłby drugą kadencję prezesa PZPN. Drugą i ostatnią, ponieważ Ustawa o sporcie nie przewiduje dłuższego pełnienia tej funkcji. Epidemia umożliwiła jednak przesunięcie wyborów w związkach

- ▶ Jak wygląda sytuacja Fundacji Piłkarstwa Polskiego, której władze zmieniono bezprawnie w lutym 2013 r.? Co się dzieje bądź stało z pieniędzmi zgromadzonymi na koncie FPP?
- Czy prawdziwe są szeroko rozpowszechniane informacje, że istnieje specjalny fundusz przeznaczony na współpracę i finansowanie niektórych mediów oraz dziennikarzy?
- Kiedy wyciągnie pan konsekwencje w stosunku do przewodniczącego Kolegium Sędziów Zbigniewa Przesmyckiego? Po pierwsze – z uwagi na prowadzenie przez niego działalności usługowej na rzecz klubów oraz podmiotów zarządzających obiektami przez jego firmę (produkcja krzesełek stadionowych); po drugie – z powodu utraty przez niego zdolności kierowania organizacją sędziowską?

Po co ta zawierucha?

Uprawniona jest także teza, że Zbigniew Boniek – który niewątpliwie wielkim piłkarzem był i bardzo długo cieszył się opinią sprawnego, stosującego nowoczesne metody zarządzania menedżera – idąc

wyrokiem w pierwszej instancji nie tylko szkuje się do skutecznej apelacji, ale też jej reporterzy ze zdwojoną intensywnością zbierają materiały w sprawach, w których została zastopowana. W rozmaitych źródłach, łącznie z IPN.

Pytanie zatem, po co Bońkowi była cała ta zawierucha. Odpowiedzi nie zna jednak pewnie nawet sam Zibi, który czasami sprawia wrażenie, jakby dotąd nie otrząsnął się ze statusu wielkiej gwiazdy światowych boisk, której wydaje się, że wolno jej więcej. Choćby zagrać na nosie obecnej władzy. Albo uszczypnąć prawicowy elektorat. Z zupełnym pominięciem zasad, którymi powinien kierować się szef największego związku sportowego w Polsce, w tym najważniejszej, dotyczącej zachowania neutralności politycznej. Osoba stojąca na czele PZPN musi mieć przecież zdolność kooperowania ze wszystkimi siłami partyjnymi – rządzącymi zarówno w kraju, jak i w poszczególnych województwach, a nawet miastach. Tymczasem wybitny reprezentant Polski, członek Komitetu Wykonawczego UEFA, wytrawny – jak się wydawało – gracz, zachował się niczym junior.

Agenci CBA dobrze wiedzieli, co chcą znaleźć. Tylko czy rzeczywiście znaleźli?

na niepotrzebną wojnę polityczną, zburzył własny pomnik. Bo nikt nie może mieć wątpliwości, że wizerunek obecnego szefa PZPN mocno ucierpiało.

Uszczerbku zresztą doznał *image* nie tylko Bońka, ale również PZPN i całego środowiska piłkarskiego, które w publikacjach „Gazety Polskiej” – szeroko rozkolportowanych po ataku na wolność słowa, jak powszechnie odebrano sądowy knebel – zostało przedstawione jako bastion komuny. Po interwencji CBA związek może zaś (ponownie) być postrzegany jako instytucja wymagająca szczególnego nadzoru. Wielki wysiłek, przede wszystkim finansowy, włożony w odbudowę wizerunku federacji – a to było największe osiągnięcie ekipy rządzącej obecnie PZPN – został zatem zniweczony. Sytuacja szybko zaczyna wracać do punktu Bońkowego wyjścia. A jak słychać zza kulis, gazeta uciszona

przeciwnika lub przecenił własne możliwości. A może jedno i drugie.

Co nas czeka za zakrętem?

Przy naturalnym biegu zdarzeń kontrole – łącznie z finansowymi audytami – w związku przebiegałyby spokojnie. Tymczasem Boniek – niezależnie od wyników inspekcji CBA – zafundował wszystkim współpracownikom bardzo nerwowe ostatnie miesiące przedłużonej kadencji. Tajemnicą poliszynela jest, że w minionych latach do prokuratur na rozmaitych szczeblach – i w różnych zakątkach Polski – wpływały skargi, zażalenia i doniesienia na nieprawidłowości, które donoszący (w liczbie mnogiej, bo spostrzeżeniami dzielił się nie tylko tajemniczy świadek przestępciwany w czerwcu, lipcu i sierpniu) dostrzegali w PZPN. I nawet jeśli śledczy dotąd nie dzielili zdania informatorów i gremialnie umarzali sprawy, mają (w każdym razie mieć powinni) rozległą wiedzę na temat działalności federacji. A z tego należy wnosić, że agenci, którzy wkroczyli do centrali PZPN i do oddziałów regionalnych, dobrze wiedzieli, co chcą znaleźć.

Tylko czy rzeczywiście znaleźli? Mnożą się domysły i rodzą kolejne pytania. Dlaczego w centrali pojawiło się tak wielu funkcjonariuszy? Jakie były rzeczywiste relacje i zależności Fundacji All Sports Promotion i firmy rodzinnej Mikrotel z piłkarską federacją oraz wojewódzkimi agendami? Czy ktokolwiek w piłkarskich władzach dopuszczał się działań niezgodnych z prawem? Skąd tak szerokie zainteresowanie służb kwestią ewentualnej niegospodarności władz naszego futbolu? Czy zaciekawienie funkcjonariuszy procedurą obsady sędziowskiej może wróżyć nową aferę w środowisku arbitrow?

Na obecnym etapie postępowania nie sposób nawet spekulować, jakie wnioski na podstawie analizowanych dokumentów wyciągnie prokuratura. Jej rzeczniczka zaznaczyła, że w tej chwili nie ma mowy o prowadzeniu postępowania przeciwko PZPN. W tej chwili... Tyle że – jak mawiają Anglicy – nikt nie wie, co nas czeka za zakrętem.

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zjednoczone stany lękowe

Nie trzeba już nawet czytać książek, żeby być *au courant* z literaturą współczesną – dość zawiesić oko na facebookowych inbach literatów. Jako człowiek niepoprawnie XX-wieczny nie mogę się nadziwić Jackowi Dehnelowi, że mimo znajdowania upodobań estetycznych w starociach, odzieżowej ostentacji (cylinder, laska, mucha, surdut), a także charakterystycznej dystynkcji prozatorskiej frazy, które wskazywałyby na próby droczenia się z czasem, zarazem pozostaje nadaktywnym użytkownikiem mediów społecznościowych. Ja staroświecko wierzę, że pisarzowi nie uchodzi nadmiernie się pospolitować z tłumem internautów; tzw. walla facebookowego traktuję jak album podróżniczy, ewentualnie tablicę ogłoszeń (jako autor w stanie upadłości nie mam ostatnio wiele do ogłaszania), z zasady nigdy nie wdaję się w dyskusje, a nawet zbywam milczeniem niemal wszystkie komentarze. W moim przekonaniu nie wypada pisarzowi wdawać się publicznie w pyskówki, chyba że w starym stylu, gdy czyni to na łamach prasy jako felietonista – co nie poszło drukiem, nie liczy się wcale. Wierzę, że gdyby Boy, Stonimski czy Kisielewski dożyli czasów Twittera i FB, wyniosłe by je ignorowali jako fora ludowe, sami zaś wściekle ucieraliby nosa komu trzeba na papierze. Tymczasem popularni pisarze wyładowują swój temperament publicystyczny w awanturach internetowych, ku uciechu gawiedzi i mojemu zażenowaniu. O ile papier daje szansę na literackie zdyscyplinowanie wypowiedzi, w sieci liczy się refleks – nie można dać czasu rywalowi na zebranie lajków i serduszek pod komentarzem, trzeba od razu walić kontrę.

Nieformalny charakter tych pyskówek przyzwala autorom na kolokwializmy, wulgarność, a nade wszystko zwykłą niechłujność wypowiedzi. Gdyby się dwaj antagoniści w dawnych czasach spotkali w knajpie, wygarnęliby sobie, a może dali po razie przy kilku świadkach i obrośli legendą, jak harcownik Hłasko czy wylatujący z knajp przez szyby Wojacek. Uwłaczając sobie w przestrzeni otwartej na tysiące plotkarskich języków, na oczach rzeszy łakomych skandalu intelektualnych leniuszków, czynią krzywdę sobie samym, ale i literaturze. Bo jakże uwierzyć w wytworną frazę poety, kiedy się raz przeczyta, jak obszczekuje kolegę po piórze; jak mieć szacunek do pióra powieściopisarza i wierzyć w głębię psychologiczną postaci przezeń kreowanych, kiedy się wczyta w jego bełkotliwe „alkotweety” lub pospolite utarczki facebookowe – wynika z nich tylko małostkowość, brak dystansu i skurczony od emocji intelekt. Książki są mądrzejsze od swoich autorów, bo ci mają mnóstwo czasu, by dokonywać w nich korekty, szlifować

zdania, eliminować lapsusy; chciałbym wierzyć, że potyczki twitterowe są od pisarzy głupsze.

W inbie miesiąca poszło o to, że Edek pogonił dandyśa z przedziału. Szczęśliwie obyło się bez mordobicia, ale policja nie interweniowała, kilka osób nie okazało należnego współczucia, a nawet pozwoliło sobie na heheszki. Nie czas na żarty, kiedy państwo hołubi chama i tuczy homofobów w atmosferze przedpogromowej – rozumiem więc oburzenie Jacka Dehnela, ale i Ziemowita Szczepka, który walczy o swoje prawo do szyderstwa ponad podziałami. Faktycznie, Dehnel stał się trochę takim facebookowym Stefanem Grabińskim (przedwojenny mistrz opowieści grozy, sławny z cyklu kolejowych horrorów „Demon ruchu”) – jak tylko pisze, że wsiadł do pociągu, ja już się boję. W młodości byłem wyjątkowo wątłym nerwuskiem, który miał zdumiewającą siłę przyciągania agresywnych matotów, i choć nie nosiłem się w surducie, niejednokrotnie usłyszałem wymierzone w plecy „Co się, ch... gapisz, w ryj chcesz zarobić?”. Nabawiłem się od tego srogiej fobii społecznej. I tu czas najwyższy wrócić do galaktyki Gutenberga

Nie wypada pisarzowi wdawać się publicznie w pyskówki, chyba że w starym stylu, gdy czyni to na łamach prasy jako felietonista.

– wszak liczy się tylko to, co w druku (a w tym przypadku liczyć się powinno bardzo, także we wszelkich przyszłorocznych rankingach literackich).

Właśnie ukazała się w księgarniach wyśmienita i wstrząsająca proza Agnieszki Jelonek: „Koniec świata, umyj okna”. Już na pierwszej stronie autorka mnie zdobywa fantastyczną metaforą rany: „Mosty łapią brzegi fastrygą, żeby się nie rozeszły. Stoję na jednym z tych mostów i patrzę w dół”. Kobieta w średnim wieku cierpi na przewlekłe stany lękowe, kumulujące się w nieuleczalnych atakach paniki, na domiar złego rozpada się jej małżeństwo. Książeczka jest napisana trochę jak notatnik terapeutyczny, inteligencja i autoironia są bronią, którą bohaterka próbuje „robić normalność” i czasem wynurzać się z lęku celem zaczerpnięcia oddechu. Próbuje uciekać przed paniką, ale podróże nie pomagają – „Wszędzie tam udało mi się dowieźć siebie, razem z moją lękową wkładką, i nigdzie nie udało mi się jej zostawić”. Rzecz jest skromnych rozmiarów, ale niesamowitej intensywności; przestrzegam przed lekturą ludzi o słabych nerwach, bo opisy ataków paniki są tu tak sugestywne, że łatwo samemu w nie wpaść – uśpione demony nerwicy mogą się obudzić. Znakomita mikropowieść, nie sposób nawet narzekać, że to takie krótkie, bo ileż można wytrzymać na bezdechu?



Domy za 1 euro

Włoskie miasteczka walczą o przetrwanie

Tomasz Skowronek

Cinquefrondi, miasteczko w górach Kalabrii, w ciągu kilku tygodni stało się miejscem, w którym chcą się osiedlić tysiące ludzi z całego świata. Gdy niebo jest bezchmurne, z balkonów można zobaczyć Wyspy Liparyjskie, w linii prostej oddalone o 100 km. Mieszkańcy Cinquefrondi zawdzięczają ten zapierający dech w piersiach widok położeniu 257 m nad poziomem morza. Lokalizacja podbija serca tysięcy obcokrajowców. Wielu przybywa kupić dom w kalabryjskiej miejscowości, która ma zaledwie 7 tys. mieszkańców. Jak zauważa turyńska „La Stampa”, „Cinquefrondi, położone w Parku Narodowym Aspromonte, staje się nowym turystycznym eldorado”.

Jak burmistrz Michele Conia doznał tego w czasach koronawirusa? Oprócz sprzedawania domów za 1 euro i dobrego marketingu miał jeszcze jeden atut: wirus oszczędził miasteczko. Nie odnotowano tutaj ani jednego przypadku zakażenia COVID-19.

„Tak odradzamy nasz kraj. Znalazienie nowych właścicieli dla opuszczonych domów jest kluczową częścią

operacji »Beauty«, którą rozpocząłem w celu renowacji zdegradowanych i opuszczonych obszarów miasta”, wyjaśnia Conia, dodając: „Odkąd wspomniano o naszym projekcie w CNN, otrzymaliśmy ponad 6 tys. zgłoszeń. Dwa czynniki spowodowały aż takie zainteresowanie: jeden jest związany z koronawirusem, ponieważ nasza gmina jest wolna od COVID-19, drugi to prezentacja naszych walorów przez CNN. 20 minut drogi dzieli nas od dwóch mórz, a pomiędzy nimi znajdują się góry, rzeka i inne atrakcje. To wszystko wzbudziło zainteresowanie mnóstwa ludzi. Część jest zainteresowana domami za 1 euro, ale wiele osób chce spędzić tu wakacje, a także kupić gotowe domy. Nasza gmina zyskała zupełnie nowy wymiar”.

Od Piemontu po Sycylię, przez Toskanię, Abruzję i Kampanię – ponad 20 włoskich miasteczek oferuje *dolce vita* za 1 euro. Są to głównie małe miejscowości, liczące kilkuset mieszkańców, które się wyludniły. Każdy, kto zechce kupić taką nieruchomość, będzie musiał zobowiązać się do jej odnowienia w ciągu trzech lat. Niektóre miasta, takie jak Sambuca Di Sicilia, utworzyły strony internetowe,

na których potencjalni kupujący mogą przeglądać domy na sprzedaż. W Sambuce domy były sprzedawane na aukcjach, co oznaczało, że faktycznie zaczynało od 1 euro, ale kupował ten, kto zaoferował najwięcej. Należy jeszcze opłacić podatek i wyremontować mieszkanie. Koszty są więc znacznie wyższe niż symboliczne 1 euro. Według ekspertów trzeba przygotować 20-40 tys. euro, jeśli chce się doprowadzić dom do stanu używalności. Ponad 100 tys. osób przestało oferty na 16 domów, więc konkurencja była ostra.

„Pewnego dnia przeglądałam pocztę i zobaczyłam mejl potwierdzający, że wygraliśmy aukcję”, mówi w „Business Insider” Szkotka Gillian, która właśnie zakupiła nieruchomość w Sambuce. „Kupiliśmy dom za 1 tys. euro, ale musieliśmy też wystąpić depozyt w wysokości 5 tys.”.

Kwota depozytu waha się od 2,3 tys. do 5,6 tys. euro w zależności od miasta. Właściciele domów odzyskają go, jeśli remont rozpocznie się w ciągu roku i zakończy w ciągu trzech lat od zatwierdzenia projektu.

„Cieszę się, że ludzie tu przybywają. Jestem entuzjastą tej wielkiej

Od lipca 2020 r. w Sambuca di Sicilia uruchomiono nowy program – „Case a 2 euro”.

rewolucji”, mówi Giuseppe Cacioppo, zastępca burmistrza. To on uruchomił program w mającej prawie 6 tys. mieszkańców Sambuce. W całych Włoszech młodzi ludzie coraz chętniej wyjeżdżali do miast. Wielu uciekło od biedy i braku perspektyw w swoich miejscowościach. W tym miasteczku od lat 50. XX w. populacja zmniejszyła się o 30%.

To, co się dzieje w sycylijskich wioskach i miasteczkach, odzwierciedla zmiany demograficzne, migrację ekonomiczną i spadające wskaźniki urodzeń. Włoskie miasta i wsie regularnie ogłaszają, że sprzedają stare nieruchomości za cenę niższą niż cena kawy, aby odwrócić proces wyludniania.

Po raz pierwszy od lat 90. liczba obywateli Włoch spadła do ok. 55 mln według głównego urzędu statystycznego (ISTAT). W latach 2014-2018 liczba mieszkańców kraju zmniejszyła się o 677 tys. Według ekspertów stoją za tym dwa czynniki: spadek urodzeń, do poziomu najniższego w historii od czasu zjednoczenia Włoch, oraz wzrost emigracji młodych ludzi w poszukiwaniu pracy. Według ISTAT w 2018 r. ojczyznę opuściło 157 tys. osób.

ONZ alarmuje, że Włochy są jedyną dużą gospodarką europejską, w której liczba ludności będzie maleć w najbliższych pięciu latach. Zajmują drugie miejsce – za Japonią – pod względem udziału osób starszych w społeczeństwie. Szacuje się, że na 100 młodych ludzi przypada prawie 170 osób w wieku powyżej 65 lat (dokładnie 168,7). Ekonomisci ostrzegają, że kurczenie się populacji może wprowadzić kraj w głęboki kryzys gospodarczy, co spowoduje błędne koło: kryzys będzie pogłębiał spadek liczby ludności, co z kolei doprowadzi do większych zaawirowań gospodarczych.

Jeżeli zaś chodzi o sytuację samych małych miejscowości, to w ostatnich 20 latach ponad milion osób wyprowadziło się z regionów wiejskich do dużych miast bądź przeniosło za granicę. W ciągu trzech dekad ok. 2 tys. historycznych miasteczek po prostu może przestać istnieć, tak jak sycylijskie Acquaviva Platani, w którym mieszka zaledwie 800 osób. Narodziny dziecka zdarzają się tu tak rzadko, że dla ich uczczenia dzwonią kościelne dzwony.

Większość ludzi w Acquaviva Platani ma ponad 60 lat, a liczba zgonów waha się od 20 do 30 każdego roku, dzwony zwiastujące narodziny dziecka odzywają się zaś najwyżej trzy razy w roku. „Co możesz z tym zrobić? Takie jest życie! – mówi 81-letni Giuseppe Li Pani, który spędza czas, grając w karty z przyjaciółmi w barze przy Piazza Plado Mosca. – Młodzi ludzie odchodzą, a ci, którzy zostają, decydują się nie mieć dzieci. Nie ma tutaj żadnych ofert pracy. Jak mogą zapewnić byt dziecku?”.

W latach 50. XX w. to miasto liczyło prawie 3,7 tys. mieszkańców. Niektórzy pracowali na wsi, a pozostali w kopalniach soli w prowincji Caltanissetta. Podobnie jak na innych wiejskich obszarach Sycylii kryzys rozpoczął się wraz z uprzemysłowieniem sektora rolnego. Zlikwidowano również kopalnie soli i zaczęto produkować sól morską, tańszą i łatwiejszą do zdobycia. Ludzie podejmowali pracę w fabrykach w Turynie, Mediolanie bądź emigrowali do Anglii, Belgii, Francji i Niemiec. Acquaviva, podobnie jak tysiące wiosek, zaczęła się wyludniać.

Aby odwrócić proces wyludniania, miasta i wsie regularnie ogłaszają, że sprzedają stare nieruchomości za mniej, niż wynosi cena kawy.

A burmistrzowie pustoszejących miejscowości wymyślają sposoby, jak tchnąć w nie życie, i to nie tylko za sprawą „domów za 1 euro”. Donato Toma, prezydent regionu Molise, oferuje 700 euro miesięcznie przez trzy lata, jeśli ktoś sprowadzi się do jednej z okolicznych wiosek. Jest jednak kilka haczyków: wioska musi mieć mniej niż 2 tys. mieszkańców, a nowo przybyli muszą założyć firmy. „Chcemy, żeby ludzie nie tylko tu się osiedlali, ale żeby tu inwestowali. Mogą otworzyć każdy rodzaj działalności: piekarnię, sklep papierniczy, restaurację – wszystko”, tłumaczy Donato Toma.

Natomiast Davide Zicchinella, burmistrz Sellii, w 2018 r. podpisał dokument znany jako Ordinanza 11. Uchwała ma być odpowiedzią na kryzys demograficzny w miejscowości z zaledwie 537 mieszkańcami. Otóż „zabronione jest chorowanie w obrębie miasta” oraz „zakazane jest umieranie na jego terenie”. Co, jeśli ktoś nie będzie chciał przestrzegać prawa? Musi uiścić dodatkowy podatek

w wysokości 10 euro rocznie. „Życie ludzkie ma wartość, ale tutaj ma wartość społeczną, ponieważ każda śmierć przybliża nas do śmierci miasta”, wyjaśniał decyzję Zicchinella. Aby opóźnić wymarcie miejscowości, przekształcił starą szkołę w centrum medyczne, wykorzystując na to fundusze europejskie. A ponieważ wielu mieszkańców niechętnie chodziło na badania kontrolne, burmistrz wydał dekret: wszyscy muszą poddawać się corocznym badaniom lekarskim lub płacić dodatkowy podatek w wysokości 30 euro rocznie. Aby pomóc obywatelom w osiągnięciu, a nawet przekroczeniu średniej długości życia, wynoszącej we Włoszech 83 lata, burmistrz organizuje również regularny transport autobusowy do uzdrowisk w regionie. Oprócz starań o opóźnienie śmierci osób starszych w regionie robi się wszystko, aby przyciągnąć młodych: dzięki funduszom z UE przekształcono starą farmę w pole golfowe, a opuszczone przedszkole zamieniło się w schronisko młodzieżowe.

Inne miasta, takie jak Sutura w prowincji Caltanissetta, otworzyły drzwi

do wolnych domów osobom ubiegającym się o azyl, które przedostały się przez Morze Śródziemne z Libii. „Otwarcie drzwi dla migrantów może być jedynym sposobem na przetrwanie miast zagrożonych wyludnieniem”, powiedział Francesco Giavazzi, profesor ekonomii na Uniwersytecie Bocconiego w Mediolanie. Jednak najpopularniejszym sposobem pozostaje sprzedaż domów za 1 euro. Giuseppe Cacioppo, wiceburmistrz Sambuki, uważa, że wraz ze spadkiem populacji miasto potrzebuje napływu osób z zewnątrz. „Nie możemy sobie pozwolić na utratę naszego arabskiego dziedzictwa. Na szczęście obcokrajowcy mogą nam pomóc”, wyjaśnia. Cacioppo ma również nadzieję, że ostatnie nagłośnieńie przez media informacji o miasteczku Cinquefrondi wpłynie na zainteresowanie innymi miastami widmami. Od lipca 2020 r. program został ponownie uruchomiony w Sambuce i nazywa się „Case a 2 euro”. Jest nadzieja, że nowi przybysze przyniosą zmiany. ■

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

W Argentynie nie cichną komentarze na temat konfliktu u podnóża Andów. Grupa Mapuczów (lokalna etnia rdzenna) siłą zajmuje brzeg jeziora Mascaradi. Sąsiedzi chwytają za broń, by odbić atrakcyjne tereny.

Do mobilizacji doszło w sobotę, 29 sierpnia. Z miasta Bariloche w kierunku pobliskiej miejscowości Villa Mascaradi wyjechała karawana 80 samochodów. Liderzy protestu, według mediów „oburzeni sąsiedzi”, mają dość bezprawia w regionie. Oskarżają Mapuczów, zajmujących niezgodnie z argentyńskim prawem część Parku Narodowego Nahuel Huapi, o ataki na lokalną ludność. Wspólnota Lafken Winkul Mapu miałaby być winna spalenia domu letniskowego rodziny Frutos. Mapucze zapewniają, że to oni zostali zaatakowani z broni palnej przez sprawców, którzy ukryli się na posesji Frutosów.

„W odpowiedzi na brak reakcji wymiaru sprawiedliwości i służb bezpieczeństwa ludność Bariloche wyjeżdża wspierać sąsiadów i właścicieli (!) z Mascaradi w obliczu zagrożenia ze strony grupki kryminalistów niszczących parki narodowe i własność prywatną”, podają w komunikacie „oburzeni”. Wśród komentarzy powracają nawoływania, że jedynym rozwiązaniem kwestii Mapuczów są kule: „kule i jeszcze raz kule”. Należałoby wreszcie „powystrzelać ich wszystkich”.

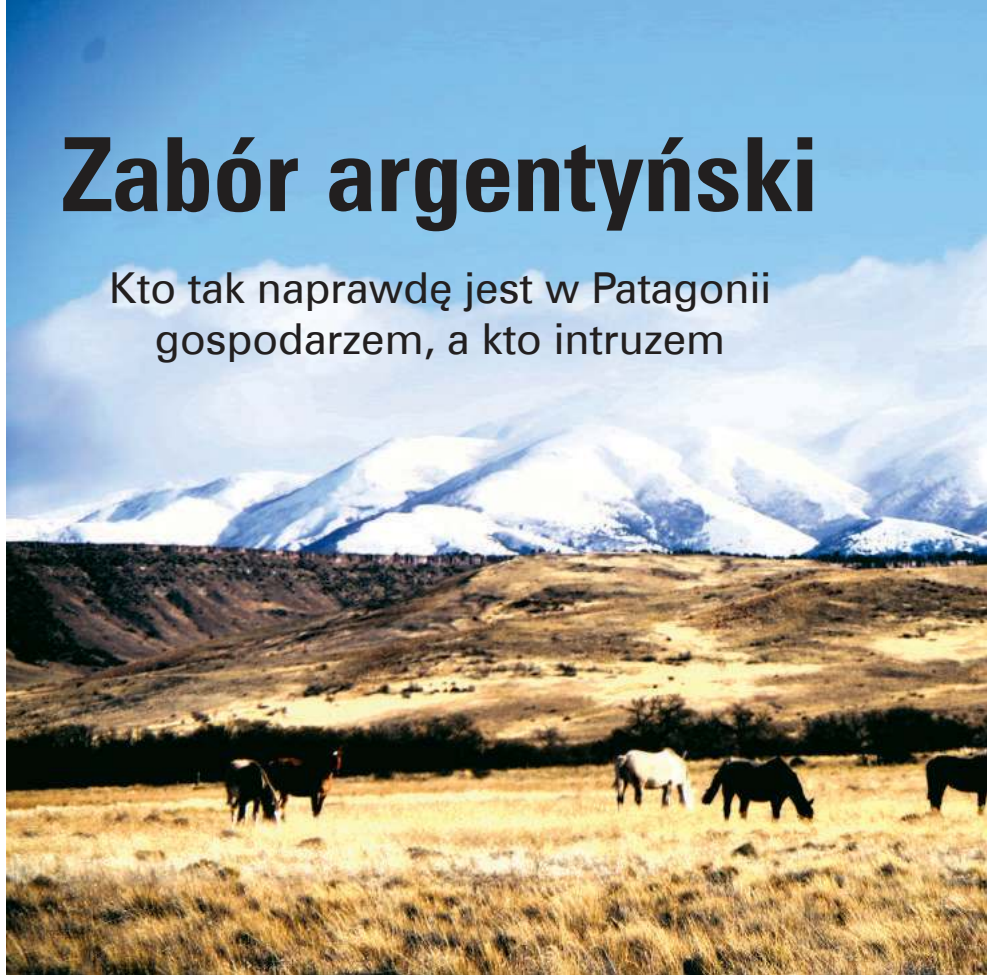
Rozbiory

Mercedes Antileo mieszka w niedalekim Junín de los Andes. Przez lata pracowała w wiejskich szkołach jako nauczycielka języka i kultury Mapuczów – przedmiotu, który wszedł do regionalnego programu nauczania w 2001 r. Obecnie szkoli przyszłych nauczycieli. Nagrywa telefonem filmy, a ministerstwo edukacji publikuje je na specjalnej platformie. W obliczu pandemii COVID-19 lekcje online dotarły także na andyjskie przedgórze.

Mercedes pochodzi z jednej z wiosek Mapuczów w wyższych partiach gór. – Trudno powiedzieć, w którym obozowisku urodziła się matka,

Zabór argentyński

Kto tak naprawdę jest w Patagonii gospodarzem, a kto intruzem



a w którym ojciec – mówi i tłumaczy, że dawniej Mapucze przemieszczali się wielokrotnie w ciągu roku, zgodnie z okresami zbiorów i polowań. Dzisiejsza miejscowość Junín de los Andes, położona u zbiegu rzek, od zawsze była miejscem spotkań, skrzyżowaniem szlaków sezonowych wędrowców. – Potem, gdy przyszli Argentyńczycy, by zajmować nasze ziemie, zaczęli nas spychać na południe – opowiada Mercedes.

Właściwie całe Andy patagońskie zamieniono w park rozrywki dla turystów.

Użycie postkolonialnego słownictwa do opisu historii i współczesności Ameryki Łacińskiej utrudnia ich zrozumienie. Inaczej wyglądać będzie sytuacja, jeśli przedstawić ją w znanych nam terminach dotyczących zaborów. W XIX stuleciu Mapucze żyli i po zachodniej, i po wschodniej stronie Andów. Ich terytoria podzieliły między sobą Argentyna i Chile. Są tacy, którzy odwołują Mapuczom prawa do ziemi, twierdząc, że nie są prawdziwymi Argentyńczykami. To Chilijczycy, mówi się. Zupełnie jakby oskarżać Polaków

w zaborze rosyjskim, że nie są prawdziwymi Rosjanami, tylko Niemcami. Brzmi bezsensownie? I bardzo dobrze, bo pozwala zobaczyć, jak ograniczone pojęcie o kwestii Mapuczów ma wielu współczesnych Argentyńczyków.

Zsyłki, niewola i argentyinizacja

Rodzina Antileo przeszła na wschodnią stronę gór, uciekając z zachodnich zboczy, gdzie Chilijczycy zaczęli już mord miejscowych. Nie trzeba było długo czekać, by Argentyna również wysłała wojska na południe. Rozpoczął się wyścig o to, kto zajmie większą część Patagonii.

– Ci, którzy zdążyli uciec, szli w góry – mówi Mercedes – ukrywali się w jaskiniach i czekali końca wojny.

Przodkowie kobiety zatrzymali się w grotach Rucachoroi, niedaleko miejscowości Aluminé. Ze skalistych wierzchołków gór oglądali płaczące jeziora. Dziś to atrakcja turystyczna regionu. Jedna z wielu. Właściwie całe Andy patagońskie zamieniono w park rozrywki dla turystów z kraju i zagranicy. Z czasem powstały miejscowości



wydmuszki, jak Villa La Angostura czy San Martín de los Andes, których jedynym powołaniem jest hotelarstwo i przyjmowanie zamożnych wczasowiczów z Buenos Aires.

Patagonię „oczyszczono” z ludności w ramach brutalnej kampanii, która rozpoczęła się w 1878 r. Walka była nierówna. Mężczyźni, którzy przeżyli, wysyłano do niewolniczej pracy przy zbiorze trzciny cukrowej. Prowadzono ich piechotą przeszło tysiąc kilometrów. Dziewczynki oddawano na służbę do „dobrych domów” w stolicy. W więzieniu na wyspie Martín García położonej w ujściu La Platy zamykano przedstawicieli elit podbitego narodu. Niektóre grupy zsyłano w głąb Patagonii – daleko od żyłnego przedgórzia, na jałowe stopy obecnych prowincji Río Negro i Chubut. W celach logistycznych organizowano obozy koncentracyjne, gdzie Mapucze latami czekali na docelowe przesiedlenie.

– Patagonia była ostatnim regionem, gdzie można było wyeliminować tych, których uważano za barbarzyńców – powie również Mercedes. I pomylił się, bo w Chaco, czyli na północnym skrawku Argentyny, regularna wojna z miejscowymi trwała

Patagonia stała się gigantycznym pastwiskiem należącym do wąskiej grupy osób.

jeszcze w XX w. Do Ibarrety i Quitilipi wprowadzali się już imigranci z Polski i Chorwacji, a kawałek dalej na zachód argentyńskie wojsko strzelało do ludzi. „Czyściło” teren pod kolejną falę przyjeźdźców z Europy. W jednym z ostatnich aktów ludobójstwa, w miejscowości Rincón Bomba, wojsko rozstrzelało członków etni Pilagá. Mówimy o roku 1947. Z czasem z metod prześladowań wyeliminowano bezpodstawne egzekucje. Ale jeszcze do niedawna legalnie używano przemocy fizycznej, by zrobić z Mapuców „prawdziwych” Argentyńczyków.

– Ja na szczęście nauczyłam się hiszpańskiego jeszcze przed pójściem do szkoły, bo chociaż w domu mówiło się w *mapudungun*, na zewnątrz należało używać hiszpańskiego – opowiada Mercedes Antileo, która w wieku sześciu lat trafiła do szkoły z internatem prowadzonej przez siostry zakonne. Były lata 80., kończyły się rządy dyktatury wojskowej. Urząd ministra gospodarki sprawował wówczas José Alfredo Martínez de Hoz. – Dziewczynkom, które nie potrafiły wystawiać się po hiszpańsku, zakonnice kazały klęczeć na

Z czasem powstały miejscowości wydmuszki, których jedynym powołaniem jest hotelarstwo i przyjmowanie zamożnych wczasowiczów z Buenos Aires.

soli, zamykały je na długie godziny w toaletach, okładały kijem – wspomina Mercedes. – Człowiek chciał o coś zapytać, ale wołał siedzieć cicho, bo jeśli się pomylił w pytaniu, to jeszcze dostał po głowie.

I chociaż ona sama nie klęczała na soli, wojskowy porządek odcisnął się piętnem na jej charakterze. – Internat u zakonnic to jak życie w koszarach – tłumaczy. Na pytanie o chłopaka obrusza się. – Jaki chłopak! Teraz to już nie czas na amory, tylko na pracę! – mówi z lekkim rumieńcem. Zabiera się do przedśnienia owczej wełny. Mercedes Antileo ma niewiele ponad 40 lat.

Wyprzedaż

Jest lipiec, środek zimy, i do Junín de los Andes zawitał *temporal*,

arktyczny wiatr z południa przynoszący dwa, trzy razy do roku rekordowe opady śniegu. Biały puch przed domem Mercedes sięga kolan. Znacznie gorzej jest w górach. Tam *temporal* potrafi wybić całe stado owiec, a gdy solidnie popada, gruntowe drogi robią się nieprzejezdne. Dlatego w marcu, czyli pod koniec lata, po odebraniu zapłaty za zebraną wełnę Mapucze z gór zaopatrują się w miasteczkach w żywność, by przetrwać zimę. W tym roku kwarantanna zamroziła transport w całym kraju na długo przed pierwszą śnieżycą i wielu nie zdążyło zrobić zapasów.

– Kiedy nasi zobaczyli, że sytuacja nieco się uspokoiła, zaczęli wychodzić z jaskiń – ciągnie opowieść Mercedes. – Chcieli wrócić na swoje miejsce, osiedlić się w dolinach, na brzegach rzek.

Ale było już za późno. Ziemie zostały rozdzielone między nowych właścicieli, a w Junín de los Andes, tym dawnym skrzyżowaniu szlaków wędrówek, powstały argentyńska baza wojskowa i kościół parafialny. Mapuczo nie pozostało nic innego jak wrócić w góry. Tych, którzy dłużej wąleli się po dolinach, wsadzano do więzienia za brak dokumentów albo przymuszano do pracy na gospodarstwach. Bo zanim patagońskie Andy zamieniły się w Disneyland dla

miłośników nart i pieszych wycieczek, Patagonia jako taka – bezkresne stopy ciągnące się od gór aż po Ocean Atlantycki – przeistoczyła się w gigantyczne pastwisko należące do wąskiej grupy osób.

Jak zauważa historyk Osvaldo Bayer, ziemie rozdzielono przed wymarszem wojsk na południe kraju. Zyski z wyprzedaży Patagonii miały sfinansować koszty kampanii. Region trafił w ręce ok. 500 właścicieli, z których trzydziestka zajęła obszary o powierzchni przekraczającej 100 tys. ha. Największą porcją patagońskiego tortu dostała się w ręce José Martíneza de Hoza, pradiadka ministra gospodarki w rządzie dyktatora Videli. De Hoz zagarnął terytorium odpowiadające powierzchni Macedonii lub połowie Słowacji. ►

► Terenami handlował dom aukcyjny Adolfa Jorge Bullricha, późniejszego burmistrza Buenos Aires.

Gdy w kolejnych dziesięcioleciach na południe kontynentu napływali europejscy imigranci, ze zdziwieniem dowiadywali się, że na gigantycznym pustkowiu między Ziemią Ognistą a Río Colorado nie ma dla nich miejsca. W feudalnym krajo-

bie policja rozstrzelała ok. 1,5 tys. robotników z patagońskiej prowincji Santa Cruz. Powód? Strajki.

Co ciekawe, jednym z postulatów protestujących było umieszczenie w apteczkach instrukcji obsługi w języku hiszpańskim, a nie tylko po angielsku. Wiele z ciągnących się dziesiątki kilometrów latyfundiów trafiło w ręce Amerykanów i Brytyjczyków.

To nie wojna Argentyńczyków z Mapucami, lecz walka garstki latyfundystów z resztą społeczeństwa.

zarówno miejscowym, jak i przybyłym z oceanu przypadła marna rola pracowników najemnych. Warunki nie zachęcały: głodowe pensje wypłacano w bonach, które można było realizować jedynie w sklepach należących do pracodawcy. Do tego dochodziły niekończące się godziny pracy i zakwaterowanie w prymitywnych barakach.

Europejscy imigranci przywieźli nowoczesne idee: wiedzieli już o prawach pracowniczych i skuteczności protestu. Ale nie zdawali sobie sprawy, że przekraczając Atlantyk – i to w kierunku południowym – wracali do średniowiecza. Między 1920 a 1921 r. argentyńskie wojsko

Do masakry przyłożyła rękę m.in. rodzina Braun-Menéndez, ta sama, która niewiele wcześniej wymordowała etnię Selknam, rdzennych mieszkańców Ziemi Ognistej. Do dziś nie przetrwał żaden Selknam. Należąca do rodziny Menéndezów sieć supermarketów La Anónima ma się za to doskonale.

Feudalizm XXI w.

Od strony północnej do Junín de los Andes dojeżdża się drogą krajową nr 40. Mija się nieduże miasto Zapala i przez następne 200 km trasa wiedzie przez pustkę. Po horyzont ciągną się stepy, nieznacznie

pofałdowane. W oddali majaczy zarys Andów i stożek wulkanu Lanín. Nie ma żadnych wiosek, sió czy miasteczek. Niczym nieograniczona przestrzeń urzeka ogromem. W odstępie kilkudziesięciu metrów od asfaltu biegają wstęgi drutu kolczastego. Tabliczki „Teren prywatny, wstęp wzbroniony” rezerwuje się dla miejsc bliższych osiedlom ludzkim. Tutaj, na pustkowiu, nie byłoby komu ich odczytywać.

Junín nie liczy więcej niż 15 tys. dusz. A mimo to na jego obrzeżach wyrosły dzielnice ubóstwa – miniaturowe chatki z dykty i obrzynków sosnowych pni ustawiane jedna na drugiej. Domy lepiej sytuowanych mieszkańców też nie są większe; okupują ciasne tereny bez patio czy ogródków. Nie ma na nie miejsca.

Pobliska prowincja Santa Cruz powierzchnią przewyższa Wielką Brytanię. Średniej wielkości prywatne gospodarstwo ma tam 15 tys. ha. Dwie trzecie zarejestrowanych użytkowników rolnych w Santa Cruz podzielone jest na zaledwie 182 części, średnio po 50 tys. ha każda, podczas gdy wspomniana rodzina Braun-Menéndez dysponuje arealem rzędu 400 tys. ha. Legendarny koniec świata, Ziemia Ognista, to z grubsza

Na obrzeżach niewielkiego Junín de los Andes wyrosły dzielnice ubóstwa.



32 pastwiska – działki przeciętnie po 30 tys. ha. Teren prywatny, wstęp wzbroniony.

Oburzenie sąsiadów z Bariloche wywołał fakt, że rodziny Mapuców z Villa Mascardi zajęły wspólnie 20 ha. Czytelnik sam oceni, co tu jest oburzające.

W Patagonii miejsca nie ma. A przynajmniej nie dla ubogich. Kontynuując podróż na południe drogą krajową nr 40, zobaczymy, jak na przedmieściach San Martín de los Andes zielenieje pole golfowe. Z góry spoglądają na nie wystawne pałace, budowane z myślą, by właściciel, który odwiedza je raz czy dwa razy do roku, mógł cieszyć oko widokiem na zaśnieżone wierzchołki Andów. Niektóre z tych posesji – chronionych przez uzbrojonych strażników i ogrodzenie pod napięciem – znajdują się na terenie parków narodowych. Są ekskluzywne stoki narciarskie, lądowiska dla helikopterów i lotniska dla prywatnych samolotów, które dzień w dzień – i to mimo obostrzeń związanych z kwarantanną – przyjmują pojedynczych pasażerów. Bywa, że ci przybywają z daleka, jak brytyjski biznesmen i właściciel klubu Tottenham Joe Lewis, który swoją rezydencją na przeszło 10 tys. ha odciął dojsię do jeziora Escondido, ale sam woli spędzać czas na Bahamach. Albo jak prezes włoskiego Benettona, firmy, która w Patagonii zgromadziła tereny o łącznej powierzchni 900 tys. ha.

W sierpniu 2017 r. na ziemiach Benettona i przy drodze krajowej nr 40 doszło do manifestacji w sprawie zwrotu ziem należących od stuleci do Mapuców. W wyniku represji służb bezpieczeństwa stracił życie aktywista Santiago Maldonado. Widziano go, gdy uciekał przed grupą policjantów. A potem zniknął. Nie wiadomo, co się stało. Po 77 dniach odnaleziono zwłoki. Za akcję odpowiedzialna była minister bezpieczeństwa Patricia Bullrich. Z tych Bullrichów, którzy sprzedawali patagońskie ziemie.

W listopadzie tego samego roku i znów przy drodze krajowej nr 40 funkcjonariusze policji wodnej zamordowali Rafaela Nahuela. W tym

wypadku przebieg zdarzeń jest znany, 22-latek zginął od strzału w plecy. Premier Marcos Peña Braun pochwalił wówczas działanie służb bezpieczeństwa.

Co dalej

Jest wczesne popołudnie i Mercedes nagrzewa piekarnik. Na stole piętrzy się stos kotletów z chudego mięsa. Schabowe z jelenia szlachetnego to w regionie raczej reguła niż wyjątek, bo europejskie zwierzę



Mercedes Antileo pochodzi z jednej z wiosek Mapuców w wyższych partiach gór.

doskonale zaadaptowało się w Patagonii, licznie się rozmnażając. W ten sposób skolonizowane zostały także naturalne ekosystemy. Huemal, niewielki jelonek z Andów, przegrał w konkurencji z importowanym kuzynem i podobnie jak Mapucze uciekł w wyższe partie gór, wypierany ekspansją hodowli bydła. Gatunek jest zagrożony wyginięciem.

Legendarny koniec świata, Ziemia Ognista, to z grubsza 32 pastwiska, prywatne działki przeciętnie po 30 tys. ha.

– Teraz z powrotem schodzimy do dolin – mówi Mercedes Antileo. – Za pracą i na studia. I dlatego, że to tu jest nasze miejsce.

Tak też uważali Mapucze ze wspólnoty Lafken Winkul Mapu, kiedy pod koniec 2017 r. zajmowali skrawek ziemi na brzegu jeziora Mascardi. To po tej pierwszej okupacji zginął Rafael Nahuel i to o te ziemie chodzi zmotoryzowanym manifestantom z Bariloche, którzy w sierpniu chcieli przegonić prawowitych mieszkańców regionu. Tym razem do rozlewu

krwi nie doszło. Policja zablokowała drogę krajową nr 40 – dla jednych legendarną trasę wzdłuż argentyńskich cudów przyrody, dla drugih andyjską drogę wojenną – wstrzymując kolumnę obrońców własności prywatnej.

Ale co dalej? Problem jest nie tyle rasowy, ile klasowy. To nie wojna Argentyńczyków z Mapuczami, lecz walka garstki latyfundystów z całą resztą społeczeństwa, które w feudalnej strukturze własności ziemskiej ma równie nikłe możliwości rozwoju jak marginalizowana ludność rdzenna. Nikt nie ma także wątpliwości, że protest przeciw Mapuczom w Villa Mascardi to nie wyraz troski o stan parku narodowego, tylko obrona perspektywy bajońskich zysków z handlu nieruchomościami w regionie turystycznym. Obecny centrolewicowy rząd Alberta Fernándeza zdaje się szukać rozwiązań pokojowych, o czym świadczą regionalne programy szkoleń dla nauczycieli rdzennego języka i kultury, w których uczestniczy Mercedes Antileo. Tymczasem po drugiej stronie Andów nie cichną skargi na chilijską policję, oskarżaną o torturowanie wielokrotnie aresztowanych liderów Mapuców, grupy, która w obu krajach południa kontynentu liczy 2 mln osób.

Prawicowa opozycja silnie związana z argentyńskimi latyfundystami usiłuje grać na nucie nacjonalistycznej. Senator Alberto Weretilneck, powołując się na symbole narodowe, demokrację i konstytucję, wezwał władze w Buenos Aires do rozwiązania problemu nielegalnej okupacji

ziem przez Lafken Winkul Mapu. Pytanie, kto rozwiąże problem nielegalnego zaboru Patagonii przez Argentynę i Chile.

Tymczasem napięcie w regionie trwa. Każda ze stron konfliktu donosi o atakach przeciwników. Trudno powiedzieć, czy na krwi ofiar protestów w obronie praw ludności rdzennej wyrosną nowe kompleksy hotelowe z widokiem na jezioro, czy autonomiczna republika Mapuców.

Wojciech Ganczarek



Gianna Dior zapowiada, że bliżej można ją poznać na portalu patronackim.

Internet znów
rewolucjonizuje
branżę porno
– tym razem
usuając z niej
pośredników

Tylko dla fanów

Iluzja naturalności

Powstanie segmentu porno *premium* to jednak już erotyczna archeologia. Nowość sprzed kilku lat, która zdążyła zadziwić, zrewolucjonizować, ale też spowszednieć. Internetowa pornografia przestała być wyłącznie siermiężnym tworem jakiś czas temu. Dziś żyje kolejną zmianą, która może wywrócić do góry nogami cały model finansowy, na którym opiera się sektor. Gwiazdy porno znalazły sposób na bezpośrednie dotarcie do klientów – z pominięciem całej armii ludzi, najczęściej mężczyzn, którzy na uprawianiu przez nie seksu przed kamerami zarabiali krocie. Ten sposób to tzw. media patronackie. Rodzący się dopiero odłam mediów społecznościowych, w którym za jednorazową opłatą lub po wykupieniu stałego abonamentu internauci uzyskują bezpośredni dostęp do erotycznych materiałów tworzonych przez wspieraną przez nich gwiazdę.

Giannę Dior podziwiać można więc w profesjonalnych ujęciach i półgodzinnych filmach branżowych domów produkcyjnych. Możemy też oglądać ją nago na robionych telefonem zdjęciach czy kręconych w ten sposób krótkich filmikach. Po wykupieniu miesięcznej subskrypcji w wysokości 9,99 dol. – lub od razu rocznej, o 20% tańszej (95,90 dol.) – otrzymamy dostęp do aż 635 postów (filmów lub zdjęć). Większość to czysta pornografia, nagie zdjęcia lub filmy z masturbacji, ale zdarzają się sesje w białej bieliźnie czy okolicznościowych strojach. Gianna w opisie swojego profilu obiecuje, że nowe treści publikować będzie regularnie, nawet

Mateusz Mazzini

Gianna Dior jest szczupłą brunetką o oliwkowej skórze i lekko migdałowych oczach. Jej fani znacznie więcej będą mogli jednak powiedzieć o innych jej walorach fizycznych, np. kształcie piersi czy pośladków. Urodzona w Kalifornii, mająca włoskie korzenie 23-letnia Gianna, a właściwie Emily Katherine Corro, jest bowiem jedną ze wschodzących gwiazd porno. Z jej kont w mediach społecznościowych dowiedzieć się można, że wygrała prestiżowe dla swojego sektora nagrody. „Luksusowy Kociak Roku”, „Największa nowa gwiazda przemysłu wideo dla dorosłych”. Specjalizuje się w tzw. erotyce *premium*, czyli nieco bardziej finezyjnym segmencie branży porno (o ile o finezji można w niej w ogóle mówić). Produkcje nazywane są tu scenami, a nie filmami czy klipami, najczęściej towarzyszy im przynajmniej ślad scenariusza lub chęć opowiedzenia jakiejś historii. Dodatkowo kręcone są w znacznie wyższej jakości niż standardowa

pornografia, często w (przynajmniej na pozór) luksusowych lokalizacjach: w apartamentach czy nadmorskich willach, na tropikalnych plażach. Przede wszystkim jednak dostęp do nich jest płatny. W darmowych serwisach można znaleźć skrócone wersje scen *premium*, ale już cały, 30- lub 40-minutowy film umieszczony zostaje na płatnej platformie. Wykupując miesięczny, kwartalny lub roczny abonament (tu cena waha się od kilku do nawet 150 dol.), zyskujemy prawo wejścia do erotycznego domu handlowego dla bogatych. Lepsze modelki i modele, lepsza jakość nagrania, pełne, nieedytowane filmy, czasami kilka ujęć zza kulis. Co ciekawe, domy produkcyjne specjalizujące się w takich filmach, np. popularny również w Polsce amerykański Vixen (ang. Lisica), reklamują się jako „bardziej równościowa” twarz przemysłu porno. Więcej kobiet bierze udział w produkcji filmów, aktorki nie są w nich upadlane, a narracje i scenariusze mają rzekomo odpowiadać „damskiej wizji erotyki”, cokolwiek to w tym przypadku znaczy.

codziennie. Co więcej, fakt, że nagrywane są własnoręcznie, nadaje im aurę autentyczności. Kupując abonament do konta Gianny czy innej gwiazdy porno, dostajemy dostęp do jej „prawdziwej” nagości. Niereżyserowanej, niezmienionej w postprodukcji, nieprzypudrowanej makijażem. Oczywiście jest to w dużej mierze iluzja, stylizacja, ale w świecie coraz mocniej kontestującym sztuczność, w którym dominują milenialsi fetyszyzujący pierwotny kształt rzeczy, „naturalność” sprzedaje się najlepiej. I branża porno nie stanowi tu wyjątku.

Twórczość dowolna

Najważniejsza w abonamentach w mediach patronackich jest jednak możliwość bezpośredniej interakcji z osobą, którą obejmujemy mecenatem. Platformy te mają bowiem wbudowany czat, na którym fani

A opłacać się będzie właśnie dzięki platformom takim jak nasza”. I rzeczywiście – wielu autorom uratował karierę, a nawet życie. Model biznesowy Patreon czy OnlyFans zakłada bowiem znacznie większe przychody dla twórców niż chociażby YouTube. Tam zarabiają na reklamach, przy czym z każdego zarobionego przez platformę dolara do ich kieszeni wpada już tylko kilka, może kilkanaście centów. Patreon z kolei pobiera zaledwie 10% prowizji od każdej wpłaty na konto twórcy. Połowa z tego pokrywa koszty operacyjne związane z transakcjami, a druga połowa trafia na konto firmy. I często, nawet przy tak niskich procentach, są to kwoty niemałe. Najlepszy twórca na platformie, a raczej twórcy – Gillian i Patrick, autorzy podcastu o śledztwach i niewyjaśnionych zagadkach kryminalnych, zarabiają na nim miesięcznie ponad 180 tys. dol. W skali całej

Gwiazdy porno znalazły sposób na bezpośrednie dotarcie do klientów, z pominięciem całej armii ludzi, najczęściej mężczyzn.

mogą rozmawiać z gwiazdą. Czytaj: opisywać swoje fantazje seksualne. Niektóre aktorki oferują nawet – już poza tymi serwisami – możliwość wykupienia prywatnego pokazu wideo za pośrednictwem Skype’a. Wtedy za kilkaset dolarów mamy przez dłuższą chwilę na własność dziewczynę, którą wprawdzie podziwiać możemy też za darmo, ale wtedy robimy to wspólnie z milionami innych internautów.

OnlyFans, Patreon czy inne portale patronackie rewolucjonizują branżę porno, choć wcale nie w tym celu zostały stworzone. Oficjalnie bowiem stanowią po prostu platformy dla twórców. Możesz więc założyć na nich konto, jeśli tworzysz. A co tworzysz, w praktyce okazało się kwestią kompletnie wtórną. Idea, która przyświecała im na początku, była bardzo szlachetna. Młodzi muzycy, malarze, graficy mieli wystawiać na nich swoje dzieła, a mecenasi, czyli użytkownicy, mieli ich wspierać jednorazowymi grantami bądź miesięcznymi, regularnymi przelewami. Szef i współtwórca Patreon Jack Conte jeszcze trzy lata temu mówił dziennikarzom portalu The Verge, że „chce, żeby za 10 lat dzieci w szkołach wiedziały, że kariera zawodowego twórcy jest możliwa i opłacalna.

platformy łączna kwota przekazywana przez mecenasów twórcom wyniosła w ubiegłym roku 500 mln dol., co oznacza dla Patreon przychód w wysokości 50 mln dol.

Sam na sam z gwiazdą porno

Oczywiście platformy tego typu nie zarabiają wyłącznie na muzykach, malarzach czy dziennikarzach amatorach. Pieniądze płyną do niej również z erotyki – tej w wersji *soft*, gdzie widać jedynie częściową nagość, ale i tej nieróżniącej się niczym od standardowej pornografii. Treści przeznaczone dla użytkowników od 18. roku życia są na nich dozwolone, jeżeli poprzedza je odpowiednie ogłoszenie. Tyle że weryfikacja wieku, jak w całym internecie, jest czysto deklaratoryjna, więc w praktyce oglądać je może każdy. Otwartość na treści wszelkiego rodzaju – a więc i erotyczne czy pornograficzne – szybko jednak odbiła się rykoszetem. Na serwisach patronackich zaczęła dominować amatorska lub „naturalna” pornografia. Możliwe było to również przy użyciu mediów społecznościowych głównego nurtu, przede wszystkim Instagrama. Choć ten ostatni nie pozwala na publikowanie nagich zdjęć i filmików, służy

jako doskonała tablica ogłoszeń towarzyskich. Gwiazdy, ale też amatorzy, publikują tam fotografie lekko tylko zakrywające miejsca intymne, kusząc klientów hasłami w stylu „więcej i bez ograniczeń znajdziesz na...”.

Wokół bezpośredniego sprzedawania nagich zdjęć i filmów odbiorcom wyrósł zresztą cały ekosystem stron i usług. Autorkom płaci się za pomocą dotacji lub subskrypcji, ale wynagradzać je można też w bardziej wyrafinowany sposób. Popularnym rozwiązaniem są tzw. listy życzeń z Amazona: luksusowe przedmioty, które można im kupić i przesłać. Teoretycznie robi się to bezinteresownie, ale oczywiście taki sponsor może liczyć na nagrodę w postaci internetowej sesji sam na sam, spersonalizowanego filmiku bądź innej erotycznej przyjemności. Zwolennicy takiej formy płacenia za sieciową erotykę argumentują, że demokratyzuje to cały sektor – oprócz uznanych gwiazd porno zarabiają dziesiątki tysięcy amatek. Przeciwnicy uważają z kolei, że tego rodzaju portale to po prostu kolejne adresy w internecie służące upodmiotowieniu kobiet i powielaniu negatywnych stereotypów, a przy okazji zabiera się przestrzeń twórcom kultury, dla których miała to być bezpieczna przystań. Zgadza się właściwie tylko w jednym: na nagości nadal da się zarobić duże pieniądze, bez względu na sposób jej sprzedawania. ■



Erytrea jak obóz przetrwania

Przed przymusową służbą wojskową z kraju ucieka co miesiąc ponad 5 tys. osób

Beata Błaszczyk

Były czerwone róże i musujące wino dla pasażerów historycznego lotu ET 0312 z Addis Abeby do Asmary, stolicy Erytrei, w lipcu 2018 r. Była radość na ulicach Asmary. Była wreszcie Pokojowa Nagroda Nobla dla premiera Etiopii kilkanaście miesięcy później. Po 18 latach stanu ni to wojny, ni pokoju miały zostać otwarte granice, przywrócone połączenia telefoniczne i lądowe oraz wznowione stosunki dyplomatyczne.

Dwuletnia wojna (1998-2000), nazywana często wojną dwóch tysięcy o grzebień, pochłonęła prawie 120 tys. ofiar. Oba kraje w grudniu 2000 r. zawarły porozumienie w Algierze, ale Etiopia nadal nie godziła się na ustalenia dotyczące granic i pozostawienie targowego miasteczka Badme po stronie Erytrei. Zaprzeszono działań wojennych, ale powstał stan zawieszenia, który rządzący od 1991 r. Erytreą Isajasz Afewerki wykorzystał do wydłużania obowiązkowej służby wojskowej prawie w nieskończoność.

Erytrea raczej nie trafia na pierwsze strony gazet. Pojawia się, gdy tonie kolejna łódź z uchodźcami, a wśród ofiar jest wielu Erytrejczyków. Więcej uchodźców do Europy dociera jedynie z Syrii i Afganistanu. W obu krajach toczy się *de facto* wojna. W Erytrei od prawie 20 lat nie. Ale to właśnie przed przymusową – czasem dożywotnią – służbą wojskową ucieka z niej co miesiąc ponad 5 tys. osób.

Koniec grudnia 2018 r. Ląduję w Asmarze. Wiem, że nie ma bankomatów i kart kredytowych, więc przygotowałam sobie nowe, niezniszczalne banknoty 20- i 50-dolarowe. Mają jednak wzór sprzed 2006 r. i nikt nie chce ich oficjalnie wymienić. Wiem, że nie warto ryzykować nielegalnej wymiany. Tu nie ma miejsca na żarty. Wiem też, że nie działa roaming, więc nie zadzwonię do Polski po pomoc.

Wyruszę pieszo w stronę miasta. To tylko 6 km. Na pierwszym

skrzyżowaniu grupka osób najwyraźniej na coś czeka. To pracownicy lotniska – czekają na autobus, który zawiezie ich do centrum. Zaczynam rozmawiać. Jeden z panów od razu oferuje mi zwitek banknotów. Odmawiam, ale z wdzięcznością przyjmuję możliwość dojechania do centrum – bo to szansa na dalszą rozmowę z nowo poznanymi ludźmi.

Asmara od lipca 2017 r. jest na Liście światowego dziedzictwa UNESCO. Główna ulica to szeroka aleja z wysokimi palmami po obu stronach. Wchodzę do pierwszej kafejki internetowej. Czekam, żeby jakakolwiek strona się otworzyła. Internetu nie trzeba cenzurować. Wystarczy, że go nie ma. Po godzinie rezygnuję. 10 lat temu w Jemenie internet też nie śmigał, ale było o niebo szybciej. Wchodzę do kolejnej kafejki. Pusto, bo jest całkowita awaria. Za ladą dziewczyna. Zaczynamy rozmawiać. Obie mamy czas.

Ludzie mają pokój, teraz chcą wolności.

Mariam ma dwadzieścia kilka lat. Jej mąż jest w wojsku. Zarabia 600 nakf, czyli 40 dol. miesięcznie. Od 2016 r. miesięczne wynagrodzenie w wojsku nominalnie wynosi 120 dol. Po odliczeniu kosztów żywienia i utrzymania zostaje 17 dol. dla żołnierza i 40 dla rodziny. Jeden dolar amerykański to 15 erytrejskich nakf (ERN). Butelka wody mineralnej kosztuje między 15 a 20 nakf.

Dziś, latem 2020 r., wiadro wody w Asmarze jest luksusem – woda kosztuje drożej niż piwo i mleko. O wodę zawsze było trudno. To Róg Afryki. Wysokie temperatury i susze. W hotelu od razu puste butelki po wodzie mineralnej napełniam wodą z kranu – gdy tylko jest.

Mieszkańcy Asmary, zwanej kiedyś małym Rzymem, z dumą podkreślają, że mają kanalizację, której stolica Etiopii Addis Abeba może im tylko pozazdrościć. Miasto zbudowano według

planu tuż przed II wojną światową. Mnóstwo zabytków architektury art deco. W 1938 r. światła na przejściach dla pieszych było więcej niż w Rzymie. Dziś też są, ale nie działają. W całym kraju nie ma ani jednego działającego światła na przejściu dla pieszych.

Mariam nie wie, kiedy zobaczy męża. Tego nie regulują żadne przepisy. Człowiek może dostać przepustkę na tydzień po trzech miesiącach. Może nie dostać przez cały rok. I nie wie, jak długo ma w wojsku pozostać. Teoretycznie służba trwa 18 miesięcy. W wojsku pracuje się ponad 70 godzin tygodniowo. Może to być praca w kamieniołomach, w kopalniach, przy budowie dróg. Zero cienia, temperatury często przekraczają 40 st.

Służba wojskowa jest obowiązkowa zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Kobiety przed wojskiem chroni zamążpójście. Mariam przez trzy lata ukrywała się, żeby nie trafić do wojska. Przez trzy lata musiała po prostu

być niewidoczna. Wychodziła z domu, gdy było jeszcze ciemno. Ojciec, absolwent matematyki

na uniwersytecie w Asmarze, znalazł jej pracę u znajomego przy obsłudze maszyn biurowych. Praca w piwnicy, bez światła dziennego. Wracała późnym wieczorem. Za unikanie służby wojskowej grozi więzienie, dożywotnie zniknięcie. Do więzienia trafiłaby nie tylko Mariam, ale także jej rodzice i człowiek, który ją zatrudniał. Rodzice wytrzymali trzy lata, w końcu musiała wyjść za mąż.

Z głównej ulicy w Asmarze idziemy z Mariam kilkanaście minut. Potem wsiadamy w zbiorową taksówkę i jedziemy kilka minut. Idziemy dalej. Jesteśmy razem, jest niedzielne popołudnie. Wchodzimy w gęstą zabudowę. – Połowa miasta tak mieszka – mówi Mariam. Piaskowy kolor. Nie ma ulic w naszym rozumieniu, nie ma chodników. Ziemia, nawet niespecjalnie utwardzona, i kamienie. Widzę, jak trudno było Mariam wychodzić i wracać w ciemnościach.



Po jednej stronie kościół, po drugiej meczet – muzułmanie i chrześcijanie mieszkają obok siebie.



Przechodzimy obok meczetu. W oddali widać kościół. Chrześcijanie (50% ludności) i muzułmanie (48%) mieszkają obok siebie od lat. – Mieszkamy i świętujemy razem, składamy sobie życzenia – wyjaśnia Mariam.

Nigdzie po drodze nie widzę ujęcia wody. Docieramy na miejsce. Masywne drzwi. W środku wąski korytarz, prowadzący na wewnętrzny dziedziniec. Widać skrawek nieba – to ważne. Dziedziniec tak mały, że obrócić się wokół własnej osi można tylko, jeśli robi się to bardzo uważnie. Jedne drzwi to najpewniej toaleta, drugie – składzik. Po lewej wysoki mur sąsiedniego domu. Po prawej wejście do małej kuchni. Na niskich, plastikowych stołeczkach mama i teściowa. Obierają i myją warzywa. Plastikowe miski pełne szarej wody. Dwupalnikowa kuchenka elektryczna – więc prąd jest.

Ponad 4 mln ludzi w niespełna sześciomilionowym kraju funkcjonuje bez elektryczności – według danych

CIA sprzed kilku lat. W miastach 86% mieszkańców ma prąd, na wsi niespełna 17% – a tam mieszka zdecydowana większość ludności. Dane CIA World Factbook są raczej prawdziwe, chociaż o dokładne informacje z Erytrei trudno. Trudno również uwierzyć, że z internetu korzysta nieco ponad 1% mieszkańców, a telefony komórkowe ma dziewięć osób na 100. Wystarczy jednak wyjechać poza miasto, żeby uwierzyć, że te dane są całkiem prawdopodobne.

Następnego dnia dostawczym samochodem jadę do Keren, trzeciego co do wielkości miasta w kraju. 91 km od stolicy, a różnica wysokości to ok. 1,2 tys. m. Majestatyczne góry, przesuszone pustkowia, gdzieś gdzie krzaki. I nagle kilkoro dzieci lub grupka kobiet. Domostwa sklecone ze wszystkiego, co można było znaleźć. Płachty, kawałki blachy, patyki. Tak mieszkają. Skąd biorą wodę? Szkoły po drodze nie widzę ani jednej, ale musi gdzieś być.

W ciągu ostatnich 20 lat podwoił się odsetek ludzi potrafiących czytać i pisać, teraz wynosi 75% (82% mężczyzn i 65% kobiet). Statystycznie oczekuje się, że dziecko spędzi w szkole pięć-sześć lat. Ponad połowa nastolatków w wieku licealnym do szkoły nie chodzi (ponad 70% na wsi i ponad 20% w miastach). Ale nie tylko bieda jest tego powodem.

Ostatni rok nauczania w szkole średniej młodzi ludzie muszą spędzić w obozie wojskowym Sawa. Co roku, od 17 lat, na przełomie lipca i sierpnia zwozi się autobusami kilkanaście tysięcy młodych ludzi z całego kraju. Mają po 15, 16, 17 lat. Na terenie obozu jest kilka więzień, całość ogrodzona drutem kolczastym i pilnie strzeżona. Pobudka o piątej, pięć minut na toaletę – jeśli akurat jest woda. Kilka godzin ćwiczeń w upale. Spóźnieni na śniadanie nie dostają nic. Do jedzenia chleb i twarda czerwona soczewica. Rano i wieczorem to samo. W soboty i niedziele pobudka o czwartej. Trzeba przejść lub przebiec 7-8 km, aby potem cały dzień np. pracować przy budowie domu dla kogoś z obozowych oficjeli. W obozie na lekcje zostaje niewiele czasu. Dziewcząt przed przemocą i molestowaniem seksualnym nie chroni nic.

Ostatnie trzy tygodnie to obóz w górach. Bez namiotów. Rano i wieczorem chleb i herbata. W ciągu dnia pić nie wolno. Trzeba dźwigać kontenery z wodą. Temperatura przekracza 40 st. Węże, skorpiony, omdlenia z wyczerpania – i żadnej pomocy medycznej.

Za każdy przejaw niesubordynacji są surowe kary cielesne. Za nieudaną próbę ucieczki więzienie. Wielu więźniów przetrzymuje się pod ziemią. Innych w metalowych kontenerach – w palącym słońcu. W murowanym więzieniu cela dla czterech osób to metr kwadratowy. Spać można, siedząc w siadzie skrzyżnym, na stojąco lub na zmiany. Bez światła. Jeśli ktoś się odezwie, zabierze całe powietrze pozostałym.

Do więzienia trafić bardzo łatwo. Więźni są świadkowie Jehowy za odmowę służby wojskowej. W całkowitym odosobnieniu od kilkunastu lat przebywa patriarcha prawosławny. Wielu byłych towarzyszy broni oraz byłych współpracowników prezydenta również od lat siedzi w więzieniach. Często bez wyroku, nawet

bez postawionych zarzutów. Bez kontaktu z rodziną. Ostatnio 75. urodziny obchodził w więzieniu były minister finansów. Córka byłego ministra informacji, aresztowana w wieku 15 lat, właśnie obchodziła 23. urodziny. Próbowwała przekroczyć granicę, żeby dołączyć do ojca, któremu wcześniej udało się wyjechać.

Mariam musiała zostawić szkołę, zanim dotarła do ostatniej klasy – żeby uniknąć roku w obozie Sawa. Musiała po prostu zniknąć. Gdyby trafiła do obozu i pomyślnie zdała końcowe egzaminy, miałaby jednak cię szansę na studia. Teraz nie ma żadnej, bo jest niejako poza systemem.

Przed tym uciekają dzieci i młodzi ludzie. Ponad 20% wszystkich uciekinierów z Erytrei to dzieci, którym nie towarzyszą dorośli. Takie dzieci stanowią przeszło 40% erytrejskich uchodźców w obozach w sąsiedniej Etiopii. Mariam nie chce o tym mówić. Ja też nie pytam. Ale wszystko układa się w logiczną całość.

Mariam nie zdecydowała się na ucieczkę z kraju. Zrobiły to jej dwie siostry. Jordanos jest już szczęśliwie w Kanadzie, po kilku latach oczekiwania na wizę w Sudanie. O drugiej siostrze Mariam mówi niewiele. Niebezpieczeństwa czekają po obu stronach granicy. Porywacze, najczęściej z plemienia Raszajda, słynącego z okrucieństwa, pakują ludzi do ciężarówek i wywożą w różne miejsca – często

na półwysep Synaj. Torturowani ludzie muszą zadzwonić do rodziny i prosić o okup. Dla wzmocnienia przekazu w tle słychać krzyki innych torturowanych i gwałconych. Gorącym prętem wkładanym do odbytu. Można też wlać gorącą herbatę człowiekowi wiszącemu głową w dół. Wymioty wypychane z powrotem do gardła. Śmierć w męczarniach. Ciało zostaje kilka dni – ku przestrodze dla innych. Jeśli rodziny nie stać na okup, wycina się nerki, wątrobę czy rogówkę, a ciała zostawia na pustyni. Dotarcie do obozu dla uchodźców też nie zapewnia bezpieczeństwa

Ponad 20% wszystkich uciekinierów z Erytrei to dzieci, którym nie towarzyszą dorośli.

– bo łatwo tam wejść i uprowadzić młodą dziewczynę czy dziecko.

Obóz Sawa jest niedostępny dla gości z zewnątrz. Na końcową paradę mogą przyjechać rodzice. To pierwszy kontakt z dziećmi po roku. Lipcowe przygotowania do finałowej parady tym razem obserwował premier Etiopii Abiy Ahmed Ali. Jeden rocznik to nawet 15 tys. osób. Żadnych maseczek czy przyłbic, żadnego zachowania bezpiecznych odległości. Wszyscy wizytujący oficjele w maseczkach. Rząd Etiopii już na początku pandemii przyjął darowiznę od Jacka Ma, właściciela internetowego giganta

Alibaba. Jedynym krajem afrykańskim, który odmówił, była Erytrea. Przyjęcie godziłoby w wyznawaną zasadę samowystarczalności, tłumaczył później minister informacji.

Od początku pandemii organizacje broniące praw człowieka wzywają władze Erytrei przynajmniej do uwolnienia więźniów politycznych i więźniów sumienia, których jest kilkanaście tysięcy. Osób skoszarowanych może być nawet 400 tys. W oficjalnych statystykach zero ofiar koronawirusa. Przez wiele tygodni ta sama liczba zakażonych – 39. Teraz oficjalnie 285 i nadal zero ofiar.

3 sierpnia do sekretarza generalnego ONZ został skierowany apel z prośbą o pilne wyznaczenie specjalnego wysłannika do Erytrei i natychmiastową pomoc dla ludzi cierpiących głód. Ponad 3 tys. podpisów, sygnatariusze z 61 krajów, 21 organizacji. Dotychczasowe propozycje pomocy Erytrea odrzucała. Dopiero teraz zwróciła się do Unii Europejskiej z prośbą o pomoc w walce z pandemią. Do kraju trafiały miliony euro, ale były przeznaczone na budowę drogi z Massawy do granicy z Etiopią. Nie jest tajemnicą, że drogi budują ludzie w niewolniczym systemie pracy przymusowej – według słów ONZ z 2016 r. i Amnesty International. Lothar Jaschke z ramienia UE określił erytrejską prośbę jako „poprawę relacji dwustronnych”.

Może tak samo myśli premier Etiopii, pokojowy noblista z 2019 r., gdy komplementuje Isajasa Afewerkiego, którego reżim ma na sumieniu wiele istnień ludzkich? Może sądzą oni, że tylko metoda bardzo małych kroków może przynieść zmianę? Jednak coraz więcej komentatorów, w tym Abraham T. Zere, do niedawna szef PEN Eritrea, uważa, że zmiany są nieuniknione, a reżim może pandemii nie przetrwać. Ludzie mają pokój, teraz chcą wolności.

Rządzący Erytreą od prawie 30 lat Isajas Afewerki w drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku odbył w Chinach szkolenie wojskowe i ideologiczne. W tym samym czasie co przyszły premier Kambodży Pol Pot, który w dążeniu do czystości ziarnka ryżu wymordował jedną piątą ludności swojego kraju.

Beata Błaszczyk



Rau, czyli pies ogrodnika

Zbigniew Rau robi swoje porządki w MSZ, ale wygląda na to, że idą one w zupełnie innym kierunku, niż podpowiadają rozum i logika.

Gdy Rau został ministrem, Witold Waszczykowski domagał się, by zwolnić „Rasputina”, i każdy wiedział, że chodzi o Andrzeja Papierza, dyrektora generalnego, sprawującego nadzór nad kadrami. Każdy też wiedział, że będzie to test na to, czy nowy minister będzie miał MSZ w garści, czy okaże się tylko jego twarzą. No więc na razie wygrywa to drugie. Rau poszedł z Papierzem na obiad i tam ustalili podział zadań.

I otrzymał dyplomatyczny ludek komunikat, że wcześniej w MSZ za mało było PiS, bo Papierz był hamowany, ale teraz to będzie naprawiane. Zatem naprawiają.

Ta wielka „naprawa” ma się rozpocząć od poniedziałku, bo od tego dnia Biuro Spraw Osobowych ma wzywać pracowników na rozmowy. Powód jest znany – z uwagi na pandemię i kryzys mają nastąpić zwolnienia w administracji, czyli w MSZ również. Przynajmniej co dziesiąty urzędnik ma zostać wyrzucony. Listy do zwolnień ustalili dyrektorzy departamentów z dyrektorem generalnym. Ale on sam miał największy na to wpływ, analizował nazwiska, przeglądał akta. Zresztą pięciu dyrektorów już zostało przesuniętych.

Klucz do zwolnień jest prosty – wyrzucani mają być „komuniści”. W praktyce oznacza to urzędników, którzy pracę w MSZ rozpoczęli w latach 90., bo przecież ci, co zaczęli w Polsce Ludowej, już są na emeryturze lub do wieku emerytalnego się zbliżają. Teraz więc pora na zaciąg Geremka.

Ta furia skierowana przeciwko nie swoim opisana została w mediach – bo okazało się, że Polska jest jedynym krajem, który nie zgłosił swoich kandydatów do Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, czyli europejskiej dyplomacji. Nie jest tam łatwo się dostać, trzeba znać perfektnie minimum dwa języki unijne, mieć odpowiedni dorobek, jeśli chodzi o karierę i publikacje – ta poprzeczka naprawdę jest zawieszona wysoko. Poza tym trzeba mieć rekomendację rodzimego MSZ. Wtedy można startować w unijnym konkursie. A nasze MSZ nie poparło nikogo! Ci urzędnicy, którzy są kojarzeni z PiS, nawet nie próbowali startować, bo kompetencje nie te. A inni? Rau uznał, że nie będzie geremkowców wspierał, że lepiej nie mieć Polaków w unijnej dyplomacji, niż mieć nie swoich. A najlepiej w ogóle ich z MSZ wywalić. Bo ma boleć. Szat?

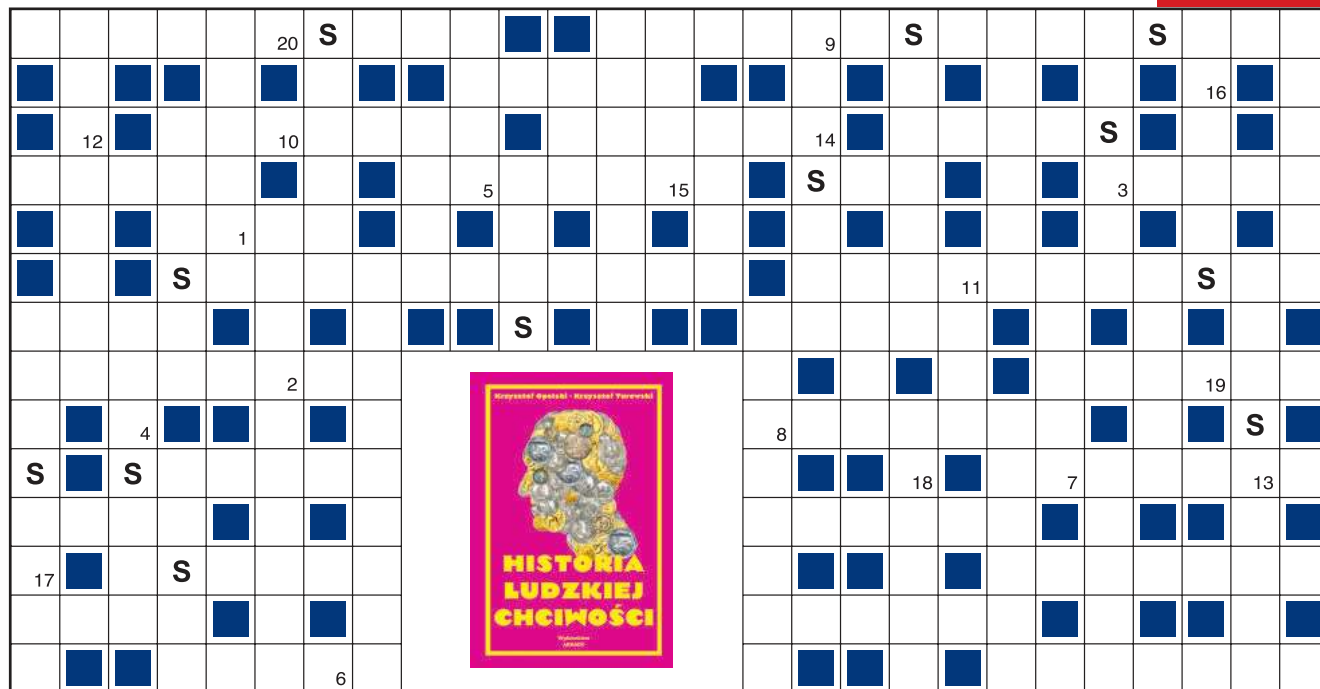
Ale ofiarą tego szału padają też pisowcy. Właśnie z pracy rzecznika MSZ zrezygnowała Monika Szatyńska-Luft. Historia jej odejścia jest opowiadana jako anegdota – bo jako powód odejścia podała, że została przez ministra Raua upokorzona. A jak do tego upokorzenia doszło? Korytarz opowiada to tak. Otóż pani rzecznik wyleciała wraz z ministrem w jedną z podróży służbowych. I, trzeba trafu, ministrowi pękły spodnie. Z tyłu. Zażądał więc od rzeczniczki igły z ciemną nitką. Ona takie akcesoria przy sobie miała! Minister odszedł na bok, wypiął się do niej i zarekomendował: pani szyje! On był wypięty, ona szyła, pół lotniska na to patrzyło. To ją upokorzyło. I rzuciła papierami.

Znaczy się, długo żyła w niewiedzy, do czego PiS służy kobiety...

Attaché

U drzwi Twoich siedzę... Zuzanna Rudzińska-Bluszcz czeka w Sejmie na decyzję w sprawie głosowania nad jej kandydaturą na RPO.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ...tornad w USA
- rasowy wierzchołek
- oficjalne przyjęcie na czas cześć
- Częstocice – pierwsza w Królestwie Polskim
- ciemnobrązowe lub czarne tworzywo, dobry izolator
- w komplecie ze stanikiem

- amerykański taniec towarzyski z szybkimi, posuwistymi krokami
- miłosna to bakłazan
- ...zwierząt na futra w wielu krajach zakazana
- największa wyspa Japonii
- święty ptak staroegipski
- rządził tam szachinszach

- znów modna fryzura punka
- niejeden zginął w Béziers i Montségur
- króciutka, cieniutka linia
- stosowany do wypełniania lamp błyskowych
- aktorka Katarzyna, bywa w „Szkle kontaktowym”
- kura wodząca pisklęta
- dawne podziemne więzienie
- III Stary lub I Płatonogi
- ile da się unieść kwiatów, siana, gałęzi
- główna – prowadzi do wielkiego ołtarza
- jarząca się reklama
- kryjówka myszki
- odmiana koloru, zabarwienie
- skrócony... aktu urodzenia

- niedopalony kawałek świecy
- chlonie kuchenne wonie
- ozdoba kolekcji
- o bezlitosnym, bezwzględny
- obok omaszutowania i ożaglowania
- futerał na pistolet przy siodle
- wydawana przez biegłego
- miasto w Prowansji, a ...Nassau – dynastia
- zboże wysiewane jesienią
- bierwiono
- Kościeliski, prawy dopływ Czarnego Dunajca
- efekciarz, kabotyn
- i głęboka rozpadlina, i to, co dzieli
- meldunek, sprawozdanie
- skorupkowy w starożytnej Grecji
- rybaczek lub ogrodniczki

- miejsce zetknięcia się cegieł w murze
- giemza
- pani lub panna z dworku
- segregowane na pięć frakcji
- pojemnik utrzymujący temperaturę napoju
- twierdzenie, które wymaga dowodu
- ...Clancy, autor powieści sensacyjnych
- lizboński podpisany 13 grudnia 2007 r.
- ...Tymański, muzyk, poeta, prozaik
- w duecie fortepiano-wym z Markiem
- odmiana, modyfikacja
- musi się nim zadowolić przebrany w finale
- wikiński lub inkański
- i przykład, i deseń
- zapłata za pracę, zysk handlowca
- „śnieżna” część Gdańska
- bywa pyrrusowe

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-979”. Do rozlosowania książki „Historia ludzkiej chciwości” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 września 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-976” z nr. 36: Nauka to czary, które działają. Nagrody otrzymują: Wanda Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego, Krzysztof Ostrowski z Mieliszyna, Stanisława Rucka z Opola.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Tępiejemy, obojętniejemy w zastraszającym tempie. A obojętność to ciche przyzwolenie. Chyba zatem powinniśmy przygotowywać się na tę oślawioną nową normalność. W polskich mediach będzie ona wkrótce oznaczać repolonizację, gdy spółki skarbu państwa lub zaprzyjaźnieni z PiS przedsiębiorcy medialni (mam już swoje typy) będą składać oferty wykupu redakcji, które dotąd miały zagranicznego wydawcę. Wtedy też nie będziemy protestować? Nowa normalność będzie oznaczać brak jakiejkolwiek etyki zawodowej. W TVP już zajmują się nią Danuta Holecka i Krzysztof Nowina-Konopka. Szefowa najbardziej nieetycznego programu informacyjnego w III RP wraz z młodym dziennikarzem, któremu Donald Tusk kojarzy się z Hitlerem i Stalinem, będą oceniać w komisji etyki, co jest przyzwoite, a co nie.



**WALDEMAR
WITKOWSKI,**
PRZEWODNICZĄCY
UNII PRACY

Układ od lat trzymający władzę w SLD chciał zawłaszczyć listę kandydatów. Wiele osób przez nas uważanych za autorytety musiało ustąpić z lepszych miejsc albo nie znalazło się dla nich żadne miejsce. Dlatego ostatecznie rozstaliśmy się z SLD. Włodzimierz Czarzasty chce trzymać w ręku całą władzę. Eliminował zresztą nie tylko naszych ludzi, ale też wieloletnich działaczy SLD, np. prof. Da-

nutę Waniek, prof. Tadeusza Iwińskiego, Jerzego Wenderlicha czy nawet Monikę Jaruzelską, wobec której sformułowano zarzut, że jest za mało lewicowa. Trudno z kimś, kto nieczysto gra, uprawiać sport.



HANNA KRALL,
PISARKA, REPORTERKA

Reporterzy są na ogół prawdomówni. Nie mogą, nie powinni kłamać. Oczywiście byli tacy, którzy pisali tak, jak powinno być, a nie tak, jak jest, ale... dzisiaj nikt o nich nie pamięta. Świat reportażu jest taki, jakim widzi go reporter. Przecież to, co pisze, przepuszcza przez siebie. Stara się, żeby to była prawda, ale w reportażu jest tyle, ile usłyszał, ile zrozumiał, ile nie przegapił. Tylko tyle.

zwierciadło

**KAROLINA
GRUSZKA,**
AKTORKA

W tej chwili trudno byłoby mi cokolwiek sobie z islandzkiego przypomnieć. Natomiast był taki moment, kiedy zaczęłam mieć przyjemność z używania go w ramach roli. Na planie słuchałam, jak rozmawiają inni, zaczynałam rozumieć z kontekstu pojedyncze zdania. Już wcześniej miałam podobne doświadczenia. Tak mi się w życiu zawodowym złożyło, że dosyć dużo grałam w innych językach, i to bardzo różnych, łącznie z uzbeckim, kazachskim. I kiedy już się przekroczy pewną granicę i człowiek przestaje się zastanawiać, jak co wymówić, dostrzega się, że język wchodzi w ciało, że ma swoją energię, każdy zupełnie inną.

Aby język giętki...

KATARZYNA PAKOSIŃSKA O KOBIETACH W KABARECIE

To jest bardziej męski niż kobiecy zawód. Mężczyźni jakoś łatwiej jest się ośmieszyć.

ANDRZEJ STASIUK O PISARSTWIE

Dla mnie pisarstwo to coś w rodzaju kontrolowanego przez język szaleństwa.

LUDWIK DORN O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Jest niezbędny Kaczyńskiemu, bo dowiódł, że jest w stanie przeprowadzić masowe egzekucje na sędziach. Jest wystarczająco bezwzględny i cyniczny, by tego dokonać.

JERZY URBAN O MŁODZIEŻY

Jestem pieszczochem młodzieży, i to chyba jedynym w moim wieku. Bo też zachowuję się w internecie zupełnie inaczej niż moje pokolenie.

DOROTA MASŁOWSKA O MEMACH

Odbierają grozie grozę. Śmiejemy się i to przynosi ulgę, ale potworność nie znika.

PROF. MIROŚŁAWA MARODY O LĘKACH

Żyjemy w czasach, kiedy wszystkim rozpada się świat. Absolutnie nie wiemy, jaka będzie przyszłość.

JERZY STUHR O ROLI STALINA

Po udarze będę miał trochę bełkotliwą mowę, a Stalin jako Gruzin mówił fatalnie po rosyjsku.

HENRYK MARTENKA O MARGOT

Panią Margot z serca popieram, bo nigdy nie zaakceptuję, by na ulicy jakiś łotrzyk kopał kobietę w jaja.

ALEKSANDRA KURZAK O SOBIE

Jestem bardziej sycylijska niż mąż Roberto. Wybucham jak wulkan, nie potrafię niczego w sobie dusić. Strasznie się pieklę i szybko mi mija.

HANNA BANASZAK O KRAKOWIE

Dla mnie jest jakiś baśniowy. Tutaj pięknie rozkwita talent. Ma do tego warunki.

ZYGMUNT „MUNIEK” STASZCZYK O PICIU

Mam problemy z alkoholem. Myślę, że jestem pijakiem, choć pewnie według różnych definicji można mnie nazwać alkoholikiem.



Woda schładza temperaturę dyskusji przy stole.
Restauracja w Kampung Kemensah na obrzeżach Kuala Lumpur.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Cudy spod lady

Sprzedawczyni z Tarnowa poszerzyła asortyment kiosku, w którym pracowała, o... amfetaminę. Sprawa wydała się, gdy miejscowi policjanci zatrzymali 35-latkę z niewielką ilością narkotyku. Mężczyzna został ujęty w okolicach punktu sprzedaży prasy, co skierowało podejrzenia na kioskarkę. Rewizja wykazała, że 29-latka ukrywała w budce kolejnych 25 porcji zakazanego proszku. Dziwimy się jej klientom – nie lepiej (i bezpieczniej) kupić sobie np. dowolny numer „Gazety Polskiej”? Za jedyne 5,99 zł mamy gwarantowaną dużo lepszą jazdę.

Algorytm nieprawdę ci powie

Mieszkańców Florydy ciemnieją zaawansowane programy komputerowe. Jak wykazało śledztwo dziennika „Tampa Bay Times”, narzędzie stosowane przez biuro szeryfa hrabstwa Pasco naraża niewinnych ludzi na nękanie przez policję. System analizuje dane o przestępczości i typuje, kto złamie prawo. Na podstawie jego wskazań 21 rodzin było regularnie karanych mandatami, a funkcjonariusze szukali pretekstów do aresztowań. Problem w tym, że algorytm często się myli, m.in. dlatego, że wśród danych, z których korzysta, są niepotwierdzone oskarżenia. Gazeta podaje przykład 15-latkę, który odpowiadał wcześniej za kradzież i był objęty dozorem kuratora. Chłopiec był przesłuchiwany 21 razy tylko dlatego, że sztuczna inteligencja uznała go za jednego z najbardziej podejrzanych mieszkańców regionu.



Uwolnić bieliznę!

Z innego miejsca Florydy nadeszły za to dobre wieści: samorząd miasta Opa-locka wycofuje zakaz chodzenia w luźnych, szerokich spodniach noszonych poniżej pasa. Na mocy przepisów wprowadzonych w 2007 r. i rozszerzonych w 2013 r. zarówno kobiety, jak i mężczyźni mogli mieć problemy, jeśli paradowali we wspomnianej części garderoby w sposób, który sprawiał, że widoczna była bielizna. – Nigdy nie popierałem tego przepisu, nawet jako mieszkaniec – podkreślił wiceburmistrz Chris Davis. Zwrócił także uwagę, że regulacje były dyskryminujące wobec młodych afroamerykańskich mężczyzn, wśród których taki sposób noszenia spodni jest szczególnie popularny.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Kto nie nosi, ten pokopie

W Indonezji w nieco makabryczny sposób ukarano osiem osób lekceważących zalecenia związane z pandemią. Władze dystryktu Cerme w prowincji Jawa Wschodnia zdecydowały, że adekwatną karą za brak wymaganych maseczek będzie oddelegowanie do pomocy przy kopaniu grobów dla ofiar koronawirusa. Szef dystryktu wyraził nadzieję, że zastosowany środek wychowawczy „zmieni podejście do wprowadzonych ograniczeń”.

Zwiedzanie na wdechu

W Australii, w Parku Morskim Wielkiej Rafy Koralowej, otwarto pierwsze na świecie podwodne muzeum.





Na różne okazje.

Ahmedabad – indyjski taniec garba można wykonywać w stosownej masce. Monachium – protest przeciw ograniczeniom związanym z COVID-19.

Premierowa wystawa, którą można zobaczyć niecałe 18 m pod powierzchnią morza, ma tytuł „Koralowa szklarnia” i składa się z 20 rzeźb. Jak podkreślają twórcy placówki, jej celem jest nie tylko oferowanie radości z podziwiania sztuki pod wodą, ale także edukacja. Towarzyszy jej bowiem platforma internetowa, która ma być m.in. miejscem dyskusji nad problemami związanymi z ochroną raf koralowych.

Najpierw pomyśl, potem twórz

Paul Chelms i Jing Wen z Karoliny Południowej stworzyli biżuterię z odłamków szkła – pozostałości po antyrasistowskich wystąpieniach w Charleston. Każdy element kolekcji nazwali imieniem jednej z ofiar amerykańskiej policji, a cały dochód ze sprzedaży obiecali przekazać ruchowi Black Lives Matter. Projekt nie spotkał się ze zrozumieniem, zmasowana krytyka sprawiła, że został zakończony. „Chcieliśmy tylko uhonorować ofiary i opowiedzieć ich historię. Teraz widzimy, że używanie ich imion było niestosowne”, napisała para w przeprosinach.

Zdrowie na lewo

Na Ukrainie kwitnie handel zaświadczeniami o negatywnym wyniku testu na COVID-19. Okazanie takiego dokumentu jest bowiem formalnym wymogiem w wypadku osób, które chcą wyjechać za granicę do pracy czy na wakacje. Co szczególnie bulwersujące, w proceder włączyły się biura podróży, które proponują klientom załatwienie stosownego kwitu. Smutne, ale można było się tego spodziewać. Nie od dziś wiadomo, że za odpowiednią kwotę niewidzialna ręka rynku chętnie wypisze każde zaświadczenie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefon +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Iglińska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chlewicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

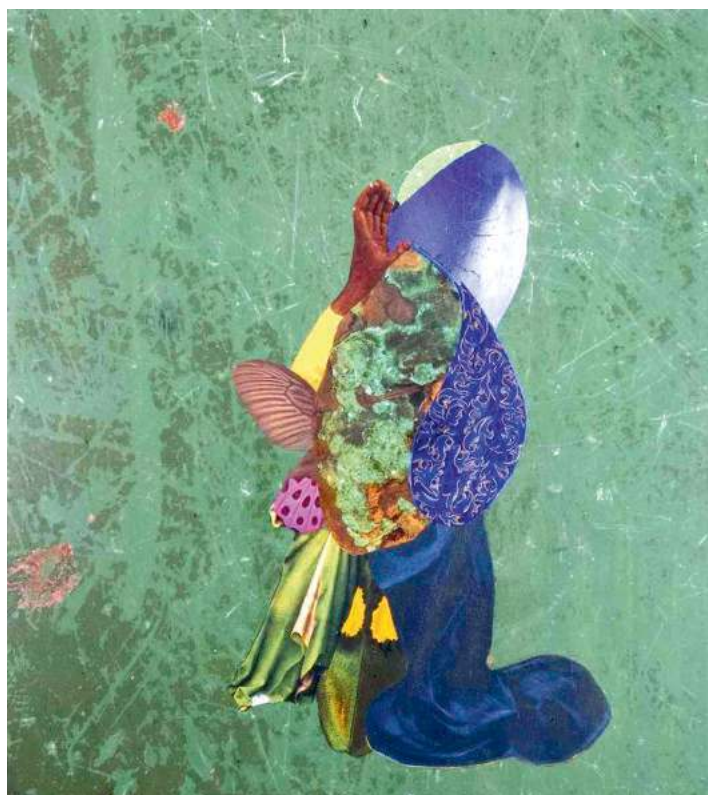
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



MAGDALENA ŁAZARCZYK SKRZYDŁO PORUSZANE PALCAMI



Magdalena Łazarczyk, artystka zajmująca się wideo, fotografią, instalacją oraz działaniami performatywnymi, w projekcie „Skrzydło poruszone palcami” skupiła się na opuszczonych i zapomnianych miejscach na obrzeżach miast. To specyficzne zakątki rządzące się swoimi prawami. Tu każda rzecz ma swoją historię. Przedmioty jednak też podlegają procesom cyklu życia. Rozpadają się i łączą na nowo. W efekcie tworzą się nowe konfiguracje, co widz obserwuje w kolażach i asamblażach.

Miejsce Projektów Zachęty
Warszawa, ul. Gałczyńskiego 3

Do 29 listopada



AKADEMIA TEATRALNA IM. A ZELWEROWICZA W WARSZAWIE
TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

AUTOR: MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI

ADAPTACJA I REŻYSERIA: MARCIN HYNAR

PREMIERY: 14 I 15 PAŹDZIERNIKA 2020 R.

TEATR
COLLEGIUM
NOBILIUM

ul. Miodowa 22/24 | 22 635 99 39

Kasa czynna:

pn-pt 11.00-19.00

sb-nd 13.00-17.00

lub do rozpoczęcia spektaklu
ewejeciowki.pl / KupBilecik.pl

eBilet.pl

www.tcn.at.edu.pl



KULTURA
DOSTĘPNA

partnerzy medialni

naszemiasto.pl

chili
zet

P
przeгляд

eBilet.pl

partnerzy teatru

LEŻAŁA
KULTURA

STRASZNE

zakup 70% zniżką

W ROLACH GŁÓWNYCH
ANDREA BRÆIN HOVIG ORAZ **STELLAN SKARSGÅRD**



70

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Panorama

NAGRODA DLA NAJLEPSZEGO FILMU
EUROPEJSKIEGO

*Co dzieje się z miłością,
gdy zostają ci zaledwie
trzy miesiące życia?*

OPARTY NA PRAWDZIWEJ HISTORII

NADZIEJA

REŻYSERIA MARIA SØDAHL

W KINACH OD 25 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

